

BIBLIOTEKA
LAUREATÓW
NOBLA

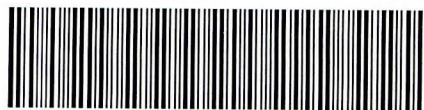
MAURYCY MAETERLINCK



INTELEGENCJA
KWIAŁÓW

R.WEGNER
WARSZAWA

Biblioteka Pedagogiczna CEN w Białymst
nr inw.: KG - 98421



BW 98421



Janusz Bartel

BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA

MAURYCY MAETERLINCK
INTELIENCJA KWIATÓW



WARSZAWA
WYDAWNICTWO POLSKIE
R. WEGNER

MAURYCY MAETERLINCK
INTELIENCJA KWIATÓW

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
F. MIRANDOLI



WARSZAWA
WYDAWNICTWO POLSKIE
R. WEGNER

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ J. M. SZANCER



113/49 : 581,1 : 635,9

ALL RIGHTS RESERVED
*
COPYRIGHT BY WYDAWNICTWO
*
POLSKIE R. WEGNER
*
W A R S Z A W A 1948

E. 483 863

DRUK. TORUŃSKA NR 4 SP. WYD. „WIEDZA“ W TORUNIU, ŚW. KATARZYNY 4

SPIS TREŚCI:

	Str.
Inteligencja kwiatów	1
Woń kwiatów	65
Miara czasu	75
Chwiejność moralności współczesnej	85
Pochwała boksu	117
O Królu Learze	127
Bogowie wojny	137
Przebaczenie krzywd	149
Przypadek	159
Nasze zadanie społeczne	171
Nieśmiertelność	187

INTELIGENCJA KWIATÓW

Nakład 5000 + 500 egz. — Drukowano na papierze
zeberkowym 80 g w formacie 61 × 86, kl. V. drzewnym.
Maj 1948 — Nr zam. 451

I

Pragnę zwrócić tu uwagę na kilka, znanych zresztą dobrze botanikom, szczegółów. Nie dokonywam żadnych odkryć, a przyczynek mój skromny ogranicza się do elementarnych jeno faktów. Nie zamierzam, oczywiście, czynić przeglądu wszystkich dokumentów inteligencji, jaką spotykamy u roślin, albowiem one niezliczone. Napotykamy je ciągle, zwłaszcza pośród kwiatów, w których skupia się pęd życia wegetatywnego ku światłu i świadomości.

Zdarzają się kwiaty i rośliny niezręczne i niefortunne i te jednak nie są pozbawione w zupełności rozsądku i sprytu, wszystkie zaś zmierzają do spełnienia swego zadania, wszystkie pałają bohaterską żądzą ogarnięcia całej powierzchni globu, mnożąc do nieskończoności te formy bytu, których są przedstawicielami. Z racji praw natury wiążących je nierozdzielnie z ziemią, z powodu swej nieruchomości mają rośliny do zwalczania nierównie więcej trudności w rozmnażaniu się niż zwierzęta. Toteż zazwyczaj uciekają się do sztuczek, podstępów i forteli, a nawet do wynalazków mechanicznych, które uprzedzają niejednokrotnie wynalazczość ludzką i każą przypuszczać znajomość balistyki, awiacji oraz trafną obserwację zwyczajów i budowy organicznej owadów.

II

Zbyteczną jest tutaj rzeczą kreślić ponownie obraz wielkiego systemu zapładniania roślin, mówić o zachowaniu się pręcików i słupka, uwodzicielskiej roli zapachu i optycznym działaniu barw harmonijnych i jaskrawych, oraz produkcji nektaru zgoła niepotrzebnego roślinie a służącego jeno dla zwabienia obcych wyswobodzicieli i posłanników miłości, a więc pszczoł, trzmieli, much, motyli i ciem, przynoszących kwiatowi pocałunek dalekiego, nieznanego, niewidzialnego i nieruchomego oblubieńca.

Korona rośliny, to kwiat z pozoru przepojony pokojem, rezygnacją, gdzie wszystko godzi się z koniecznością, trwa w ciszy, posłuszeństwie i skupieniu. Tymczasem jest zgoła inaczej, nigdzie bowiem może nie ma tyle buntu i upornej walki z losem, jak właśnie pośród roślin. Przede wszystkim główny organ, narząd odżywczy rośliny, a więc korzeń jej łączy ją nierozdzielnie z podłożem gleby. Jeśli trudno nam, ludziom, powiedzieć, które z najrozmaitszych praw natury nęka nas najdotkliwiej, to dla rośliny nie ulega żadnej kwestii, najokrutniejszą jest konieczność nieruchomości bezwzględnej od urodzin do śmierci. Roślina wie lepiej od nas, którzy rozpraszamy wysiłki swoje, przeciw komu buntować się przede wszystkim, toteż niezrównane jest widowisko owej walki, w której wyzwala się cała energia idei zasadniczej korzeni celem zorganizowania całej budowy i rozpostarcia w pełnym świetle listowia i kwiatów. Wydobyć się z fatalizmu, jakiemu podlega dół rośliny, przez rozwój górnych jej części, oto cel jej

główny, bowiem idzie tu o obejście ciężkiego prawa mroków, wyzwolenie się zeń, przekroczenie ciasnego obrębu, stworzenie sobie skrzydeł lub ziszczenie na pośredniej drodze sposobu wydostania się jak najdalej w przestrzeń z więzienia natury i zbliżenia się do innego, odmiennego zgoła królestwa ruchu i życia.

Zadziwia nas wielce, iż czyn taki udaje się roślinie, albowiem jest to dzieło równie trudne, jak byłoby dla nas wydobyć się z szranków czasu, które nam los narzuca, lub sięgnięcie w sferę wolną od najuciążliwszych praw materii. Przekonamy się, że roślina daje człowiekowi zdumiewający przykład nieposłuszeństwa, odwagi, wytrwałego uporu i pomysłowości. Gdybyśmy użyli część bodaj energii, na jaką zdobywa się kwiat w ogrodzie, dla zwalczania różnych utrapień życia, które nas gnębią, a więc cierpień starości, czy śmierci, los nasz zmieniłby się niezawodnie.

III

Potrzeba ruchu i łaknienie przestrzeni przejawia się jednocześnie w kwiatach i owocach różnych roślin. Odnośnie do owocu, formę, w jakiej przejawia się owo pożądanie, dostrzegamy stosunkowo dosyć łatwo, nie natrafiając na komplikacje problemu. Przeciwnie, jak się rzecz ma w królestwie zwierzęcym, roślina macierzysta jest skutkiem nieubłagane-go prawa bezruchu pierwszym i najgorszym wrogiem nasienia, a przeto potomności własnej. Znajdujemy się w dziwnym państwie żywych istot, gdzie niezdolni do ruchu rodzice uświadamiają sobie w peł-

ni, iż są zmuszeni ogłodzić i wytepić dzieci swoje. Nasienie padające u stóp drzewa czy jakiegokolwiek rośliny skazane jest na śmierć lub, co najmniej, na nędzne wegetowanie w niedostatku. Stąd bierze swój początek niezmierny wysiłek skierowany ku zrzućciu jarzma i zdobyciu ekspansji przestrzennej, stąd też biorą się wszystkie, przedziwne systemy rozsiewania, rozrzucania nasion i przenoszenia ich powietrzem, napotykanie ustawicznie w lasach i po łąkach. To właśnie jest punktem wyjścia śmigi powietrznej drzew z gatunku klonowatych, skrzydełka lipy, spadochronów wszelkich ostów, kaczeńca i salsefii, przedziwnych sprężyn eufrobium, bomb tryskających momordyki, haczyków włoskowych wełnianki łąkowej oraz mnóstwa innych przyrządów mechanicznych, budzących podziw. Nie ma, powiedzieć można, nasienia, które by nie wytworzyło specjalnych, właściwych sobie, narządów w celu wydostania się jak najdalej poza cień rośliny macierzystej.

Ten, kto nie zapoznał się po trochu bodaj z botaniką, nie uwierzy, ile twórczości wprost genialnej mieści się w zieleni, którą lubują się oczy nasze. Spójrzmy bodaj na naczynko nasienne kurzyślepu, pięć plewek balsaminy, pięć strzelających kapsułek geranium itp. Zwrócić należy uwagę na zwyczajną, znaną nam dobrze główkę maku. Owa pocziwa, wielka głowa mieści rozsądek i idee godne najwyższych pochwał. Wiemy, iż zawiera tysiące krągłych, małych czarnych ziarenek. Idzie o rozrzucenie posiewu tego w sposób tak zręczny, by ziarenka padły jak najdalej. Gdyby głowa rozłupała się od dołu albo spadła na ziemię, cały ten cenny zapas utworzyłby

jedną kupę u stóp łodygi i zmarniał niewątpliwie. Ziarenka mogą wydostawać się tylko otworami umieszczonymi u góry pod daszkiem nakrywkowym. Makówka po dojrzaniu schyla się na bok, wiotczeje i załada powiewem wiatru wykonywa wahadłowe ruchy przypominające do złudzenia rzut ręki siewcy. W ten sposób ziarna rozsypują się szeroko na wsze strony.

Przelotnie wspomnieć tu trzeba o ziarnach liczących się z możliwością roznoszenia przez ptaki i otoczonych, jak jemioła, jałowiec i jarzębina, osłonką zawierającą słodki sok. Widzimy tu tak wielki zakres rozumowania, takie zrozumienie skutków ostatecznych, że nie będziemy się zatrzymywali dłużej nad tym tematem z obawy popadnięcia w naiwne błędy de-Saint-Pierre'a. Dodamy jeno, że trudno sprawę inaczej wyjaśnić, bowiem osłonka mieszcząca cukier nie jest zgoła potrzebną ziarnu, podobnie jak nektar przywabiający pszczoły zgoła niczym jest dla samego kwiatu. Ptak zjada owoc, ponieważ jest słodki, i połyka jednocześnie ziarno nie podlegające strawieniu. Potem leci i wydała z żołądka częściowo nasienie w stanie, w jakim je połknął, a ziarnko uwolnione z osłonki pada z dala od niebezpiecznych dlań miejsc rodzinnych w stanie gotowym do kiełkowania.

IV

Powróćmy jednak do urządzeń prostszych, zasadniczych. Zerwijmy jakiegokolwiek dźbło rosnące przy drodze, w pierwszej lepszej kępie trawy, a przekonamy się, że mamy przed sobą mikroskopijny intelekt zajęty pracą wytrwałą, świadomą celu, nieznu-

zoną i zdumiewającą w rezultatach. Mamy w ręku dwie marne roślinki pełzające, napotymane tysiące razy i to wszędzie w najjałowszych zakątkach, gdzie leży bodaj szczypta gleby. Są to dwie odmiany lucerny (*medicago*) dzikiej, dwa zielska w najskromniejszym tego słowa znaczeniu. Jedna posiada kwiatostan różowawy, druga coś w rodzaju żółtej czapeczki wielkości grochu. Patrząc, jak się trwożnie prześlizgują po zagonie, kryjąc pomiędzy pysznymi, wyniosłymi odmianami trawy, nie przypuścilibyśmy nigdy, że one to, wcześniej niż słynny syrakuzkański geometra i fizyk, odkryły i wprowadziły śrubę Archimedesesa nie tylko do podnoszenia cieczy, ale także do lotnictwa. Układają nasiona swe w lekkie spirale o trzech czy czterech skrętach, subtelnie skonstruowane, wiedząc, że to opóźni ich spadek na ziemię, a tym samym przy pomocy wiatru przedłuży znacznie ich podróż powietrzną. Jedna z nich, żółta, udoskonaliła jeszcze nawet ten mechanizm dodając na zewnętrznej stronie śruby szereg ostrych haczyków w zamiarze przyczepienia całego aparatu do ubrania przechodniów czy sierści zwierząt. Najwyraźniej chciała w ten sposób połączyć zalety zoofilii, to jest rozsiewania ziarn przez owce, kozy, króliki itp., z zaletami anemofilii, czyli rozsiewania przez wiatr.

Wzruszający jest fakt, że cały ten wielki wysiłek jest bezpożyteczny. Biedna, różowa zarówno jak i żółta lucerna omyliły się najzupełniej, a śruby nie przynoszą im żadnego pożytku. Aparat mógłby funkcjonować spadając z pewnej, znacznej wysokości, na przykład z drzewa lub przynajmniej smukłej trawy. Skonstruowany nisko, dotyka ziemi uczyniwi-

szy zaledwo ćwierć obrotu. Mamy tu ciekawy przykład błędów, pomyłek, szukania omackiem, zawodów i rozczarowań przyrody. Zdarzają się one tak często i są tak oczywiste, że tezę nieomylności natury przypisać musimy tym, którzy jej nie badali wcale.

Dodać należy, że inne odmiany lucerny, nie mówiąc już o koniczynie, inne pastewne motylkowate rośliny, bardzo zbliżone do opisywanych powyżej, nie przyjęły wcale aparatu lotniczego lucerny i trzymają się dalej zwykłych strączków. U pewnej z nich, *medicago aurantiaca*, widać wyraźnie formę przejściową aparatu rozsiewczego od krętego strąka do śmigi aeroplanowej, u innej zaś, *medicago scutellata*, śmiga ta przybiera kształt maczugi czy granatu ręcznego. Mamy tedy przed oczyma zdumiewające widowisko całego gatunku, pracującego wynalazczo, widzimy, jak członkowie jednej rodziny wysilają się, by celowo i świadomie zapewnić swemu rodowi najkorzystniejsze warunki przyszłości. Prawdopodobnie lucerna żółta zawiódłszy się w ciągu ustawicznych prób na śmidze aeroplanowej dorzuciła do wynalazku swej siostry ząbki i haczyki włoskowate, rozważywszy z racją zupełną, że skoro owce pasą się chętnie jej listowiem, to winny podjąć również sprawę bytu potomstwa. Może też właśnie temu nowemu wysiłkowi zawdzięcza lucerna żółta swe nierównie większe rozpowszechnienie po świecie, czym przewyższa znacznie silniej zbudowaną kuzynkę swą o różowawym kwiecie.

V

Mnóstwo śladów inteligencji żywej i świadomie działającej znajdujemy nie tylko w nasieniu czy

kwiecie rośliny, ale również w niej całej, w łodydze, liściu i korzeniu. Wystarczy schylić się i spojrzeć na tę skrytą, skromną a ustawiczną pracę. Wspomnijmy bohaterskie wysiłki gałęzi, która walczy o wydostanie się na światło, lub genialne i zacięte boje drzew wystawionych na niebezpieczeństwo. Nie zapomnę nigdy przedziwnego przykładu heroizmu stuletniego drzewa laurowego, jakiego byłem świadkiem w dzikich a zarazem przepięknych i wilczych jarach Prowansji, rozkwieconych fiołkami i przepojonych zapachem. Konwulsyjnie, desperacko powykręcane konary lauru mówiły wyraźnie o mękach życia spędzonego w trudnej, upornej walce ze śmiercią.

Ptak czy wiatr, władcy losów, zaniósł ziarno w szczelinę skały spadającej prostopadle w przepaść, niby dekoracja kamienna, i drzewo tutaj się zrodziło, na wyżynie dwustumetrowej, zawieszone ponad dzikim potokiem górskim pośród rozpalonych i jałowych głazów. Od pierwszej zaraz chwili laur wysłał ślepe korzenie swoje na długą i znojną wędrówkę po wodę i glebę, jakie by gdzieś odkryć mogły. Ale troska owa była jeno dziedzicznie przekazywanym przez pokolenia zadaniem gatunku oswojonego z jałowizną południa. Młodą roślinkę czekał problem znacznie poważniejszy i zgoła niezwykły. Ziarno zakiełkowało w szczelinie pionowej skały, przeto wierzchołek miast wznosić się w niebo zwiślał nad przepaścią. Należało tedy wbrew wzrastającej wadze konarów prostować ciągle pień przyciskając go rozpacznie do boku skały i podtrzymywać ciężką koronę listowia nieustannym napięciem woli i skurczem tkanek strony wewnętrznej, podobnie jak płynący głowę zadziera w górę.

Wkoło tej zasadniczej, żywotnej kwestii zgrupowały się wszystkie wysiłki rośliny, w jej rozwikłaniu przejawiała się cała energia i świadoma jej inteligencja. Skręt pnia utworzył potężny, gruby, potwornie wybuchały łokieć, a poszczególne jego zwoje były miarą pełnych niejako strachu myśli wzbudzonych w roślinie przez burze i wichry. Korona stawała się z roku na rok coraz to cięższa, zajęta tym jeno, by bujać coraz to świetniej w słońcu i cieple, tymczasem jednak ramię, dźwigające ją rozpacznie w przestrzeni, uległo straszliwemu rakowi, który wżerał się coraz to głębiej, zamieniając w próchno jedną wiązkę tkanek po drugiej. W tym momencie stała się rzecz dziwna: oto utajone gdzieś pod korą dwa silne korzenie boczne pod wpływem niepojętego instynktu ukazały się nagle i, rosnąc szybko, przywizały pień silnymi sploty do wysoku skały w wysokości około dwu stóp ponad chorym miejscem łokcia drzewnego. Nie wiadomo, czy czyn ten wywołany został rozpaczną sytuacją, czy może w przewidywaniu tego, co się stanie, korzenie owe z dawien dawna czekały godziny ostatecznego niebezpieczeństwa, by pośpieszyć z ratunkiem. A może był to jeno szczęśliwy przypadek? Oko ludzkie nie dojrzy zapewne nigdy zawiązku i rozwoju owych cichych dramatów, bowiem przebieg ich trwa za długo w porównaniu z krótkim życiem naszym. *

* Zanotować tutaj należy inny akt inteligencji korzenia, o którym wspomina Brandis w swym dziele „Ueber Leben und Polarität“. Korzeń ten napotkał na drodze swej podziemnej starą podeszkę trzewika. Celem przebycia

VI

Gdy mowa o roślinach, które dają najoczywistsze dowody inicjatywy, te, które można by nazwać uduchowionymi lub wrażliwymi, zasługują na obszerniejszą wzmiankę. Poprzestanę na przypomnieniu, jak reaguje na wrażenie znana wszystkim sensytywa, *mimosa pudica*. Mniej wiemy o innych gatunkach obdarzonych ruchem dowolnym, jak np. o *hedysarum gyrans*, esparcecie, czyli koniczynie francuskiej, poruszającej się w sposób zdumiewający. Ta mała strączkowa roślina, pochodząca z Bengalu a u nas zaaklimatyzowana, wykonywa rodzaj wiekuistego, wielce skomplikowanego tańca ku czci słońca. Liście jej dzielą się na trzy, z których pierwszy jest długi, kończysty, zaś dwa boczne siedzą u nasady pierwszego. Każdy porusza się oddzielnie i w inny sposób, wszystkie zaś drgają bez przerwy rytmicznie, z regularnością zegarka. Są one tak wrażliwe na światło, iż zwalniają tan swój lub go przyspieszają, stosownie do tego, czy chmury słonią niebo lub też się rozchodzą. Można by je nazwać fotometrami roślinnymi lub otoskopami, skonstruowanymi przed wynalazkiem Crooka.

VII

Rośliny te, do których zaliczyć by trzeba jeszcze rosiczkę i muchołówkę, oraz mnóstwo innych, są isto-

przeszkody, z jaką po raz pierwszy zapewne miał do czynienia, korzeń rozdzielił się na tyle wiązek, ile było w podszwie dziur po kółkach szewskich, a przebywszy zaporę połączył się znowu w jedno ramie, którego budowa nie pozostawiła śladu poprzedniego podziału.

tami nerwowymi, przekraczającymi już próg tajemniczy i zdaje się fikcyjny jeno, dzielący królestwo roślin od państwa zwierząt. Nie mamy jednak potrzeby sięgać aż tam, albowiem znajdujemy niemal tyleż samointeligencji i oczywistej swobody ruchu celowego na drugim krańcu świata, który nas zajmuje, na niżu, gdzie roślinę odróżnić można zaledwie od kupki śluzu czy kamienia. Mam na myśli wielką rodzinę skrytoplciowych; że jednak badać je można jeno pod mikroskopem, przeto pominę je, mimo iż funkcje sporangiów grzyba, paproci i skrzypu są wprost zdumiewające w pomysłowości.

Cuda nie mniejsze dzieją się również u roślin wodnych, krzewiących się po rzekach i stawach. Ponieważ zapylanie ich kwiatu nie może się odbywać pod wodą, każda z tych roślin wynalazła odrębny system dla rozsiewania na suchu pyłku pręcików. Alga, czyli zwyczajna trawa morska, z której robią materace, zamyka swój kwiat starannie w istnym dzwonie nurkowym, nenufar zaś wysyła swój kwiat na powierzchnię, gdzie rozkwita dowożąc mu soki niesłychanie długimi łodygami, które się przedłużają w miarę podnoszenia się stanu wody. Nenufar fałszywy (*vil-larsia nymphoid*), nie posiadając wydłużalnych łodyg, wyrzuca po prostu swe kwiaty na wierzch, gdzie pękają niby bańki. Kasztan wodny (*trapa natans*) wyposaża je w pęcherzyki powietrzne. Kwiaty wydostają się na powierzchnię, otwierają się, a po zapłodnieniu pęcherzyki miast powietrza nabierają śluzowatego płynu cięższego od wody i cały aparat zanurza się z powrotem do szlamu, gdzie odbywa się owocowanie.

System stworzony przez utricularię jest bardziej zawily. H. Bocquillon opisuje go w ten sposób w swojej „Vie des plantes”:

Zabiskrzek jest nader pospolity i spotykamy go w stawach, rowach, młakach wszelkiego rodzaju oraz torfiastych bagnach. Roślina ta spoczywa przez zimę na dnie, w szlamie. Długie, popłątane łodygi okryte są liśćmi zredukowanymi do rozgałęzionych bardzo włókien. U nasady tak przetworzonych liści spostrzegamy małe woreczki w kształcie gruszki z górną częścią koniczną, zaopatrzoną w otwór. Otwór ten zamknięty jest klapą otwieralną z zewnątrz do środka. Brzegi tego woreczka obłożone są drobnymi włoskami, tworzącymi coś w rodzaju tkaniny uszczelniającej. Również i wewnątrz wysłane jest taką tkaniną aksamitną. Gdy nadchodzi czas kwitnienia, woreczki napełniają się powietrzem, które tym silniej przyciska klapę, im większe jest jego ciśnienie. Nadaje ono wielką lekkość roślinie i wydobywa ją na powierzchnię wody. Wtedy to rozkwitają żółte kwiatuszki naśladujące małe pyszczki, o wydętych wargach a podniebieniu prążkowanym pomarańczowo lub rdzawo. Przez czerwiec, lipiec i sierpień żywa ich barwa czyni powabną powierzchnię błotnych kałuż pokrytych gnijącymi szczątkami roślin. Ale po dokonaniu zapłodnienia, w chwili kiedy owoc zaczyna się rozwijać, następuje zmiana roli. Woda naciska klapy woreczków, otwiera je, napełnia wydrążenia i roślina nabrawszy ciężaru zanurza się na dno.

Czyż nie jest rzeczą nadzwyczaj interesującą patrzeć, jak przyrząd ten, którego powstanie sięga czasów prastarych, łączy w sobie kilka najświeższych wynalazków ludzkich? Widzimy tu funkcjonowanie cylindrów napełnionych sprężystymi gazami, wentylów, współzależność ciśnienia powietrza i płynu, słowem, poza prawami Archimedesza jeszcze mnóstwo

zdobyczy czasów nowych. Cytowany powyż autor dodaje:

Inżynier, który pierwszy użył ciśnienia powietrza do celu wydobywania na wierzch zatopionego statku, nie wyobrażał sobie pewnie, że przyrząd jego jest w użyciu od setek tysięcy lat.

Wydaje nam się, że my właśnie sami siłą inteligencji i twórczego geniuszu stwarzamy rzeczy nowe w świecie nieświadomym i biernym. Tymczasem, przyjrzawszy się z bliska, dochodzimy do przypuszczenia, że w ogóle trudno jest nam stworzyć coś nowego. Przybłędami jeno jesteśmy, niedawno przybyłymi na ziemię, toteż odnajdujemy tylko to, co istniało dawno, i powtarzamy niby olśnione nowością dzieci wszystko, czego dokonało od wieków życie. Taki stan rzeczy jest nawet konieczny, winien on napełnić nas otuchą, a do problemu tego powrócimy jeszcze.

VIII

Nie możemy rozstać się z roślinami wodnymi, nie wspomniawszy bodaj pokrótce życia romantycznej vallisnerii z rodziny hydrocharidów, której zabiegi miłosne stanowią epizod najtragiczniejszy może w państwie roślinnym.

Nie odznacza się ona niczym, nie posiada wdzięku tajemniczego nenufaru ani też przepychu listowia niektórych podwodnych okazów flory. Przyroda wypowiedziała się jednak w niej ideą niezwykłą. Całe życie tej skromnej rośliny odbywa się na dnie wody w pewnego rodzaju półśnie i stan ten trwa aż do chwili zaślubin, która napełnia ją nową, nieznaną energią. Wówczas to roślina żeńska rozwija swolna

długą spiralę swej łodygi, wznosi się, wynurza i rozwiera kielich na powierzchni stawu. Na sąsiedniej łodydze drzemią zamknięte pęki kwiatów męskich i patrzą poprzez prześwieconą wodę na to, co się dzieje. Podnoszą się także, zmierzając ku powierzchni, na gody miłosne, w inny świat, ale w pół drogi zatrzymują się, bowiem zbyt krótka łodyga, żywicielka ich, jedyne źródło życia, nie pozwala dostać się na światło słońca, gdzie mogłoby nastąpić zespolenie pręcików ze słupkiem.

Czyż istnieje w naturze dysharmonia większa lub okrutniejsza próba? Trudno sobie przedstawić w całej pełni, jak tragiczne jest owo pożądanie, owa nieśiężność tego, co jest tak blisko, oddzielone przejrzyścią, fatalną, niedostrzegalną a nieprzewyciężoną przeszkodą.

Podobnie jak nasze dramaty, tragedia miłosna *vallisnerii* byłaby nierozwiązalna, gdyby nie wmieszał się w nią czynnik zgoła niespodziewany. Kwiaty samcze przeczuwały od początku, zda się, swój zawód i każdy z nich przechował w łonie swym bańkę powietrza, podobnie jak dusza kryje uporną, rozpaczliwą myśl wyzwolenia. Przez czas pewien wahają się, walczą z sobą, potem zaś nie zrównanym, bohaterskim wprost wysiłkiem zrywają nić łączącą je z życiem, by dosięgnąć szczęścia. Jest to akt najcudowniejszy, jaki znam zarówno w życiu roślin, jak i owadów. Odrywają się od łodygi i z rozmachem pośpiechu, pośród wrzenia baniek powietrza, pękają na powierzchni. Śmiertelnie ranne, ale radosne i wolne pływają przez czas jakiś obok nie wiedzących o nich oblubienic swoich, następuje zapłodnienie, stra-

ceńcy giną jeden po drugim, a małżonka matką już będąc zamyka koronę, w której tkwi ostatnie tchnienie kochanków, zwiја spiralę łodygi i zstępuje na dno, gdzie dojrzewa owoc bohaterskiego uścisku miłosnego.

Ten wierny, dosłowny obraz, oglądany ze strony słonecznej, ukaże nam pewne luki, braki i cienie, jeśli nań spojrzymy ze strony odwrotnej. Ale właśnie od strony ciemnej dostrzega się nieraz prawdy co najmniej równie interesujące. Owa tragedia uwypukla się doskonale, gdy patrzymy na nią pod kątem interesów i nadziei gatunku. Jeśli weźmiemy atoli pod uwagę indywiduum, to przekonamy się, że często zachowuje się niezdarnie i wprost wbrew swym celom idealnym. Kwiaty męskie wypływają nieraz na powierzchnię, mimo że nie ma w pobliżu kwiatów żeńskich, gotowych do zapyłania, a zdarza się też, iż stan wody jest tak niski, że mogłyby z łatwością dosięgnąć swych oblubienic nie zrywając łączności z życiem. Czynią to jednak zawsze, całkiem mechanicznie i bez potrzeby. Stwierdzamy tu raz jeszcze, że cały geniusz tkwi w gatunku, przyrodzie czy życiu, a osobnik jest niemal bezrozumny. Jedyne u człowieka istnieje współzawodnictwo realne tych dwu intelektów z tendencją coraz to wybitniejszą, coraz to żywotniejszą do osiągnięcia równowagi, która jest właśnie najistotniejszą treścią naszej przyszłości.

IX

Rośliny pasorzytnicze dają nam również mnóstwo przykładów takiej genialności. Na pierwszy plan wybija się tu *cuscuta*, czyli kaniańka, zwana też mniszą

bródką. Nie posiada ona liści, a zaledwo łodyga jej dosięgła kilku centymetrów długości, kaniańka zrywa wszelką łączność z korzeniem swoim i owija się wokół upatrzonej ofiary wpijając w nią swe ssawki. Odtąd żyje wyłącznie kosztem swego życiodawcy. Daremną by było rzeczą chcieć zmylić jej czujną baczność, nie zgodzi się na żadne podłoże, które jej nie odpowiada, i odbędzie raczej długą wędrówkę, by znaleźć łodygę konopi, chmielu, lucerny lub lnu, które odpowiadają jej gustom i usposobieniu.

Cuscuta zwraca uwagę naszą na rośliny pnące, odznaczające się obyczajami szczególnymi, i o nich to trzeba tu słów parę powiedzieć. Każdy z nas, kto żył po trochu bodaj na wsi, miał niejednokrotnie sposobność podziwiać instynkt czy coś w rodzaju strzegania wzrokowego, przy pomocy którego witki chwytne, czyli wąsy winorośli lub powoju, kierują się ku podporze. Może nią być nawet rękojeść łopaty lub motyki opartej o mur. Przesuńmy to narzędzie, a nazajutrz spostrzeżemy, że wąsy odwróciły się w inną stronę i znalazły poszukiwany przedmiot. Mnóstwo obserwacji odnośnych i doświadczeń tego rodzaju znajdziemy w pracy A. Schoppenhauera, pt.: „Ueber den Willen in der Natur“, w rozdziale traktującym o fizjologii roślin. Nie mogąc ich tu zamieścić odsyłam czytelnika do wspomnianego rozdziału, gdzie znajdzie rozliczne wskazówki i źródła. Nie potrzebuję także chyba dodawać, że od lat pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu dowodów tych i faktów przybyło bardzo dużo, a wszystko świadczy o nieustannym wzroście materiału.

Pozwolę sobie dla zilustrowania podstępu i przezorności roślin przytoczyć przykład sprytu *hyoseris radiata*, roślinki o kwiatach żółtych, podobnych do kaczeńca, spotykanej bardzo często na starych murach Riwieri. W celu zabezpieczenia sobie jednocześnie mnożenia gatunku i jego trwałości wydaje dwa rodzaje ziarn. Jedne, odpadające łatwo, zaopatrzone są w skrzydełka celem przenoszenia przez wiatr, drugie zaś pozbawione tego narządu tkwią wewnątrz korony kwietnej aż do czasu jej rozkładu i potem dopiero dostają się do ziemi.

Inna roślina, *Xantium spinosum*, świadczy, do jakiej doskonałości doprowadzone zostały niektóre systemy rozsiewcze i jak wybornie funkcjonują. Chwast ten obrzydliwy, najeżony barbarzyńskimi kolcami, do niedawna był jeszcze nieznan w Europie zachodniej, a nikomu się, oczywiście, nie śniło nawet aklimatyzować go u nas. Triumf swój zawdzięcza haczykom mieszczącym się na powierzchni plewek ziarnistych, czepiającym się sierści zwierząt. Ta pochodząca z Rosji roślina dostała się do nas wraz z ładunkiem wełny ze stepów rosyjskich i można by wyznaczyć na mapie pochod zdobywcy tej wielkiej wędrowczyni, która zagarnęła dla siebie nowe kraje o doskonałych warunkach klimatycznych.

W innym kierunku poszły idee i wysiłki małej roślinki o białych kwiatach, rosnącej obficie pod drzewami oliwnymi, zwanej *silene italica*. Będąc bardzo trwożliwą i delikatną zaopatruje swe łodyżki w gruczoły wydzielające ciecz kleistą i w ten sposób chroni się od drapieżnych i natrętnych owadów. Ciecz ta tak doskonale spełnia swe zadanie, że chłopci

umieszczają łodygi po stancjach jako łapki na mu-
chy. Niektóre odmiany uprościły bardzo ten system
ochrony. Obawiały się przede wszystkim mrówek,
a doświadczenie nauczyło je zapewne, że wystarczy
przy każdym kolanku łodygi umieścić pierścień klej-
ki. W ten sposób chronią sadownicy drzewa owoco-
we przed liszkami malując krąg smołą na pniu.

To nam zwraca uwagę na środki ochronne roślin.
Henryk Coupin w swej doskonałej, popularnej książ-
ce pt. „Les plantes originales”, do której odsyłam czy-
telnika żadnego szczegółów i faktów, rozwija temat
tych nieraz dziwacznych środków obronnych. Przede
wszystkim tedy kwestie kolorów, co do których prof.
Sorbonny, Lothelier, poczynił dużo ciekawych odkryć.
Roślina zatracza kłujące organa swoje w cieniu i wil-
goci. Przeciwnie, im bardziej jałowe i spalone żarem
słońca jest miejsce, na którym rośnie, tym bardziej
najeża się zbroją obronną jakby pojmując koniecz-
ność wielkiego wysiłku celem uchronienia się przed
wrogiem, który poza nią nie ma innego łupu wśród
piaszczystej czy wapiennej pustaci lub skał pustyni.
Podkreślić należy, że większość roślin owych zatrac-
ca w stanie kultury swe kolce i inne narządy odporu
przelewając obronę swą na Opatrzność nadprzyro-
dzoną, wyobrażoną w człowieku, który otoczył je
swą opieką.*

* Sałata jest wymownym przykładem roślin nie bronią-
cych się przed wrogiem, w stanie kultury. Cytowany wyżej
autor pisze: „Jeśli zerwiemy liść sałaty dzikiej, spostrzeże-
my, że wypływa zeń sok biały, l a t a x, zawierający skład-
niki piekące, którego przeznaczeniem jest odstraszanie śli-
maków. Przeciwnie, w sałacie kulturowanej soku tego brak

Inne rośliny miast kolców mają bardzo twarde
uwłosienie. Inne znów, jak pokrzywa, parzą jadowitą
trucizną lub wytwarzają ostre zapachy, by odstra-
szyć napastników, jak geranium, mięta i ruta. Ale
najszczególniejsze są te, które bronią się w sposób
mechaniczny. Zacytuję choćby skrzyp otaczający się
prawdziwą zbroją małych ziarneczek krzemienne-
go piasku. Poza tym wszystkie niemal rodzaje traw
wprowadzają do tkanek swych wapno dla odebrania
gustu ślimakom i małżom wszelkiego rodzaju.

X

Zanim przystąpimy do badania narządów skom-
plikowanych, koniecznych dla celu krzyżowania,
wspomnijmy o niektórych genialnych ideach skrom-
nych kwiatów, o tych, których małżonkowie i mał-
żonki rodzą się, kochają i umierają w obrębie jedne-
go kwiatostanu. Typ ten wyróżnia się spośród ty-
siących form miłosnych kwiatów ogrodów naszych
i znany jest dobrze. Pręciki, organa męskie, zazwy-
czaj drobne i liczne otaczają słupek silnie rozwinięty
i cierpliwy wielce. — *Mariti et uxores uno eodemque
thalamo gaudent* — powiada wielki Linneusz. Ale

niemal całkiem. Toteż sałata, ku wielkiemu zmartwieniu
ogrodników, pożerana bywa przez ślimaki. — Dodać tu na-
leży, że soku nie ma jeno w roślinach młodych, natomiast
jawi się on w wielkiej obfitości, gdy sałata zabiera się do
owocowania i tworzenia nasienia. Tymczasem potrzebowała-
by ona obrony od samej młodości, w porze kiedy listki jej
są delikatne i wrażliwe. Zdaje się, jakoby roślina w stanie
kultury traciła po trochu głowę, jeśli tak wolno mówić, i nie
wiedziała dobrze, co się z nią dzieje“.

układ, kształty i obyczaje tych organów są różne w każdej poszczególniej odmianie, jakby przyroda miała plan nie dający się dotąd zrealizować lub też jakby nią władała ambicja nie powtarzania się w poszczególnych aktach twórczych. Zazwyczaj pyłek dojrzawszy spada z pylników pręcika na znamię słupka. Ale często pręciki i słupek mają ten sam wzrost albo też zbyt są oddalone od siebie, a na koniec zdarza się, że słupek ma dwukrotną wysokość pręcików. W takich razach muszą one czynić ogromne wysiłki, by osiągnąć znamienia.

Czasem znowu, jak u pokrzywy, pręciki tkwią zwinięte w koronie kwiatu. W momencie zapłodnienia korona się rozkłada nagle, a woreczki pyłkowe, czyli antery pylników, rzutem ich porwane ciskają chmurę pyłku na znamię słupka. Kwaśnica kolczasta może dokonać zapłodnienia tylko w dniu pogodnym i słonecznym. Pręciki oddalone od słupka przytrzymywane są na wewnętrznej peryferii korony za pomocą dwu woreczków napełnionych cieczą. Słońce powoduje wyparowanie cieczy, a pręciki zwolnione z uwięzi rzucają się na słupek i dokonywają zapyleń. U innych kwiatów, np. pierwiosnków, słupek bywa czasem wyższy, czasem niższy od pręcików, stosownie do odmiany. U lilii, tulipana i im podobnych zbyt wysmukła oblubienica czyni co może, by pochwycić pyłek i przykleić go do znamienia. Najoryginalniejszym atoli i najfantastyczniejszym jest system ruty (*ruta graveolens*). To niemile woniejące ziele lekarskie odznacza się niesłychaną metodą zapładniania. Pręciki czekają spokojnie we wnętrzu żółtej korony, otaczając pękaty, przysadkowaty słu-

pek. W momencie zapłodnienia, posłuszne wezwaniu samicy przyzywającej ich, rzecz można, po imieniu, zbliżają się. Pierwszy dotyka znamienia i cofa się, potem przychodzi kolej na trzeci, na piąty, siódmy, dziewiąty i tak sprawa się toczy dalej, póki nie spełnią swych funkcij wszystkie nieparzyste. Następnie zaczyna drugi, czwarty, szósty itd. aż do końca. Jest to miłość na zawołanie, a kwiat umiejący liczyć wydał mi się tak dziwaczny, że nie dowierzając botanikom obserwowałem rzecz sam kilka razy, zanim zdecydowałem się potwierdzić owe arytmetyczne zdolności ruty.

Nie ma celu nużyć czytelnika przytaczaniem dalszych przykładów. Zwyczajna przechadzka po polu czy lesie nastroczy sposobność mnóstwa obserwacyj równie ciekawych, jak fakty cytowane przez botaników. Jednak przed zakończeniem niniejszego rozdziału chcę pomówić o jednym kwiecie i to nie dlatego, by miał objawiać niezwykłą jakąś pomysłowość, ale dlatego że jego gest miłosny jest powabny i łatwo dostrzegalny. Mam na myśli nigellę damasceńską (*nigalla damascena*), zwaną popularnie w najrozmaitszy sposób. Lud nadaje jej nazwę: „włosów Wenery“, „diablika w krzaku“, „dziewczęcia o rozpuszczonych włosach“, słowem nigella stała się przedmiotem rozmaitych poetyckich zakusów. Roślina ta znajduje się w dzikim stanie w okolicach południowych, rosnąc wzdłuż dróg lub pod drzewami laurowymi, na północy hodują ją dotąd po ogrodach, chociaż wyszła już nieco z mody.

Kwiat ma jasną barwę błękitną i kształt nader prosty i prymitywny. „Włosy Wenery“ i włosy „roz-

puszczane" są to listki drobne, liczne, wąskie i delikatne, tworzące „krzaczek" subtelnej zieloności. Pośrodku promienistej korony tkwi pięć słupków, bardzo długich, prostych, podobnych pięciu królowym odzianym w zielone szaty, dumnym i nieprzystępnym. Wokół nich ciśnie się tłum niezliczonych, pozbawionych nadziei kochanków, nie sięgających im nawet kolan. W obrębie onego pałacu z turkusów i szafirów rozgrywa się w pogodny, słoneczny dzień dramat bez słów, którego zakończenie nie odpowiada jednak przypuszczeniom, jakie byśmy snuć mogli, patrząc na owo czekanie bezsilne, daremne i nieruchome. Mijają godziny będące latami dla kwiatu, świetność jego znika zwolna, płatki korony opadają i smutne owe objawy zdają się oddziaływać poskramiająco na pychę dumnych królowych. Poddają się na koniec konieczności życia i w danym momencie, jakby na rozkaz tajemny i nieodporny miłości, która chce położyć koniec męczarniom czekania, wszystkie słupki razem przechylają się wstecz ruchem jednolitym, symetrycznym, przypominającym parabolę spadku wody w cysternę i z wdziękiem biorą z ust swych pokornych kochanków pył złoty małżeńskiego pocałunku.

XI

Niespodzianek nie brak tu, jak widzimy, i trzeba by o inteligencji kwiatów napisać grubą książkę, podobną do dzieła Romanesa o inteligencji zwierząt. Ale szkic mój nie ma zgoła aspiracji stania się podręcznikiem tego rodzaju. Pragnę jeno zwrócić uwagę na kilka interesujących rzeczy, jakie dzieją się tuż

obok nas, w tym samym świecie, gdzie uważamy się z taką pychą za istoty uprzywilejowane. Nie czynię w faktach tych wyboru, ale przytaczam je jako przykłady brane wprost ze spostrzeżeń czynionych w różnych okolicznościach. Chcę w szkicu tym zająć się przede wszystkim kwiatem, gdyż utajone są w nim największe cuda. Pomijam na razie kwiaty mięsożerne, a więc droserie, nepence, saracenie itp., zbliżone do świata zwierzęcego i domagające się studium szczegółowego i specjalnego. Poprzestaję na kwiecie posiadającym wyłącznie znamiona kwiatu, uważanego przez wszystkich za niewrażliwy i bezduszny.

W celu odróżnienia faktów od teorii mówił będę o kwiecie, jakby przewidywał i obmyślił wzorem człowieka to wszystko, czego dokonał. Dojdziemy później do wniosku, co mu przyznać należy, a ile odmówić trzeba. Na razie sam jeden występuje na scenie niby królewicz wspaniały, wyposażony rozumem i wolą. Nie da się zaprzeczyć, że wszystko za tym przemawia, a chcąc go pozbawić onych cech uciekać się musimy do mętnych dopiero hipotez. Tkwi nieruchomy na łodydze, kryjąc w świetnej obsłonie płatków organy reprodukcyjne rośliny. Zdawałoby się, że dość mu przyzwolić na tajemnicze zespolecie miłosne pręcików i słupka we wnętrzu swego przybytku i wiele kwiatów na tym poprzestaje. Innym jednak jawi się problem zapładniania krzyżowego, czyli krzyżowania, normalnie nierozwiązalny a jednocześnie brzemienno w groźne skutki. Nie wiadomo, na skutek jakich doświadczeń i prób prawiekowych kwiaty zdobyły pewność, iż samozapylenie, czyli zapylenie znamienia słupka przez pyłek woreczków

pylnikowych, anter, mieszczących się w tejże samej koronie powoduje szybką degenerację gatunku. Przyrodnicy powiadają, że kwiaty nie doszły do żadnych wniosków i nie skorzystały z doświadczeń wiekowych, ale po prostu sama przyroda wyeliminowała zwolna ziarna i rośliny osłabione przez samozapylenie, tak że wyginęły. Przyszedł czas, kiedy pozostały przy życiu te jeno, które skutkiem pewnej anomalii, np. słupka zbyt wysokiego, niedostępnego pręcikom, nie mogły zapylać się same w łonie jednej korony. Wyjątki te pozostały przy życiu same tylko jedne, a po tysiącznych przejściach, zmianach i przystosowaniach dziedziczność utrzymała wreszcie dzieło przypadku, zaś typ normalny zaginął.

XII

Zobaczmy w dalszym ciągu, co wyjaśniają te wyjaśnienia, na razie udajmy się do ogrodu lub na łąkę celem przyjrzenia się z bliska kilku ciekawym odkryciom wynalazczego geniuszu kwiatu.

Tuż przy domu spostrzegamy wonny pęczek roślin obsiedziony przez pszczoły, będący domostwem nader zdolnego mechanika. Każdy z nas, nawet najmniej mający skłonności rustykalnych, zna pocztową szalwią naszą. Jest to członkini rodziny wargowych bez żadnych pretensyj, a skromny jej kwiat rozwiera paszczę szeroko, łaknąc, zda się, promieni słońca. Istnieje mnóstwo odmian szalwi, a nie wszystkie — co jest szczegółem ważnym — przyjęły ten sam system zapylania, który mamy badać, lub też nie doprowadziły go do tego samego stopnia rozwoju.

Na razie idzie nam jednak tylko o najzwyczajszą szalwię, pokrywającą fioletową draperią całe podmurowanie mej terasy z drzewami oliwnymi, jakby chciała rozesać dywan pod nogi nadchodzącej wiosny. Zaręczam, że żadne pałace marmurowe, czekające przybycia władców nie miały nigdy wabniejszego, wonniejszego ni świetniejszego przystroju. Zdaje się, że światłość słoneczna pachnie w godzinie najsilniejszego żaru, kiedy bije dwunasta...

Wracając do szczegółów zaznaczmy, że słupek, czyli organ żeński, zawarty jest w wardze górnej, tworzącej rodzaj kapturka, w którym mieszczą się również dwa pręciki organu męskiego. Słupek jest dwa razy od nich wyższy, a to dlatego by przeszkodzić zapyleniu, mimo że organy obustronne znajdują się razem, w jednej małżeńskiej komnacie. Stąd też pręciki skazane są na zupełną beznadziejność. Celem zabezpieczenia się przed wszelkim przypadkiem, kwiat jest poza tym *proterandryczny*, to znaczy, pręciki jego dojrzewają przed słupkiem, tak że w chwili gdy samica osiąga dojrzałość płciową, samcy już znikli z horyzontu. Musi się tedy zjawić siła zewnętrzna dla dokonania zapylenia, przynosząc pyłek z kwiatu innego na osieroczone znamie słupka. Kwiaty wiatropylne (anemofiliczne) powierzają wiatrom tę funkcję, ale szalwia jak większość roślin posługuje się owadami, jest owadopylna (entomofiliczna). Powołując do współpracy owady szalwia nie zapomina, że żyje wśród świata, gdzie nie podobna liczyć z całą pewnością na sympatię i litosną pomoc czyjąkolwiek. Nie poprzestaje tedy na używaniu pszczoł i nie polega na ich uczynności. Pszczoła, jak wszystkie two-

ry walczące ze śmiercią na tej ziemi, ma na celu samą jeno siebie i swój gatunek i ani jej w głowie oddawać przysługi kwiatom, których nektarem żyje. Jakże ją tedy zmusić, by wbrew woli swej lub przynajmniej nieświadomie spełniła zadanie matrymonialne? Oto przedziwna zasadzka miłosna, wymyślona przez szalwią. W głębi dna kwiatowego mieści się kilka kropel słodkiego nektaru. Jest to przynęta. Tuż przed dostępem do onej studzienki tkwią dwa równoległe pręciki, podobne do ruchomych dźwigni spuszczonego holenderskiego mostu, i tamują drogę. U szczytu każdego z nich mieszczą się woreczki, czyli antery, pełne pyłu, a dołu dwie mniejsze ampułki służą za przeciwwagę, całość zaś porusza się lekko, za dotknięciem. Pszczoła sięgając po nektar popycha głową wstecz ampułki dolne, które cofają się przychyłając tym samym antery górne, które obsypują głowę i cały przód ciała owadu pyłem zapładniającym.

Gdy pszczoła opuści kwiat, cały mechanizm przybiera położenie pierwotne i czeka zjawienia się nowego gościa.

W ten sposób rozpoczęty dramat rozgrywa się dalej w innym otoczeniu. Na sąsiednim kwiecie, którego pręciki zwiędły już, słupek czeka zapylenia. Zwolna wynurza się z kapturka, pochyla, nagina i rozdważy w ten sposób, że tworzy rodzaj widełek tuż ponad dostępem do dna kwiatowego z nektarem. Pszczoła przesuwa swobodnie głowę popod ową bramę i wpuszcza ssawkę w dno kwiatowe, ale przy tej sposobności dotyka głową i bokami rozszczepionego słupka i to dokładnie w tych samych miejscach, któ-

re zostały obsypane pyłkiem pręcików. Rozwarte szeroko znamię pochłania chciwie srebrzysty proszek i zapylenie odbywa się. Łatwo zdać sobie sprawę z przedziwnego, zdumiewającego, precyzyjnego funkcjonowania mechanizmu wprowadzając w głąb kwiatu słomkę lub koniec zapałki.

Odmiany szalwi są bardzo liczne i znamy ich około pięciuset. Darujemy sobie wyliczanie wszystkich, wspomnimy jeno niektóre, a więc: *salvia praetensis*, *officinalis*, hodowana w ogrodach, dalej *salvia horminum*, *horminoides*, *glutinosa*, *salarea*, *Roemeri*, *azurea*, *Pitsheri*, oraz *salvia splendens*, wspaniała odmiana szkarłatna, używana do bukietów. Pośród tych odmian każda niemal z nich wprowadziła pewne nowe szczegóły i modyfikacje do opisanego powyżej mechanizmu. Jedne, co uważam za udoskonalenie wątpliwej wartości, podwoiły, a nawet potroili długość słupka, tak że nie tylko wychyla się z kapturka, ale tworzy łuk występujący daleko poza płatkami korony. Przez to usunięta zostaje możliwość, istniejąca mimo wszystko, zapylenia słupka pyłkiem pręcików tego samego kwiatu w kapturku, natomiast o ile *proterandria* nie jest doskonałą, pszczoła opuszczająca kwiat może dotknąć ciałem obsypanym pyłkiem znamienia kwiatu, który dąży do krzyżowania z innym.

Niektóre odmiany rozsuwają tak dalece antery, czyli woreczki pyłkowe pręcików, że dotykają z wielką precyzją boków ciała pszczoły pomijając głowę, inne natomiast nie zdołały doprowadzić do wysokiego stopnia organizacji mechanizmu. W pobliżu szalwi fiołkowej, koło studni rośnie w mym ogrodzie

odmiana o kwiatach białych, znaczonej smugami li-liowymi. Nie ma u niej śladu dźwigni ani żadnego planu mechanicznego. Pręciki i słupek mieszczą się w koronie kwiatowej obok siebie, a cała sprawa jest pozostawiona przypadkowi i nie uregulowana żadną myślą przewodnią. Pewny jestem, że gromadząc wielką ilość odmian szalwi można by odtworzyć całą historię i cały rozwój mechanizmu zapylania poprzez poszczególne jego etapy, zaczawszy od bezładu pierwotnego szalwi białej aż do końcowych udoskonaleń odmiany oficynalnej. Jakież stąd jednak wnioski? Czyżby ludek ten czynił ciągle nowe wysiłki i podejmował próby, podobnie jak to czyni esparceta ze śrubą Archimedesza? Czyż doskonałość dźwigni automatycznej nie została jednogłośnie stwierdzona? Jeśli tak, to, zaprawdę, nie ma rzeczy niezmiennych i apriorycznych, nie podlegających próbom i rozwojowi w tym świecie, który nawykliśmy uważać za skończony i poddany fatalizmowi rutyny organicznej*.

XIII

Pomijając to, cośmy powiedzieli wyżej, stwierdzić musimy, że kwiat szalwi rozwiązał w sposób

* Od lat kilku czynię doświadczenia nad mieszaniem odmian szalwi. Usuwając wszelkie możliwości działania wiatru i owadów zapładniam sztucznie odmianę wyposażoną w mechanizm wielkiej doskonałości pyłkiem odmiany prymitywnej i przeciwnie. Doświadczenia moje nie są jeszcze tak liczne, bym z nich mógł wyciągnąć wnioski, ale ujawniać się już zaczyna prawo ogólne, mianowicie zauważyłem, że szalwia prymitywna ohotnie przyjmuje udoskonalenia

genialny wielki problem krzyżowania. Ale podobnie jak wśród ludzi każdy nowy wynalazek bywa zaraz podjęty, upraszczany i doskonalony przez mnóstwo niestrudzonych badaczy i poszukiwaczy, tak samo w świecie roślin, które można by nazwać „mechanicznymi“, patent szalwi został pochwyceny i przetworzony na różne sposoby, oraz udoskonalony w szczegółach. Modyfikacje nader interesujące wprowadziła doń pewna roślina, napotykana często w gęstwie drzew i krzewów, nosząca nazwę gnidosza leśnego (*pedicularis sylvatica*). Kształt korony podobny ma do szalwi, słupek oraz dwa pręciki z pylnikami mieszczą się razem w jednym kapturze. Atoli samo wypukłe, wilgotne znamię słupka wystaje poza kaptur, zaś pręciki schowane są w jego wnętrzu. Organy płci obojga są blisko siebie, dotykają się nawet bezpośrednio w ciasnocie swego mieszkania, mimo to jednak samozapylanie jest zgoła wykluczone dzięki urządzeniu odmiennemu jak u szalwi. Pylniki pręcików tworzą dwie ampułki pełne pyłku i posiadają każdy po jednym otworze siewnym, ale otwory te padają na siebie tak, że się wzajemnie zakrywają. Osadzone na sprężystych pręcikach, przygiętych i gotowych do odskoku, przytrzymane są w tej pozycji przez specjalne ząbki. Pszczoła lub trzmiel dostając

postępowej, natomiast ta ostatnia niełatwo popada w błędy pierwszej. Można by poczynić ciekawe uwagi na temat zachowania się, obyczajów, upodobań i doskonalenia się przyrody, ale wszystko to byłoby przedwczesne, bowiem doświadczenia te są z natury powolne i uciążliwe, połączone z trudnościami zgromadzenia potrzebnych odmian oraz licznych prób i ich kontroli.

się do kwiatu odsuwa owe ząbki, a ampułki pylnikowe, zwolnione z nacisku, wyskakują przy pomocy sprężystych pręcików i rzucają się na grzbiet owadu.

Nie poprzestaje na tym jednak genialny kwiat. H. Mueller, który pierwszy zbadał dokładnie przedziwny mechanizm gnidosza, powiada:

— Gdyby pręciki dotykały owadu przy zachowaniu swego uprzedniego położenia wzajemnego, nie dobyłoby się na wierzch ani jedno ziarno pyłku, albowiem otwory siewne ich pylników zakrywają jeden drugi. Złemu zaradziło urządzenie zarówno proste, jak genialne. Dolna warga korony nie jest symetryczna i pozioma, ale nieregularna i w ten sposób pochyłona, że jedna jej strona sięga na kilka milimetrów wyżej niż druga. Trzmiel siadając na niej zachowuje z konieczności pozycję skośną. Wynika z tego, że głowa jego potraça wypukłości korony, poza którymi czekają sprężyste pręciki, jedną po drugiej, nie zaś jednocześnie. Zwolnienie pręcików z nacisku odbywa się w tenże sam sposób, przez wolny otwór wyskakuje naprzód jeden, potem dopiero drugi i każdy z osobna obsypuje owada zapładniającym pyłem.

Kiedy trzmiel zjawia się przy sąsiednim kwiecie, zapłodnić go musi niezawodnie, bo pierwszą rzeczą, jaką napotyka na zewnątrz korony, jest znamię słupka, znamię zaś to ociera się o jego grzbiet podczas sięgania ssawki ku dnu kwiatowemu. W chwili następnej na tenże grzbiet spadają pylniki i to dokładnie w miejscu, gdzie go dotknęły pylniki kwiatu poprzedniego.

Można by cytować w nieskończoność przykłady takie, każdy kwiat posiada swój sposób, system i na- bytki doświadczenia, które mu służą w sprawie dla istnienia jego tak ważnej. Przyglądając się z bliska drobnym tym wynalazkom i urządzeniom mamy wrażenie, że znajdujemy się na wystawie narzędzi maszynowych, będących wyrazem twórczego, mechanicznego geniuszu człowieka. Tylko nasze zdolności tego rodzaju są wytworem dnia wczorajszego zaledwo, zaś mechanika kwiatów funkcjonuje od tysięcy tysięcy lat. Kwiat zjawiając się na ziemi nie miał żadnego modelu, który by mógł naśladować, i czerpać musiał wszystko z samego siebie. W czasach, kiedy my władaliśmy maczugą, łukiem, czy potem, niedawno jeszcze, gdyśmy wynaleźli kółka do kusz, bloki, liny, tarany, a wreszcie wczoraj niemal jeszcze, gdy arcydziełem naszym była katapulta, zegar czy warsztat tkacki, szalwia znała już dźwignię automatyczną, działającą precyzyjnie za pomocą przeciwwagi, zaś gnidosz ukończył dawno fabrykację swych kryjących się wzajem ampulek tak dokładnie, jakby szło o naukowy eksperyment wprawiany w ruch za pomocą sprężyn, działający na zasadzie równi pochyłej. Któż z nas wiedział przed stu laty o właściwościach spiralnej śruby albo śmigła, mimo że klon i lipa posługiwały się nimi od czasu pojawienia się drzew na ziemi? Kiedyż zdołamy skonstruować spadochron lub przyrząd lotniczy tak silny, lekki, subtelny i pewny, jak to uczynił kaczeniec? Kiedyż nauczymy się wycinać z materiału tak kru-

czego, jak jedwab płatków korony, sprężyny, równie potężne, jak te, które wyrzucają w przestrzeń pyłek zarodnikowy janowca hiszpańskiego? Któż nam objaśni cudowną siłę momordyki, zwanej „pistoletem damskim“, o której wspomniałem na początku tego szkicu? Wszakże znamy momordykę, jest to skromna roślina z rodziny dyniowatych, pospolita w okolicach śródziemnomorskich. Sękaty owoc jej, podobny do małego ogórka, obdarzony jest żywotnością i energią niepojętą. Za najłżejszym dotknięciem, w porze dojrzałości, wstrząsem konwulsyjnym odrzuca się od łodygi i miota przez powstały otwór strugę cieczy kleistej, zmieszanej z nasieniem z taką gwałtownością, że ziarna padają w odległości czterech do pięciu metrów od rośliny macierzystej. Skurcz ten jest tak niezwykły, że porównać by go można, oczywiście zachowując stosunek, do wyrzucenia przez człowieka jednym ruchem spazmatycznym wszystkich wnętrzności, organów i całej krwi na półkilometrową odległość. Poza tym pewna liczba ziarn nasiennych stosuje w balistyce i zużytkowuje źródła energii nie znane nam dotąd zgoła. Przypomnijmy sobie choćby pękanie strączków rzepaku albo janowca. Ale największym mistrzem artylerii roślinnej jest stanowczo ostromlecz lekarski (*euphorbia purga*). Ten typowy przedstawiciel swego rodu, to zielsko naszych okolic o liściach dosyć ornamentalnych, dochodzące wysokości człowieka. W chwili kiedy piszę te słowa, patrzę na gałązkę tej rośliny, tkwiącą w wazonie. Posiada wypukłe, zielonawe klapy nasienne, pełne ziarn. Co chwila pęka z trzaskiem jedna z nich, a ziarna wyposażone niezwykłą

energiją rzutu odbijają się od mebli i ścian oraz skaczą po posadzce. Gdy padnie na twarz takie ziarno, doznaje się wrażenia silnego ukłucia żądłem, taka jest niezwykła siła pędu w owych małych nasionkach, zbliżonych rozmiarami do łebka szpilki.

Gdy jednak zbadamy klapy nasienne, przekonamy się, że nie ma w nich zgoła sprężyn ani innych przyrządów, a siła wydająca tak doniosłe skutki jest równie niedostrzegalna jak siła naszych nerwów. Janowiec hiszpański (*spartium junceum*) ma nie tylko strąki, ale także kwiaty sprężynowe. Może który z czytelników miał sposobność podziwiania tej wspaniałej rośliny. Jest ona przystosowana do twardych warunków życia, skromna, wstrzemięźliwa, silna, nie gardzi żadną glebą i nie cofa się przed żadnym zadaniem. Rośnie wzdłuż dróg w górzystych okolicach południa, tworząc ogromne kępy, klomby, gęstwy, nieraz trzy metry wysokie, obsypane przez maj i czerwiec wspaniałym, złocistym kwieciem, którego zapach zmieszany z wonią sąsiadującego zazwyczaj z janowcem przewiertnika, czyli koziego powoju, przepaja gorące, rozpalone powietrze tak rozkosznie, że przypominają się różne nieba, elizejskie pola oraz rzeźwy powiew grot błękitnych.

Kwiat janowca, podobnie jak kwiaty wszystkich strączkowych, motylkowatych, przypomina nasz groszek ogrodowy i dolne płatki korony zwarte w ostrogę czy dziób okrętowy mieszczą w sobie zamknięte hermetycznie pręciki i słupek. Dopóki organa te nie są dojrzałe, pszczoła dostać się do nich nie może. Gdy jednak wybije godzina wyzwolenia dla obluźnińców, wówczas pod ciężarem siadającego owadu

ostroga obniża się, komora zawierająca pyłek pęka, a złota chmura świetlistego proszku pędzi daleko, zasypując gościa oraz pobliskie kwiaty. Ponadto szeroki płatek korony zwieszony od góry kieruje pyłek na znamię, które ma zostać zapylone.

XV

Kto by chciał przestudiować gruntownie te wszystkie problemy, niech zwróci się do dzieła Krystiana-Konrada Sprengla, który pierwszy jeszcze w roku 1793 poddał badaniu funkcje różnych organów storczyków i rezultaty ich zawarł w książce pt.: „Das entdeckte Geheimnis der Natur“. Należy również przeczytać odnośne prace Karola Darwina, H. Muellera, Lippstadta, Hildebrandta, Delpina, Hookera, Roberta Browna i wielu innych.

U storczyków występują ze szczególną wyrazistością przejawy doskonałej i zharmonizowanej inteligencji roślin. W tych dziwnie ukształtowanych, chorobliwie wyglądających kwiatach geniusz wegetalny osiągnął punkt kulminacyjny i przekroczył zwycięsko granice dzielące państwo roślin i zwierząt. Nie należy jednak wiązać miana storczyka z pojęciem kwiatu rzadkiego i cennego, nie trzeba się ograniczać do owych królowych cieplarni, które zdają się być raczej wytworem sztuki złotniczej niż produktem roślinnym. Pośród naszej flory krajowej znajduje się dosyć dzikich chwastów, będących storczykami, a odmian ich naliczyć można około dwudziestu pięciu. Te skromne zielska odznaczają się właśnie urządzeniami organicznymi największej doskonałości i budowa ich przejawia ogromną inteligencję.

Te właśnie storczyki nasze badał Karol Darwin pisząc swe wiekopomne dzieło: „O zapylaniu storczyków przez owady“, będące cudowną historią najbardziej bohaterskich wysiłków duszy kwiatu. Niesposób oczywiście skreślić tu w kilku wierszach owej obfitej wielce, cudownej jak bajka biografii. Jednak ponieważ zajmuje nas kwestia inteligencji kwiatów, musimy przeto dać pojęcie dostatecznie jasne o metodach i właściwościach umysłowych, jakie wchodzi w grę, gdy idzie o to, by zmusić pszczołę czy motyla do spełnienia należycie wszystkich życzeń kwiatu i to w żądanej formie i właściwym czasie.

XVI

Niełatwą jest rzeczą bez przenośni pouczyć, jakim jest, niezwykle skomplikowany w budowie i funkcjach swych, mechanizm storczyków, spróbuję atoli dać o nim wyobrażenie jasne posługując się porównaniami mniej lub więcej odpowiednimi, unikając, o ile to możliwe, wyrażen technicznych, jak: *retinaculum*, *labellum*, *rostellum* itp. nie dających obrazu dokładnego osobom nie obeznanym z botaniką.

Weźmy storczyk najpospolitszy w naszym kraju, np. *orchis maculata* albo lepiej *orchis latifolia*, storczyk szerokolistny, który jako większy ułatwia znacznie obserwację. Jest to roślina trwała, dosięgająca trzydziestu, a nawet sześćdziesięciu centymetrów wysokości, pospolita po lasach i mokrych łąkach i posiada kiść małych, różowawych kwiatków, rozkwitających w maju i czerwcu.

Kwiat typowy storczyków naszych przedstawia się jakby rozwarta paszcza fantastycznego smoka chińskiego. Warga dolna, wydłużona i spadająca, ma kształt koronkowego czy potarganego fartuszka i służy za miejsce spoczynku dla owada. Warga górna, krągła tworzy coś w rodzaju kaptura mieszczącego w sobie organa płciowe, zaś na grzbiecie kwiatu zwiesza się ku łodydze ostroga czy trąbka ostro zakończona, zawierająca nektar. Znamię słupka, czyli organ żeński, u większości kwiatów wygląda jak mała kitka mniej lub więcej mazista i lepka, umieszczona na szczycie kruchej łodyżki, czekająca cierpliwie na pyłek nasienny. U storczyków ta forma klasyczna, rzecz można, znamienna, zmieniła się nie do poznania. W głębi paszczy kwiatu, w miejscu nasady języka w gardle człowieka, tkwią dwa znamiona mocno spojenne z sobą a ponad nimi trzeci słupek, przetworzony w organ niezwykle. Ma u szczytu rodzaj kieszonki, czyli, mówiąc dokładniej, półokrągłej miseczki zwanej *rostellum*. Miseczka ta jest napełniona cieczą lepka, w której pływają dwie maleńkie kulki, a z kulek owych zwieszają się krótkie niteczki obłożone w wyższej części starannie przytwierdzonymi pęczkami pyłku nasiennego.

Gdy owad siądzie na kwiecie, dzieją się rzeczy następujące: Siedząc na wardze dolnej, pociągnięty wonią nektaru, stara się dostać do ostrogi czy trąbki, która go zawiera. Ale dostęp jest z umysłu bardzo ciasny, tak że głowa owada musi potrafić miseczkę słupka górnego. Miseczka ta, wrażliwa na dotknięcie, rozdziera się natychmiast w miejscu właściwym i odsłania dwie kuleczki pokryte cieczą mazistą. Kul-

ki dotknąwszy głowy owada przyklejają się do niej silnie, tak że opuszczając kwiat zabiera z sobą dwie niteczki obarczone pęczkami pyłku. Owad ma teraz na głowie dwa rożki sterzące, podobne do miniaturowych butelek szampana, obróconych dnem do góry.

Nieświadomy współpracownik w trudnym dziele leci do następnego kwiatu. Gdyby rożki zakończone pęczkami pyłku sterzały ciągle w górę, owad traciłby nimi w nitki z pyłkiem, zwisające z miseczki zmetamorfizowanego słupka drugiego kwiatu, a z zetknięcia dwu pyłków nie wynikłoby nic. Tutaj przejawia się właśnie geniusz i doświadczenie storczyka. Obliczył on skrupulatnie czas potrzebny owadowi na wyssanie nektaru i dolecenie do kwiatu następnego, co wynosi przeciętnie trzydzieści sekund.

Mówiliśmy, że pęczki pyłku przyłączone są do dwu krótkich niteczek tkwiących w kulkach, otoczonych cieczą mazistą. Otóż w nasadach znajduje się pod każdą niteczką krążek błoniasty, którego jedynym zadaniem jest ściągnąć się po upływie trzydziestu sekund i pochylić każdą niteczkę w ten sposób, by górny jej koniec zatoczył łuk odpowiadający kątowi 90°. Jest to wynik osobnego wyliczenia, tym razem nie w czasie, ale w przestrzeni. Dwa pęczki pyłku, tkwiące na głowie posłannika miłości, przybierają teraz położenie poziome i zwrócone są na przód, tak że w chwili wsunięcia głowy owada w kwiat następny muszą dotknąć dwu spojenych z sobą znamion znajdujących się pod *rostellum*.

Nie koniec na tym, bowiem geniusz storczyka nie osiągnął szczytu swej przezorności. Znamiona do-

tknięte pęczkami pyłku okryte są cieczą mazistą. Gdyby substancja ta posiadała klejkość tak znaczną jak ciecz miseczki *rostellum*, to pęczki pyłku zatonełyby w niej, oblepiły się i nie spełniły swego przeznaczenia. Do tego dopuścić nie można, lekkomyślnością byłoby narażać drogocenny pyłek na przypadek podobny, a przeciwnie należy podnieść szanse jego powodzenia i uwielokrotnić je. Kwiat umiejący liczyć sekundy i mierzyć kąty potrafi także jako znakomity chemik sporządzić dwa rodzaje płynu klejkiego. Jeden niezwykle przyczepny, schnący zaraz na powietrzu, służy do przyklejenia rożków z pyłkiem na głowie owada, drugi zaś rzadki i nieschnący ułatwia pracę znamionom, a przyczepność jego starczy do celu rozluźnienia nitek otaczających pyłek. Przyczepić się doń może odrobina, ale cała masa zaczyna zaraz działać zapładniająco i dokonywa swego dzieła, podczas kiedy owad udaje się w drogę do następnego kwiatu.

Skreśliłem pokrótce cały tok zapylania, pominąłem atoli mnóstwo godnych uwagi a cudownych iście szczegółów. Wspomnę tedy o ruchu miseczki *rostellum*, wznoszącej w górę swój dolny brzeg bezpośrednio po rozdarciu błony i odsłonięciu kulek mazistych. Ruch ten ma na celu utrzymanie w należytym stanie zanurzonych w kleju pęczków pyłku, których by owad przypadkowo nie zabrał z sobą. Nie należy także pominąć nader sztucznego rozstawienia nitek z pyłkiem na głowie owada oraz chemicznych środków zapobiegawczych, wspólnych zresztą wszystkim roślinom. Najnowsze badania Gastona Bonnier stwierdziły, że każdy kwiat wydziela toksyny zabi-

jające i sterylizujące pyłek obcy, a czyni to w celu utrzymania w stanie nietykalnym swojego gatunku. Tyle dostrzec jesteśmy w stanie, ale jak wszędzie tak i tu prawdziwy, wielki cud zaczyna się tam, gdzie nasz wzrok nie sięga.

XVII

W tej chwili znalazłem w zaniedbanym kącie oliwkowego gaju wspaniały pęd loroglossu, wydającego odór capiego łoju (*loroglossum hircinum*). Jest to odmiana storczyka, której nie badał Darwin, dlatego może iż rzadko ją bardzo napotkać można w Anglii. Spośród krajowych storczyków *loroglossum* jest najdziwniejszy i najbardziej zdumiewający. Gdyby posiadał wielkość storczyków amerykańskich, można by twierdzić, że ziemia nie posiada drugiego, równie chimerycznego kwiatu. Wyobraźmy sobie kiść piramidalną skrętoległych kwiatów, podobną do hiacyntu, tylko nieco dłuższą. Ustawione symetrycznie kwiaty o trzech narożach mają barwę zielonawo-białą, popstrzoną plamami blado-fioletowymi. Płatek dolny kwiatu, ozdobiony u nasady mięsistymi gruczołami koloru brązu, olbrzymimi wąsami godnymi Merowingów, posiada jeszcze narośle fioletowe o złowrogim wyglądzie. Płatek ten wydłuża się bez końca, wprost szaleńczo, przechodzi potem w kilka wstążek skręconych spiralnie, a kolor ich przypomina topielca, którego po miesiącu wydobyto z wody. Całość przywodzi na myśl straszliwą jakąś chorobę i, zda się, należy do krain, kędy żyją złośliwe, ironiczne potwory czy zjawy nieludzkie. Kwiat wydaje ponadto silny odrażający odór starego capiego łoju i woń ta z dala

wieści jego obecność. Opisuję ten storczyk dlatego specjalnie, że pospolity jest we Francji, łatwo go rozpoznać i z racji swej wielkości oraz precyzyjności organów nadaje się doskonale do prób i doświadczeń wszelakich.

Wystarczy wetknąć ostrożnie koniec zapalki, tak by znalazł się w pobliżu ostrogi z nektarem, a niezwłocznie można zobaczyć gołym okiem wszystkie stadia zapylenia.

Dotknięte *rostellum* pochyla się odsłaniając mały klejki krążek (loroglossum ma jeden tylko) z dwiema niteczkami pyłkowymi. Krążek przykleja się mocno do drzewa, dwie miseczki zawierające kulki pękają wzdłuż i po wyjęciu na zapalcie widać dwa rozchyłone różki, zakończone złotymi kulkami. Nie można tu, niestety, obserwować stopniowego i precyzyjnego pochylania się różków, jak to ma miejsce u *orchis latifolia*. Dlaczego się tak dzieje, zobaczymy, wtykając zapalkę z różkami w sąsiedni kwiat. Ruch ten byłby zbyt cenny, bowiem kwiat jest dużo większy od *orchis maculata* i posiada ostrogę z nektarem umieszczoną w ten sposób, że gdy owad wtyka głowę, pęczki pyłku dotykają precyzyjnie znamienia, które ma zostać zapylone.

Dodać należy, że powodzenie eksperymentu zależy od dojrzałości płciowej kwiatu. My, ludzie, nie wiemy, kiedy dojrzewa, ale wie to dobrze owad i kwiat, który zaprasza na kropelkę nektaru gościa wówczas dopiero, kiedy aparat jego funkcjonuje należycie.

XVIII

Taki jest system zapylania storczyków w kraju naszym, ale każda rodzina, każda odmiana udoskonala szczegóły wedle poczynionych doświadczeń, swych wymagań i nawyków specjalnych. Na przykład *orchis*, czyli *anacamptis pyramidalis*, jedna z najinteligentniejszych odmian, umieścił na swej wardze dolnej, czyli *labellum*, dwa małe wałki i pomiędzy nimi posuwa się ku nektarowi ssawka owadu, który jest zmuszony w ten sposób dopełnić wszystkiego, czego się odeń żąda. Darwin przyrównywa to urządzenie słusznie do maszynki służącej do nawleknięcia igły. U innej odmiany dwie kulki dźwigające nitki pyłkowe, zanurzone w cieczy klejkiej, zastąpione są krążkiem w kształcie siodełka. Wsuwając igłę lub szczecinę w łożysko, którym ślizgać się ma ssawka owadu, stwierdzić możemy dowodnie wyższość tego prostszego i praktyczniejszego urządzenia. Zaledwo szczecina dotknęła miseczki, pęka ona po linii symetrycznej, a odkryte siodełko przykleja się natychmiast do włosa. Gdy szybko cofniemy szczecinę, spostrzeżemy ruch bocznych skrzydełek siodełka, obejmujących mocno przedmiot, do którego przywarło. Ruch ten ma na celu utrwalić przyleganie siodełka do podłoża, a zarazem spowodować dokładniejsze niż u *orchis latifolia* i precyzyjniejsze rozchylenie nitek pyłkowych. Zaledwo siodełko przywarło, a nitki pyłkowe, tkwiące w nim, rozchyliły się przez ruch skrzydełek bocznych należycie, natychmiast zaczyna się ruch drugi, mianowicie pochylanie się tychże nitek ku końcowi szczeciny, podobnie jak się to dzieje

u storczyków opisanych poprzednio. Te dwa skombinowane ruchy trwają przez trzydzieści do trzydziestu czterech sekund.

XIX

W ten sam sposób rozwijają się wynalazki ludzkie, a składają się na nie drobiazgi, próby, zmiany, nawroty i niepowodzenia. W naszym przemyśle mechanicznym czasów ostatnich odegrały rolę decydującą drobne, znikome, rzecz można, ale ustawiczne ulepszenia w zapalaniu gazów, zwęglaniu materiału, hamowaniu i zmianie chyżości. Zdawałoby się, że pomysły przychodzą kwiatom w zgoła ludzki sposób. Idą omackiem przez tę samą ciemność, napotykają te same przeszkody i walczą z tą samą uporną, złą wolą niepoznawalnych sił. Ulegają tym samym prawom, doznają podobnych nam rozczarowań i odnoszą podobne naszym powolne i mozolne triumfy. Obdarzone są naszą niemal cierpliwością, wytrwałością i miłością własną, posiadają takie jak my odcienie inteligencji i tę samą nadzieję i ideały. Walczą jak my z wielką, obojętną siłą i zmuszają ją, by im była pomocną. Wynalazcza twórczość kwiatów nie tylko posługuje się tymi samymi metodami rozsądnymi i skrupulatnymi, nie tylko stąpa tymiż samymi żmudnymi, ciasnymi drożynami, ale wykazuje podobne naszym skoki niespodziane, które w jednej chwili tworzą rzecz zasadniczo nową z nikłego, niepewnego odkrycia.

W ten sposób postąpiła pewna rodzina wielkich wynalazców-storczyków, przedziwna, bogata rodzina amerykańska Catasetydów, obalając śmiałym pomy-

śłem wielką część nawyków i zwyczajów, które im się wydały zbyt prymitywne. Przede wszystkim rozdzielone zostały stanowczo płci, a każda otrzymała kwiat oddzielny. Poza tym pęczki pyłku nie tkwią tam na nitkach zanurzonych w mazi, czekających w bezwładzie, pozbawione inicjatywy, przypadku, który im pozwoli przylepić się do głowy owada. Pyłek tkwi na szczycie silnej sprężyny, zgiętej w kałbłąk i zamkniętej w małej komórce. Nic nie pociąga owada specjalnie ku tejże komórce. Widocznie dumni Catasetydzi nie liczyli się wcale z takim czy innym ruchem gościa, jak storczyki zwyczajne, które kierują tym ruchem nie mogąc jednak zapewnić mu nieomyślności. Owad nie wkracza tu do przedziwnie urządzonego warsztatu mechanicznego, ale wkracza we wnętrze kwiatu żywego, obdarzonego wrażliwością i posiadającego duszę. Zaledwo dotknął świetnego progu, zasłanego miedzianym, połyskliwym dywanem, zaledwo dotknął płatków ruchliwymi różkami, robi się alarm w całym budynku, pęka komórka więżąca sprężynę z dwoma pękami pyłku i wielkim krążkiem mazistym i sprężyna ta wyskakuje na zewnątrz. Wybornie obliczony ruch ciska krążek, który uderzając w głowę owada przykleja się do niej. Owad, oszołomiony niezwykłym powitaniem, zabiera się co prędzej do odwrotu i porzucając napastliwą koronę kwiatu zmyka do innego. A właśnie o to szło amerykańskiemu storczykowi.

XX

Wspomnieć godzi się jeszcze o nader interesujących uproszczeniach praktycznych systemu, dokona-

nych przez inną rodzinę egzotyczną, mianowicie przez Cypripedów (*Cypripedaceae*).

Mamy tu przejaw zdarzający się nader często w dziejach wynalazków ludzkich. Pomocnik w pracowni, preparator w laboratorium, słowem, ktoś młody, pomysłowy i energiczny radzi mistrzowi: „Zmieńmy kierunek ruchu! Zaczniemy od końca! Postawmy wszystko na głowie!” I oto z rzeczy nieznanych, niezbadanych wyłania się nowość.

Wydaje się zaprawdę, że Cypripedy postanowiły przewrócić wszystko do góry nogami. Znamy wszyscy cieplarniany storczyk, *Cypripedium*, noszący miano „pantofelka Wenery”. Posiada olbrzymie podgardle w kształcie pantofla, wygląda złośliwie i jadownicie, słowem, kwiat ten uznany został za storczyk wzorowy i nie naganny. W sposób iście zuchwały pozbył on się typowych urządzeń mechanicznych, pęczków pyłku, nitek, krążków mazistych, misternie preparowanego lepu, słowem, wszystkiego. Jego trzewikowaty podbródek jest to pylnik jałowy i zagrada drogę w ten sposób, że zmusza owada do wetknięcia ssawki swej w przewód, koło którego mieszczą się dwie kupki pyłku. Ale nie jest to jednak rzecz główna. W przeciwieństwie do wszystkich innych odmian sam pyłek tego storczyka jest mazisty, nie zaś znamię słupka. Miast posiadać konsystencję proszkowatą, pyłek ten zatopiony jest w materii klejkiej i tak plastycznej, że można ją wyciągać w nitki. Jakież płyną korzyści i niedogodności z tego nowego urządzenia? Zachodzi obawa, że zabrany przez owada pyłek może przyczepić się nie do znamienia, ale do każdego innego przedmiotu, natomiast znamię nie potrzebuje już wy-

dzielać cieczy przeznaczonej do niszczenia i sterylizowania pyłku obcego. Problem ten w każdym razie zasługuje na skrupulatne zbadanie. Zdarzają się patenty na wynalazki, których użyteczność nie rzuca się od razu w oczy.

XXI

Chcąc skończyć z przedziwnym ludem storczyków muszę powiedzieć słów kilka o tym organie pomocniczym, który wprawia w ruch cały mechanizm, to jest o nektarze. Geniusz gatunku wysilał się, by go sporządzić jak należy, a w próby te i doświadczenia włożył tyleż samo inteligencji co w ustawiczne modyfikacje organizacji swych organów zasadniczych.

Zbiornik nektaru, czyli *nectarium*, jest zazwyczaj rodzajem ostrogi lub długiej, ostrokończystej trąbki z otworem na dnie kwiatowym, tuż obok nasady łodygi i stanowi mniej więcej przeciwwagę korony. Mieści w sobie słodki płyn, nektar, którym się żywią motyle, owady błonkoskrzydłe i inne, a który pszczoły przerabiają na miód.

Celem nektaru jest przywabianie potrzebnych kwiatom gości, toteż zbiornik ukształtowany bywa wedle ich rozmiarów, nawyknień i upodobań z tym, że nie mogą wsunąć ni wysunąć ssawki czy trąbki swojej nie dopełniwszy najdokładniej i najtroskliwiej wszystkich obrzędów przepisanych prawem organizacji kwiatu.

Poznaliśmy już w mierze dostatecznej charakter twórczej wyobraźni storczyków, by się domyslać, że i w tym wypadku praktyczny ich wynalazczy zmysł,

badawczy i nieustrudzony w poszukiwaniach da sobie folgę i pomknę śmiałym lotem. Tutaj ma on większą nawet swobodę, gdyż delikatny organ ów nadaje się specjalnie do zmian i modyfikacji rozmaitych.

Pewna odmiana, nosząca miano *sarcanthus teretifolius*, nie zdoławszy widocznie wytworzyć mazi dostatecznie gęstej i szybko schnącej na powietrzu celem przyklejenia pyłku do głowy owada, ominęła tę trudność starając się zatrzymać ssawkę gościa jak najdłużej w ciasnym korytarzyku wiodącym do nektaru. Labirynt ów jest tak skomplikowany, że Bauer, zdolny rysownik Darwina, musiał złożyć broń i zrezygnował z utrwalenia go rysunkiem.

Niektóre odmiany wychodząc z założenia, że każde uproszczenie jest postępem ku doskonałości, porzuciły zupełnie wytwarzanie nektaru i ostroga ich zanikła. Zastąpiły ją wyrostkami dziwacznymi, mięsistymi i widocznie smaczными, bowiem owady gryzą je chciwie. Nie potrzebujemy dodawać, że wyrostki te są umieszczone w ten sposób, iż raczący się nimi gość musi wprowadzić w ruch cały mechanizm.

XXII

Nie zatrzymując się na wyliczaniu tysiącznych drobnych chytrostek i podstępów zakończymy baśń o storczykach skreśleniem obyczajów odmiany zwanej *coryanthes macrantha*. Nie wiadomo tu już, z jakim rodzajem tworu mamy do czynienia. Zdumiewający storczyk ten wymyślił rzecz następującą: wargę dolną, czyli *labellum*, tworzy rodzaj wiaderka, w które padają ustawicznie krople czystej niemal wody, wydzielane przez dwa różki umieszczone

powyż, gdy zaś wiaderko to napelni się w połowie, woda wycieka z jednej strony rynienką. Sama ta instalacja hydrauliczna zdumiewa już, atoli to dopiero początek kombinacji przedziwnej, rzecz można, szatańskiej niemal. Płyn wydzielany przez różki, gromadzący się w wiaderku, nie jest nektarem i nie ma na celu przywabiania owadów, misja jego jest nierównie ciekawsza i odpowiada planom iście makiawelicznym kwiatu. Naiwne owady zwabia zapach słodkawy, wydzielany przez rogate wyrostki, o których wspominaliśmy już. Znajdują się one ponad wiaderkiem w rodzaju komnatki opatrzonej dwoma otworami bocznymi. Nadlatuje wielka pszczoła (tylko największe owady zwiedzają olbrzymie kwiaty tego storczyka, zaś małe unikają go, jakby się wstydzili pokazywać w tak rozległym salonie), tedy wielka pszczoła siada na kwiecie i zaczyna gryźć wonne, soczyste wyrostki. Gdyby była sama jedna, po skończeniu uczty wróciłaby spokojnie do ula nie tknąwszy wiaderka z wodą, znamienia ani pyłku. Ale mądry storczyk obserwował długo i dobrze obyczaje pszczół i wie, że jest to ludek liczny, chciwy i skrzętny, że zawsze latają tłumnie i że starczy w słonecznej chwili ciepłego dnia odrobiny zapachu rozwijającego się kwiatu, by zbiegły się ze wszystkich stron na ucztę przysposobioną pod małżeńskim namiotem. Zaraz jawi się kilka miodziarek w komnatce zawierającej słodycze. Miejsce to jest szczupłe, ściany jego śliskie, a pszczoły łapczywe i brutalne. Cisną się jedna przez drugą, popychają i zawsze któraś spaść musi do wiaderka zdradliwie podstawionego tuż pod stół biesiadny. Biedaczka zanurza się, kąpie należy-

cie, zwilża skrzydełka i mimo wszelkich wysiłków nie może już odlecieć. Na to właśnie czyha kwiat przewrotny. Jedna jeno prowadzi droga z wiaderka, mianowicie przez rynnę, która odprowadza nadmiar wody. Jest ona dość obszerna, by się w niej zmieścił owad, którego grzbiet dotknąć przy tym musi na-przód mazistej powierzchni znamienia, potem zaś również mazistej masy pyłku, czekającej nań u wy-lotu korytarza. Pszczoła wydostaje się w ten sposób obarczona lepkiem pyłkiem, wchodzi do kwiatu na-stępnego i tam rozpoczyna się na nowo dramat uczty, bójka, upadek, kąpiel i ratunek, który z konieczności doprowadza do zetknięcia pyłku z chciwymi wargami znamienia.

Jak widzimy, storczyk ten zna i umie wykorzystać namiętności owadów. Nikt nie będzie chyba utrzymywał, że wszystko jest jeno romantyczną interpretacją faktów, bowiem każdy podany szczegół jest oparty na precyzyjnej obserwacji naukowej i nie podobna w sposób inny wytłumaczyć celowych urządzeń organicznych kwiatu. Musimy zgodzić się z rzeczywistością. Owa niepojęta a tak skuteczna chytrłość tym bardziej zdumiewa, że nie zmierza tu do zaspokojenia żądzy jadła, potrzeby bezwzględnej i nieodzownej, która wyostrza zawsze inteligencję najtępszą nawet. Idzie tu o ideał daleki, o utrzymanie i rozmnożenie gatunku.

I na cóż, spyta ktoś, wszystkie owe fantastyczne komplikacje, które zwiększają jeno niebezpieczeństwa przypadku? Nie bądźmy zbyt pochopni w wydawaniu sądów ostatecznych, nie znamy bowiem wszystkich racyj kwiatu. Czyż znane nam są prze-

szkody, na jakie natrafia? Czyż znamy dokładnie jedno bodaj prawo organiczne jego istnienia i wzrostu? Podobnie dziwiłby się ktoś patrzący na nas z Marsa, że czynimy aż tak wielkie wysiłki i szukamy dróg tak trudnych, by opanować powietrze. — Na cóż te wszystkie niekształtne przyrządy, te potworne balony, aeroplany, spadochrony? — pytałby. — Czyż nie wystarczy po prostu przypiąć do ramion skrzydeł odpowiedniej wielkości?

XXIII

Naiwna nieco próżność człowieka czyni wszystkim tym dowodom inteligencji stale zarzut, że chociaż kwiaty stworzyły cuda istotne, to cuda owe trwają niezmiennie i nie objawiają żadnej tendencji rozwoju. Każdy gatunek, każda odmiana posiada, mówię, swój system, a z pokolenia na pokolenie nie dostrzegamy w nim żadnych ulepszeń. Przyznać należy, że w ciągu lat pięćdziesięciu, bo od tak dawna trwają badania nasze, ani *coryanthes macrantha*, ani żaden z Catasetydów nie wymyśliły nowej sztuczki czy pułapki. Tyle jeno stwierdzić możemy, a jest to, oczywiście, dowód zgoła niedostateczny. Wszakże nie dokonaliśmy doświadczeń najelementarniejszych i nie wiemy zgoła, jakby się zachował storczyk, sprawiający kąpiel pszczołom, po latach, choćby stu, przeniesiony w zgoła inne warunki, w okolice, gdzie żyją nie znane mu dotąd owady. Cóż dopiero mówić o próbach na większą skalę?

Zresztą mylimy się bardzo nadając nazwy gatunkom i odmianom, gdyż w ten sposób stwarzamy zgoła sztuczne i fantastyczne typy. Istnieją one w gło-

wie naszej jeno, choć wydają się stałe. Prawdopodobnie mamy przed sobą po prostu różnych przedstawicieli tego samego kwiatu, którzy usiłują modyfikować z wolna swe organa przystosowując je do danych okoliczności.

Kwiaty zjawily się na ziemi przed owadami, musiały przeto od czasu wystąpienia tychże dostosowywać się do obyczajów swych niespodzianych współpracowników i wytwarzać zgoła nowe urządzenia mechaniczne. Sam ten fakt, niezaprzeczalnie stwierdzony przez geologię, starczy, by uznać rozwój, a słowo to nieco mętne nie może oznaczać nic innego, jak analizę, przystosowywanie, modyfikowanie i celowy, świadomy postęp.

Nie uciekając się zresztą do owych prehistorycznych założeń łatwo jest zgrupować wielką ilość faktów świadczących, że zdolność przystosowania i postępu nie przysługuje wyłącznie rodzajowi ludzkiemu. W moim „Życiu pszczół“ poświęciłem tej sprawie kilka rozdziałów, nie powtarzając ich tutaj, przypominę jeno parę szczegółów dowodowych, tam zamieszczonych.

Pszczół stworzyły ul, jednak w stanie dzikim, w macierzystym kraju dokonywają swych prac pod gołym niebem. Niepewny, surowy klimat i znaczna różnica pór roku naszej szerokości geograficznej naprowadziły je na myśl ukrycia się w grocie skalnej lub pniu drzewa. Ten genialny pomysł zwolnił od pracy wylegania mnóstwa miodziarek dawniej unieruchomionych na plastrach i ogrzewających poczwarki. Zdarza się jednak nawet dosyć często, zwłaszcza na południu podczas wyjątkowo ciepłych lat, że po-

wracają do tropikalnych zwyczajów swych przodków.*

A oto inny przykład. Nasza czarna pszczoła przesiedlona do Australii albo Kalifornii, zmienia zupełnie swe obyczaje. Spostrzegłszy w drugim zaraz lub trzecim roku, że lato trwa stale, a kwiatów nie brak nigdy, zaczyna żyć z dnia na dzień, poprzestając na zbieraniu nektaru i pyłku starczącego na codzienny użytek. W ten sposób wyrozumowane doświadczenie osobiste bierze górę nad nawykiem dziedzicznym i zmienia cały tok życia pszczoły. Buchner cytuje na ten sam temat pewien fakt świadczący o zdolności przystosowawczej pszczoły i to nie tylko w ciągu wieków, a więc fatalistycznej i nieświadomej, ale inicjatywy niezwłocznej i rozumnej. Oto pszczoły na

* Właśnie kiedy pisałem te słowa, pojawiło się sprawozdanie Bouviera (Spr. Akad. Umiej. z dnia 7 maja 1906) o dwu gniazdach pszczelich w Paryżu pod gołym niebem. Jedno znajdowało się na drzewie *Sophora japonica*, drugie na indyjskim kasztanie. To drugie zawieszone na małej, rozwidlającej się gałązce zwracało uwagę niewątpliwie inteligentnym przystosowaniem do okoliczności wyjątkowo trudnych. — Pszczoły (cytuję artykuł Parville'a na ten temat w paryskim *Débats* z 31 maja 1906) uciekły się do zbudowania belek wzmacniających i w sposób tak niezwykle poczyniły sobie, że zdołały powoli przemienić w trwały strop rozwidloną gałązkę kasztana. Człowiek zdolny nawet nie byłby tak dobrze sprawy załatwił. Celem ochrony przed deszczem zrobili zasłony dachowate bardzo silne oraz wprawili w otwory story dla zabezpieczenia się przed słońcem. Trzeba koniecznie obejrzeć te dwa gniazda znajdujące się obecnie w muzeum, by wytworzyć sobie należyte pojęcie o doskonałości architektury pszczelej i ich zdolności przystosowania się do okoliczności najtrudniejszych.

wyspie Barbados zaprzestały całkiem nawiedzać kwiaty, od chwili kiedy powstały tam liczne cukrownie i przez cały rok mogą się żywić kradzioną ludzom słodyczą.

Przypomnę na koniec nader zabawne dementi, jakie dały pszczoły dwu uczonym entomologom angielskim. Kirby i Spence żądali jako dowodu jednego bodaj faktu, gdzie pszczoły pod naciskiem konieczności zastąpiłyby воск swych komórek oraz pierzgę innym materiałem budowlanym, np. gliną czy wapnem, oświadczając w tym wypadku gotowość przyznania im zdolności rozumowania.

Zaledwo uczeni wyrazili to życzenie zuchwałe zresztą i nierozsądne, inny uczony Andrzej Knight uczynił ciekawe spostrzeżenie. Chcąc zalepić uszkodzenia kory drzew sporządził on rodzaj cementu z wosku i terpentyny. Niedługo po zakitowaniu drzew zauważył, że pszczoły przestały zbierać pierzgę i zwróciły się do tej nowej, nieznanej substancji, której wielkie ilości znajdowały bez trudu w pobliżu swego demostwa. Ponadto bartnicy wiedzą dobrze, że w razie gdy zbraknie pyłku kwietnego, wystarczy rozsypać opodał ula kilka garści mąki, a pszczoły dorozumieją się zaraz, iż materiał ten odda im te same usługi i użyty być może zamiast proszku zawartego w pylnikach przecików. Czynią to zaś, mimo że zapach, smak i kolor mąki są zgoła odmienne.

To, co przywiódłem na korzyść pszczół, może się, jak sędzę, stosować *mutatis mutandis* również do kwiatów. Starczyłoby poddać obserwacji i eksperymentom metodycznym, których profan, jakim jestem, dokonać nie może, rozliczne odmiany szalwi, a wyni-

kłyby stąd niezmiernie interesujące wnioski odnośnie do jej przedziwnych wysiłków ewolucyjnych. Zanim to nastąpi, przytoczę pośród innych wskazówek spostrzeżenia Babineta nad różnymi odmianami zbóż. Uczony ten przekonał się, że rośliny te przeniesione w odmienne zgoła warunki klimatyczne dostrzegają zaszłą zmianę i dostosowują się do niej w sposób równie natychmiastowy i rozsądny jak pszczoły. Zboże nasze, zasiane w najgorętszych okolicach Azji, Afryki i Ameryki, gdzie go zima nie niweczy corocznie, staje się z powrotem tym, czym było przed wiekami, w początkach swego istnienia, to znaczy rośliną trwałą, trawą podobną do rosnącej na gazonach. Jest ciągle zielone i rozmnaża się przez korzenie nie tworząc kłosa ni ziarna. Przesiedlone w czasach niepamiętnych ze swej dzikiej, tropikalnej ojczyzny w nasze zimne, lodowe okolice musiało porzucić niezwłocznie odziedziczone nawyki i wynaleźć nowy sposób utrzymania i rozmnażania gatunku. Babinet powiada: „Organizm rośliny przeczuł, cudem jakimś niepojętym, konieczność przejścia przez stan ziarna, by nie wyginać doszczętnie podczas mroźnej pory roku“.

XXIV

Sądzę, że gdyby w jednym bodaj przypadku stwierdzono akt rozwoju intelektualnego poza ludzkością, fakt ten starczyłby w zupełności dla usunięcia raz na zawsze zarzutu, o jakim mówiliśmy powyż. Pomijając jednak przyjemność odparcia argumentu nieuzasadnionego zgoła i wynikającego z pychy ludzkiej, musimy przyznać, że cała kwestia oso-

bistej inteligencji kwiatów, owadów czy ptaków jest w gruncie dosyć błaha. Jakież znaczenie mieć może dla nas, jeśli ktoś powie, że to nie storczyk ani pszczoła, nie roślina i owad, ale sama przyroda liczy, kombinuje, odkrywa, rozumuje? Ponad te szczegóły wznosi się kwestia nierównie wyższa, większej stokroć godna uwagi i badawczości. Idzie o ujęcie charakteru, cech, metod, a może nawet celu inteligencji ogólnej, z której wyłaniają się wszystkie akty rozumne, zachodzące na ziemi naszej. Z tego to właśnie i wyłącznie z tego tylko względu najbardziej pociągającym badaniem, jakie istnieć może, jest studium mrówek, pszczół, kwiatów, to znaczy istot, w których, poza człowiekiem, przejawia się istnienie owej siły twórczej.

Reasumując wszystko, cośmy powiedzieli, dochodzimy do wniosku, że tendencja i metody intelektualne są u storczyków co najmniej tak złożone, skomplikowane, tak daleko posunięte a zarazem tak oczywiste, jak u błonkoskrzydłych, żyjących w zespole socjalnym. Dodać należy, iż nie znamy wielkiej liczby motywów, racyj oraz logiki tych ruchliwych owadów, z którymi doświadczenia są tak trudne, a natomiast rozumiemy z łatwością wszystkie motywy, racje i całe ciche, konsekwentne, mądre rozumowanie kwiatu.

XXV

Cóż tedy dostrzegamy w królestwie kwiatów chwytając na uczynku naturę, inteligencję powszechną czy geniusz świata, gdyż o nazwę nam nie idzie wcale? Rzuca nam się w oczy dużo faktów, których

pomieścić w tak małym szkicu niesposób, w pierwszej zaś linii stwierdzamy ponad wszelką wątpliwość, że idea piękna, radości życia, środki czarowania oraz upodobania estetyczne kwiatów zbliżone są bardzo do naszych. Niezawodnie ściślejszym byłoby twierdzenie, że nasze poglądy są podobne do zapatrywań kwiatów. Jest to rzecz zgola niepewna, czy zdołalibyśmy sami przez się odkryć piękno będące wyłącznie naszą własnością. Wszystkie nasze motywy architektoniczne i muzyczne, całą harmonię barw i światła, słowem, wszystko zaczerpnęliśmy z przyrody. Nie wspominając morza, gór, firmamentu, nocy, zmierzchu, czegoż by na przykład powiedzieć nie można o pięknie drzew? Nie mam na myśli drzew w pojęciu lasu będącego jedną z wielkich potęg ziemi, głównym może źródłem naszych instynktów i odczuwania wszechświata, mówię o drzewie samotnym, które na zielonej wiecznej głowie starca dźwięga tysiące pór roku. Któż z nas nie chowa w pamięci wspomnienia kilku bodaj pięknych drzew, pośród wrażeń tworzących, choć tego nie wiemy, ową toń przeźroczą, ową istotną głąb szczęścia i pokoju życia całego? Wraca do wspomnień nader prostych człowiek, który przeżył połowę dni swoich i stanął u kresu pory zachwyty, człowiek, który wyczerpał wszystkie niemal dary sztuki, geniuszu, kultury wieków i ludzi, a potem rozmyślał, porównywał i wyciągał wnioski. Wspomnienia owe, to dwa czy trzy czyste, niewinne obrazy, rysujące się na niepokalanym niebie, niezmiennie, wieczyście świeże a tak ponętne, że pragnęłoby się zabrać je na sen ostatni, o ile prawdą

jest, że obraz może przekroczyć próg dzielący dwa nasze światy.

Nie mogę sobie wyobrazić rajy ni życia poza grobem tak wspaniałego, tak cudownego, by nie był mu prawdziwą ozdobą wspaniały buk z Sainte-Baume, cyprys, pinia florentyńska lub sosna skromnego dworku tuż pod moim domem, będąca przechodniom pierwowzorem majestatycznych ruchów, koniecznej odporności, spokojnej odwagi, rozmachu, powagi bezsłownego zwycięstwa i wytrwałości.

XXVI

Odszedłem zbyt daleko od tematu, chciałem zaś powiedzieć jeno, że przyroda wydając kwiat chce być piękną, podobać się, rozweselać i pokazać, że umie być szczęśliwą, czyli czyni dokładnie to samo, co czynilibyśmy sami, mając do dyspozycji jej skarby. Zdaję sobie sprawę, że słowa moje przypominają owego biskupa, który wyrażał podziw dla Opatrzności sprawiającej, iż wszystkie wielkie rzeki przepływają w pobliżu wielkich miast, ale niesposób ujmować tych rzeczy inaczej jak z ludzkiego stanowiska. Trwając na nim dalej, stwierdzić musimy, że nie znając kwiatów mielibyśmy nader mało znaków i wyrażeń dla określenia szczęścia. Chcąc należycie ocenić potęgę ich piękna i wesela, trzeba żyć w kraju, gdzie panują niepodzielnie, to jest w Prowansji, gdzie piszę te uwagi moje. Tutaj kwiat jest jedynym władcą łąk i pól. Wieśniacy zatracili tu zwyczaj uprawy zboża, zupełnie jakby mieli zaspokajać potrzeby jakiejś ludzkości subtelniejszej, żyjącej roz-

koszą zapachu i ambrozją. Pola, to jedna fala kwietna odnawiająca się w coraz to innej postaci, a wonie, zmieniając się ciągle, tańczą jakby sarabandę wokół pór roku. Anemony, lewkonie, mimozy, fiołki, goździki, narcyzy, hiacynty, żonkile, rezeda, jaśminy, tuberozy pełnią dni i noce, miesiące, zimy, lata, wiosny i jesieni. Najwspanialszy jednak okres, to władztwo róż majowych. Wówczas jak okiem sięgnąć, wszędzie, po stokach wzgórz, po rozłogach dolin, pośród tam, przez winnice i gaje oliwne przelewają się fale kwietnego morza, spośród których sterczą jeno szczyty domów i drzew, a barwa onych fal jest tą właśnie, jaką połyska młodość, radość i zdrowie. Zapach gorący i rzeźwy zarazem, rozkoszny, otwierający, zda się, bramy nieba, płynie jakby wprost z prądźródła szczęśliwości. Drogi i ścieżki wycięte są w samym, rzec można, puchu kwietnym. Ma się wrażenie, że po raz pierwszy w życiu daną nam została dostatecznie wielka i szczytna wizja szczęścia.

XXVII

Nie schodząc ze stanowiska człowieczego i trwając dalej w koniecznej złudzie dorzucimy uwagę drugą do pierwszej, a będzie ona ogólniejsza, a przy tym nie tak ryzykowna i brzemienna w skutki. Oto, zdaniem moim, geniusz ziemi, będący prawdopodobnie zarazem geniuszem całego świata, zachowuje się w walce o byt zupełnie podobnie do człowieka. Stosuje te same metody i posługuje się tą samą logiką. Osiąga cel środkami, jakich się imamy, idzie omackiem, waha się, zawraca, zaczyna po kilka razy je-

dno, dodaje szczegóły, eliminuje je, poznaje i naprawia błędy, słowem, czyni wszystko, co my byśmy czynili na jego miejscu. Dalej czyni on wysiłki, z trudem robi powolne, drobne odkrycia i wynalazki, zupełnie jak inżynierowie i robotnicy po pracowniach. Ponadto walczy, jak my, z ciężką, ogromną, ciemną i bezwładną materią, własnego jestestwa. Równie, jak my, nie wie, dokąd zdąża, szuka siebie samego i odnajduje powoli i po trochu. Ideał jego często mętny jest, ale dostrzec w nim można mnóstwo wielkich dróg zmierzających stromo ku wyżynom życia płomienniejszego, bardziej rozczłonkowanego, nerwowszego i bardziej uduchowionego. Materialnie dysponuje środkami nieograniczonymi, zna tajemnicę sił cudownych, która nam jest zakryta, ale intelektualnie, rzecz można, tkwi ściśle w tej samej, co my, sferze, bowiem dotąd nie stwierdziliśmy, by przekroczył jej zakres. Jeśli zaś nie czerpie nic spoza tych granic, czyż nie znaczy to jednocześnie, iż nie ma tam co czerpać, że „tam“ nie ma w ogóle nic? Tak, jest to dowodem oczywistym, że metody ludzkie są jedyne, możliwymi metodami, że człowiek nie pomylił się, że znajduje się na dobrej drodze, że nie jest ani wyjątkiem, ani potworem, ale istotą, przez którą płyną i w której się przejawiają najpotężniej wielkie moce i wielkie pożądania wszechświata.

XXVIII

Punkty wytyczne świadomości naszej wynurzają się z ciemności zwolna i bardzo skąpo. Nie starczy dziś już może dla porównania ów słynny obraz Pla-

tona, owa grota, na której ścianach majaczą niepochwytne cienie zjaw nieznanych. Jeśli jednak zmodernizujemy ową alegorię, nie stanie się bardziej pocieszającą. Wyobrazić sobie możemy jeno, że grota owa rozszerzyła się dziś znacznie, ale mimo to dotąd nie przeniknął do niej ni jeden nawet promień słońca. Poza światłem wyposażono ją we wszystkie zdobyczne cywilizacji współczesnej, a ludzie żyją tam od urodzenia jako więźniowie. Nie żałują światła, albowiem nie widzieli go nigdy, nie są ślepi, oczy ich nie zagasły, tylko nie mając na co patrzeć przeistoczyły się prawdopodobnie w najczulszy organ zmysłu dotyku.

Chcąc wyrozumieć ich ruchy i czyny, wyobraźmy sobie tych nieszczęsnych pogrążonych w ciemni, otoczonych mnóstwem przedmiotów nieznanych. Ileż dziwnych pomyłek, zboczeń niepojętych, tłumaczeń nieprzypuszczalnych! Najbardziej wzruszający byłby widok wytrwałych, genialnych nieraz wysiłków dostosowania do użytku codziennego rzeczy nie stworzonych dla ciemności. Ileż męki mieściłoby się w posciugu za drogą właściwą i jakimże byłoby ich zdumienie, gdyby naraz światłość słońca objawiła im rzeczywiste przeznaczenie narzędzi i aparatów, którymi o ile można najlepiej posługiwali się w niepewności nocy?...

Tragiczny to obraz, a jednak sytuacja tych ludzi wydaje się jasną i łatwą w porównaniu z położeniem naszym. Tajemnicza ciemność, po której chodzą omackiem, posiada ściśle określone granice. Pozbawieni są jednego jeno zmysłu, podczas kiedy oznaczyć nie podobna ilości brakujących nam narządów poznania.

Przyczyna ich błędów jest tylko jedna, zaś przyczyną pomyłek naszych nikt zliczyć nie jest w stanie.

Skoro już żyjemy w jaskini tego rodzaju, stwierdzić winniśmy, że siła, która nas w niej uwięziła działa często, jak my sami działamy, zwłaszcza gdy idzie o rzeczy ważne. Skonstatowanie tego faktu, to rodzaj światełka w naszym podziemiu, przy którego blasku spostrzegamy, że nie pomyliliśmy się w stosowaniu przedmiotów tam nagromadzonych, zaś kilka promieni światełka tego przyniosło nam w darze owady i kwiaty.

XXIX

Uniesieni głupią pychą, przez czas długi trwaliśmy upornie przy wierze, iż jesteśmy twórcami cudownymi, jedynymi i specjalnie uprzywilejowanymi, które spadły na ziemię po prostu z nieba, a przeto nie mają nic wspólnego z resztą życia. Uważaliśmy się za posiadaczy uzdolnień niesłychanych, niezrównanych, po prostu potwornych. Okazało się jednak później, że korzystniejsze jest nie zaliczać się do cudów, albowiem przekonaliśmy się, że wszelkie cuda rozpływają się bez śladu w normalnej ewolucji natury. Bardziej pocieszającą jest myśl, że kroczymy tą samą drogą co całokształt świata, że posiadamy te same idee, nadzieje, a nawet i uczucia, o ile pominiemy nasze specyficznie ludzkie marzenia na temat sprawiedliwości i miłosierdzia. Uspokaja wielce owa pewność, że dla naprawy losu, dla zużytkowania sił, wykorzystania sposobności lub obrócenia na swą korzyść praw materii używamy środków ściśle tych sa-

mych, jakich używa przyroda dla uświadomienia i uporządkowania dziedzin nieopanowanych i ciemnych. Dobrze jest także wiedzieć, że nie ma środków innych, że mamy rację, że zajmujemy właściwe stanowisko oraz że domem naszym jest wszechświat utworzony z substancji nieznanych, których jednakże idea twórcza nie jest nieprzenikalna i obca, ale przeciwnie analogiczna z naszą i do niej podobna.

Można by się naprawdę bać i tracić otuchę, wówczas gdyby przyroda wiedziała wszystko, nie popełniała omyłek, gdyby okazywała się doskonałą i nieomylną we wszystkich przedsięwzięciach swoich, a zwłaszcza gdyby wszędzie przejawiała inteligencję niewspółmiernie wyższą od naszej. Mielibyśmy prawo uważać się za ofiary, za łup potęgi wyższej, bez jakiegokolwiek nadziei poznania jej i zmierzenia. Daleko lepszą rzeczą jest dojść do przekonania, że potęga ta, przynajmniej pod względem intelektualnym, jest blisko spokrewniona z nami. Umysł nasz czerpie z tychże samych co ona źródeł. Jesteśmy istotami z tego samego świata, a przeto znajdujemy się pośród równych sobie. Nie stajemy już do walki z niedostępnymi bóstwami, jeno z okrytymi co prawda zasłoną, ale mimo to bratnimi siłami, które należy poznać, a potem pokierować nimi.

XXX

Nie będzie, zdaniem moim wielką zuchwałością twierdzić, że nie ma istot mniej i więcej inteligentnych, jeno że istnieje inteligencja kosmiczna, rodzaj fluidu wszechświatowego, przenikającego napotykanne istoty w stopniu rozmaitym, stosownie do tego,

czy są dobrymi, czy złymi przewodnikami ducha. Do tej pory na ziemi naszej istota ludzka jest formą bytu najmniej oporną na działanie owego fluidu, nazywanego boskim przez rozmaite religie. Nerwy nasze, to przewody, którymi rozchodzi się ta nad wyraz subtelna elektryczność. Zwoje naszego mózgu stanowią coś w rodzaju cewki indukcyjnej, wzmacniającej prąd, który jednakże sam co do istoty swej nie różni się wcale od prądu przepływającego przez kamień, gwiazdy, kwiat czy zwierzę i nie pochodzi z odmiennego źródła.

Tajemnic tych badać nie ma celu na razie, dlatego ponieważ nie posiadamy dotąd organu, którym by uchwycić można odpowiedź. Zadowolnijmy się przeto tym faktem, żeśmy zaobserwowali poza sobą pewne przejawy tejże inteligencji. Wszystko, co dostrzegamy w sobie, jest z natury rzeczy podejrzanę, gdyż jesteśmy jednocześnie sędzią i pozwanym i odczuwamy zbyt silną skłonność zaludniania świata naszych wyobrażeń zwidami złud i uroczych mamideł nadziei. Za to najdrobniejszy nawet ślad zewnątrz nas cenić należy wysoce i miłować wielce. Przejawy, jakie dają nam kwiaty, są minimalne w stosunku do danych, jakich byśmy zaczerpnąć mogli od gór, morza i gwiazd w razie podchwycenia zagadki ich życia. Mimo to jednak dają nam one prawo przypuszczania z niejaką otuchą, że duch ożywiający wszystko lub odszczepiający się od tego, co żyje, w istocie swej jest tym samym duchem, który ożywia ciało nasze.

Jeśli zaś podobny jest naszemu, jeśli jesteśmy jednej z nim istoty, jeśli wszystko, co zawiera, mieści się także w nas samych, jeśli stosuje metody na-

sze, jeśli ma nasze upodobania, przedsięwzięte te same środki ostrożności, ma te co nasz tendencje i pragnienia doskonałości, czyż wobec tego można nazwać nielogiczną nadzieję naszą instynktowną i nieposkromioną, która jest zarazem jego nadzieją? Czyż można przypuścić, że życie nie jest dziełem inteligencji, skoro spostrzegamy w nim taką masę inteligencji? To znaczy, czyż można przypuścić, by życie nie zmierzало do takich celów, jak: szczęście, doskonałość, zwycięstwo nad tym, co zwiemy złem, pokonanie śmierci, ciemności i wreszcie samej nicości, będącej prawdopodobnie jeno cieniem twarzy albo może snem własnym świadomości.

WON KWIATÓW

Mówiliśmy do tej pory o inteligencji kwiatów, teraz jest rzeczą słuszną rzec słowo o woni będącej ich duszą. Niestety, podobnie jak się dzieje, gdy mowa o duszy ludzkiej, owej woni innej sfery, w której skąpana jest świadomość człowieka, natrafiamy zaraz w zaczątkach na rzeczy niepoznawalne.

Nie wiemy wcale, jakie ma przeznaczenie owa czarowna, upojna a niedostrzegalna woń, wydzielana przez koronę kwiatu. Jest więcej niż wątpliwe, by służyła głównie za przynętę dla owadów. Przede wszystkim, większa część najwonnejszych kwiatów właśnie obywa się całkiem bez krzyżowania, tedy wizyta pszczoły lub motyla jest im zgoła niepotrzebna, a nawet przykra. Po wtóre, owady pożądają samego jeno nektaru i pyłku dla fabrykacji miodu i pierzgi, a obie te substancje są bezwonne. Dlatego też owady unikają najrozkoszniej pachnących kwiatów, jak róże i goździki, a obsiadają tłumnie klony i leszczyne, których woń jest nader słaba.

Musimy tedy przyznać, że nie wiemy, na co woń pożyteczna może być kwiatom, jak również nie znana nam jest przyczyna odczuwania przez nas zapachu. Powonienie jest to zmysł dotąd nie zbadany. Nie ulega wątpliwości, że wzrok, słuch, dotyk i smak są niezbędne dla normalnego funkcjonowania całości kształtu naszego organizmu. Ale dopiero długie wy-

chowanie wiekowe nauczyło nas, jak się mamy rozkoszować bezinteresownie kształtami, barwami i dźwiękami. Powonienie spełnia zresztą równie ważne czynności, jest kontrolerem powietrza, którym oddychamy, jest higienistą i chemikiem czuwającym troskliwie nad jakością pożywek, które mamy przed sobą, albowiem woń nieprzyjemna świadczy o obecności podejrzanych lub niebezpiecznych wprost zarazków. Ale obok tych praktycznych celów powonienie odznacza się cechami nie posiadającymi żadnego realnego odpowiednika. Wonie najrozmaitsze nie mają żadnego znaczenia dla naszego życia fizycznego, a gdy trwają za długo lub są zbyt skoncentrowane, przemieniają się w zabójczą truciznę. Mimo to jednak radują nas i niosą nam jakąś dobrą wieść, witana z takim zapalem, jakby szło o odkrycie smacznego owocu lub orzeźwiającego napoju. Owa właśnie bezpożyteczność zwraca uwagę naszą na problem woni. Musi się w tym kryć jakaś miła tajemnica, gdyż tu po raz pierwszy dopiero przyroda raczy nas całkiem darmo czymś miłym, nie będącym przyzodobą nastawionej pułapki konieczności ani też wabikiem w samotrzask. Powonienie, to jedyny zmysł luksusowy narzucony nam przez przyrodę. Wydaje się, że jest niemal obcy ciału naszemu i nie związany z nim ściśle. Jestże to narząd rozwijający się czy też organ, który zanika? Czy zdolność ta budzi się w nas czy zasypia? Wszystko przemawia za tym, że zostaje w ścisłym stosunku do cywilizacji naszej. Starożytni nie interesowali się specjalnie zapachami subtelными lubując się jeno w woni ciężkiej, brutalnej, mocnej, dlatego też używali piżma, benzoesu, miry, kadzi-

dła, zaś o zapachach kwiatów rzadko jeno wspominały poematy greckie, łacińskie oraz literatura hebrajska. Czyż po dziś dzień przyjdzie na myśl chłopu naszemu, nawet w chwilach wywczasu zupełnego, wachać fiołki lub róże? A przeciwnie, mieszkani miasta spostrzegłszy kwiat natychmiast podnosi go do nosa. Możemy tedy przypuścić, że powonienie jest to zmysł, który zjawił się ostatni na ziemi, jedyny może nie znajdujący się na drodze „uwstecznienia“, jak powiadają biologowie. Z tego powodu więc winniśmy się doń przywiązać, badać go i pielegnować wszelkie możliwości, jakie nasuwa. Jakąż by nam sprawił niespodziankę, gdyby osiągnął np. doskonałość wzroku, jak to się stało u psa, który odbiera równie silne wrażenia węchowe jak wzrokowe!

Znajdujemy się na terytorium nie zbadanym dotąd wcale. Tajemniczy ten zmysł wydaje się na pierwszy rzut oka zgoła obcy naszemu organizmowi, a jednak po bliższym wnikięciu w sprawę widzimy, że przenika go tak jak żaden inny. Wszakże jesteśmy przede wszystkim istotami powietrznymi. Powietrze, to żywioł dla nas najniezbędniejszy, absolutnie konieczny, a powonienie jest jedynym zmysłem, który nam daje o nim jakieś określone wieści. Woń będąca klejnotem, wykwittem żywiciela naszego, powietrza, powstała nie bez słusznego powodu. Nie powinno by nas wcale dziwić, gdyby się okazało, że ten niepojęty zbytek odpowiada czemuś najistotniejszemu i czemuś najskrytszemu zarazem naszego organizmu, że przeto jest raczej wyrazem rzeczy, których dotąd nie ma, niż rzeczy, które już zaginęły. Możliwe jest, że zmysł ten jedyny, sięgający w przyszłość ujmuje dziś

już najważniejsze przejawy tej formy czy też szczęsnego i zbawczego stanu materii, który na przyszłość ma dla nas mnóstwo niespodzianek.

Na razie zajmuje się on spostrzeżeniami najgrubszymi, najmniej subtelnymi i ledwo domyśla się pomagając sobie wyobraźnią owych harmonijnych emanacyj, otaczających nimbem woni wielkie przejawy atmosfery i światła. Podobnie jak zaczynamy powoli ujmować woń deszczu czy zmroku, będziemy zapewne w stanie kiedyś pochwycić woń śniegu, lodu, rosy porannej, przeblasków świtu i jaśnienia gwiazd. Wszystko wydzielać musi woń jakąś dotąd nie znaną, przestrzeń, promień księżyca, szmer strumienia, chmura płynąca lub uśmiech lazuru nieba.

*

Przypadek, a raczej los zawiódł mnie w czasach ostatnich do miejscowości, gdzie rodzą się i wytwarzają wszystkie niemal wonie Europy. Wiadomo jest każdemu chyba, że na skrawku przelśnionej słońcem ziemi, ciągnącym się od Cannes do Nicei, każda piędź gruntu, najmniejsza dolina i wzgórek, wie dzie bohaterską walkę z ordynarnymi z syntezy chemicznej powstałymi perfumami, które są coś jakby malowane, teatralne dekoracje, przedstawiające krzaki i łąki, w porównaniu z lasem, borem, niwą i rozłogiem pól.

Praca wieśniaka unormowana jest tu wedle kalendarza wyłącznie kwiatowego, którego najważniejszym czasokresem jest maj i czerwiec, kiedy to panuje para władców: róża i jaśmin. Wokoło tej przepięknej pory ubranej w szaty jutrzeńki i biel gwieździstą, tłoczą się od stycznia do grudnia niezliczone szybko przemijające fiołki, tłumne żonkile i skromne

narcyzy, bujne mimozy, rezedą, wonne goździki, wspaniałe geranie, pomarańczowe kwiecie, srogie w dziewictwie swoim, lawenda, janowiec hiszpański, oszałamiająca tuberoza oraz kasja, rodzaj akacji o kwiecie podobnym do liszki pomarańczowej barwy.

Zdziwienie ogarnia, gdy się widzi, jak zażywni, barczyści, ciężcy chłopci, skutkiem mozolnej pracy rolnej zobojętniali zazwyczaj wszędzie indziej na powab uśmiechów życia, biorą się i to na serio do zajęcia kwiatami, jak się wysilają na delikatne traktowanie kruchych łodyg, jak to pełnią funkcje pszczoł czy naśladują księżniczki, jak uginają się pod brzemieniem fiołków i żonkilów. Najsilniejsze jednak wrażenie odnosi się rankiem lub też wieczorem w okresie kwitnienia róż i jaśminu. Wówczas wydaje się, że zmienione zostało nagle powietrze, że ustąpiło miejsca onej cudownej atmosferze, której woń nie jest jeno przelotnym, nikłym zjawiskiem, ale stałym, koniecznym, normalnym i określonym składnikiem.

*

Ktokolwiek kreślił obraz Grasse'u i jego okolicy, musiał, jak sędzę, opisać dziwny przemysł tej miejscowości, przemysł, rzecz można, baśniowy, rajski, który wprawia w ruch umysły i ręce wszystkich mieszkańców miasta tkwiącego u podnóża góry niby ul oblany złotymi promieniami słońca. Niejednokrotnie opisywano już zapewne owe karawany wozów wysypujące ładunek róż u progu fabryk buchających dymem, owe obszerne sale, w których sortowniczkę pływają dosłownie po falach kwiatów, oraz mniejsze nieco, lecz cenniejsze jeszcze kopce fiołków,

tuberoz, kasji i jaśminu, piętrzące się w koszykach niesionych na głowach przez wieśniaczki.

Opowiadano niezawodnie, jak to różnymi metodami, stosownie do gatunku kwiatu, wydziera się najistotniejszą część ich serca celem zamknięcia jej w kryształowym flaconie. Wiemy, że na przykład różę uprzejmię i chętnie oddają swój aromat nie zmuszając do manipulacji skomplikowanych. Pakuje się je w kotły większe od lokomotyw pośpiesznych pociągów i traktuje parą wodną. Pod jej wpływem oddziela się drogocenny olejek od pereł kosztowniejszy i kropla po kropli ścieka do małych, wąskich naczyń szklanych, u spodu aparatu dystylacyjnego umieszczonych, co wygląda, jakby potwór jakiś ogromny rodził z móżdżkiem krople ambry.

Inne kwiaty nie oddają tak łatwo w niewolę swej duszy. Trudno tu wyliczać wszystkich, rozlicznych tortur, którymi zmusza się je do oddania skarbów skrywanych rozpacznie we wnętrzu korony. Starczy wspomnieć o zaciekłości kata i upornym oporze ofiar przy stosowaniu ekstrakcji na zimno takich kwiatów, jak żonkile, rezedę, tuberozę i jaśmin. Przy tej sposobności podkreślamy, że zapach jaśminu jest jedy-ny, którego naśladować się nie da przez umiejętne mieszanie zapachów innych.

Na wielkich płytach szklanych kładą grubą warstwę tłuszczu, przykrywają ją warstwą kwiatów i przy pomocy przeróżnych manipulacji doprowadzają do tego, że wonny olejek przechodzi w tę masę. Jak się to dzieje, niesposób tutaj badać, dość że biedne kwiaty, pozbawione wszystkiego, rzucone zostają na śmietnik, a tłuszcz przykrywa warstwa no-

wa. W ten sposób torturowane, padają ofiarą masami i w przeciągu trzech miesięcy chciwy tłuszcz wysysa dziewięćdziesiąt generacji, aż dopóki, nasycony zupełnie aromatem, nie odmówi pożerania nieszczęśników.

Ponieważ fiołki opierają się łapczywości tłuszczu zimnego, przeto poddane bywają ponadto mękom ognia. Topi się smalec wieprzowy w łaźni parowej, a wrzucone weń te kwiaty wiośniane tracąc siłę oporu oddają swe skarby. Gorący tłuszcz wchłania, zanim się nasyci, cztery razy tyle fiołków, ile wynosi własna jego waga, a haniebne owe procedury trwają przez cały czas kwitnienia fiołków w oliwnych garach.

Nie kończy się na tym dramat, albowiem teraz fabrykant przystawia nóż do gardła tłuszczu zimnego czy gorącego i zmusza go, by oddał skarb utajony w wnętrzu swego bezkształtnego, ordynarnego cielska. Dokonać tego nie łatwo, ale tłuszcz obarczony jest nałogiem, który go doprowadza do zguby. Oto dają mu tyle alkoholu, aż straci przytomność i puści z pazurów zdobycz. Alkohol staje się teraz posiadaczem klejnotu, ale nie na długo, musi go bowiem oddać, przy czym sam doznaje porażki. Odparowują go, kondensują, usuwają i w końcu, po tylu najrozmaitszych przejściach otrzymuje się płynną perłę, czystą, niepokalaną, niewyczerpaną, wieczną niemal i umieszcza się ją w szczelnie zamkniętej ampułce z kryształu.

Pomijam tutaj inne procedury chemiczne ekstrakcji, jak np. metodę wytrawiania naftą, eterem, siarcz-

kiem węgla itd., albowiem wielcy fabrykanci perfum z Grasse'u, wierni tradycji, gardzą tymi sztucznymi i nikczemnymi niemal sposobami, dającymi perfumy o zapachu ostrym a raniącymi przy tym dotkliwie duszę kwiatu.

MIARA CZASU

Lato, to pora szczęścia. Nauczmy się korzystać rozkosznie, pełną piersią, z całą swobodą z owych chwil radosnych roku, o których w ciągu zimy marzą drzewa, łąki, góry i cała przyroda. Ów okres uprzywilejowany domaga się miary szlachetniejszej, dostojniejszej, wyższej niż miara stosowana do godzin zwykłych, szarych i pospolitych. Zawrzyjmy owe świetliste momenty w czarach wspaniałych, odświętnych, przejrzystych, zrobionych z tejże samej promienistej substancji, jaką zawrzeć mają, podobnie jak cennego wina nie nalewa się w szklanki pospolite dnia powszedniego, ale w przeczyste, kryształowe czary albo puchary srebrne, zdobiące stoły w dzień uczt wielkich i pamiętnych.

*

Jesteśmy już tak zorganizowani, że nie możemy osiągnąć świadomości życia, nie odczuwamy jego smutków ani nie rozkoszujemy się jego momentami radosnymi, o ile nie mierzymy płynącego czasu, nie liczymy owej monety, której dojrzeć nie jesteśmy w stanie. Czas nie ucieleśnia się nam, nie staje dostrzegalny, nie nabiera wartości, o ile nie przepływa przez skomplikowany aparat, jaki wynaleźliśmy po to, by go unaocznić i uczynić konkretnym. Nie posiadając sam przez się istnienia przyjmuje cechy, ton i kształt instrumentu, który mu formę nadaje. Mi-

nuta, którą wyszemrze nasz kieszonkowy zegarek, wygląda zgoła inaczej niżli minuta wyznaczona przez wielki wieżowy zegar katedry gotyckiej. Nie należy tedy odnosić się obojętnie do sprawy narodzin godzin naszych.

Wszakże w różnego kształtu szklanki nalewamy wino, stosownie do odcienia barwy jego i smaku, jakim czaruje nasze podniebienie, innego naczynia domaga się lekkie bordeaux, sytny burgund, orzeźwiający szampan. Dlaczegoż byśmy nie mieli rozróżniać chwil życia naszego wedle tego, czy są pełne melancholii, bezwładu czy radości? Przystoi, by miesiące pracy, dni zimowe, dni trosk, zajęć materialnych, pośpiesznej zabiegliwości, momenty niepokoju i trwogi znaczone były metodycznie w sposób właściwy, liczne i rejestrowane przez kółka i wskazówki stalowe na emaliowanych tarczach zegarów kominkowych, elektrycznych, pneumatycznych czy miniaturowych zegareczkach damskich.

Czas majestatyczny, władca ludzi i bogów, czas nieogarnięty, człowieczy kształt nieskończoności jest z drugiej strony jeno uprzykrzonym owadem, gryzącym i drążącym z bezduszną wytrwałością życie pozbawione nadziei nieba i spoczynku. Co najwyżej w chwilach ukoju, wieczorem, przy świetle lampy, w krótkich momentach skradzionych trosce o chleb lub zakusom próżności, wolno majestatycznemu, spiżowemu wahadłu marmurowego, okrytego brązami, flamandzkiego zegara przeciągać i przybierać w od-

świętny kształt sekundy poprzedzające nadejście poważnej nieuniknionej nocy.

*

Jakże nam brak starożytnej, tajemniczej, cichej klepsydry, snującej piasek w godzinach nie obojętnych, ale naprawdę czarnych, w godzinach zniechęcenia, rezygnacji, choroby, cierpień, w czasie martwym życia naszego? Stała się ona dziś jeno obumarłym symbolem grobowym i widnieje, poza pomnikami cmentarza, jeno na malowidłach kościelnych o treści żałobnej. Odnajdujemy ją co najwyżej gdzieś w prowincjonalnych kuchniach w formie zwyrodniałej, gdzie mierzy czas gotowania jaj na miękko. Wyszła z użycia jako instrument mierzenia czasu i figuruje jeno wraz z kosą w przestarzałych emblematkach, a jednak miała swe zalety i oddała nam znaczne przysługi. Była miarą nie dającą się zastąpić bez uczucia wielkiego braku w godzinach pozbawionych radości, uśmiechu, uroczych niespodzianek i przyozdoby wszelakiej, kiedy myśl człowieka snuła się poprzez wieczystą omgłę smutku w klasztorach pobudowanych wokół cmentarzysk otwierających swe podwoje i okna jeno na niepewne blaski płynące spoza rubieży tego świata. Nie podkreślała wówczas istnienia czasu, bo tonął on w piasku, mierzyła jeno jedno po drugim ziarenka różańca, liczyła zdrowaśki, bezmiar oczekiwania, strach i nudę. Minuty utożsamiały się z ziarnkami tegoż piasku, zdawały oderwane, odcięte od całokształtu życia, od nieba gwieździstego, od ogrodu, przestrzeni, a naczynko szklane klepsydry zamykało ten piasek, jak cela więżąca mnicha. Nie szło tam wcale o nazwę godziny,

o jej byt swoisty, wszystkie bowiem grażyły się w piasku żałobnie, a znużona i otępiała myśl snuła się przy cichym, nieustannym ich spadku beżmiarami nicości i padała w końcu niby popiół łącząc się z popieliskiem śmierci.

*

Wśród baśniowych brzegów, kędy toczy się płomienna fala lata, lepiej, zda się, mierzyć świetlisty zalew płynących godzin w ten sposób, jak je wyznacza sama promienista gwiazda, będąca źródłem upojen i wywczasów naszych. Czasu dni onych, jakby nieskończonych i nieuchwytnych, wierzę i ufam jeno owemu rozdziałowi światła, jaki zaznacza samo słońce za pomocą cienia na marmurowej tarczy widniejącej w ogrodzie tuż w pobliżu studni. Ono samo promieniami swymi w ciszy zupełnej zapisuje mijanie czasu, znacząc, jakby to była rzecz zgoła bez znaczenia, przelot światów po śródgwiezdnej przestrzeni. Ta bezpośrednia transkrypcja jest jedynie autentycznym wyrazem woli czasu, kierującej ruchem gwiazd, a zarazem naszymi marnymi godzinami ludzkimi, regulującymi porę jadła oraz drobne czynności życia. Ta jeno miara posiada urok dostojności, jest oddźwiękiem potęgi nieskończoności, ten jeno bezpośredni sprawdzian czyni urocznymi i świętymi poranki rozbłyśnięte rosą, a przemienienia czas popołudniowy bezchmurnego lata w coś, co przypomina wieczność.

Znika, niestety, coraz to bardziej z ogrodów zegar słoneczny, jedyny umiający z należytych namaszczeniem kreślić dzieje promienistych, niepokalanych godzin. Napotykamy go dziś jeno w podwórzach pa-

łaców, po placach gry, kamiennych terasach, po starych miastach i opuszczonych zameczkach, gdzie pozłociste znaki na jego tarczy i wskazówki niszczą zwolna pod działaniem potęgi tego samego bóstwa, którego kult szerzyć miał przez wieki.

Pozostały jednak wierne zegarowi słonecznemu Prowansja oraz niektóre włoskie miasta i widzimy tam często na zniszczonych fasadach, rozpadających się w zgoła swawolnej beztrosce, malowaną al fresco tarczę, na której promienie słońca znaczą starannie majestatyczny ruch jego. Widzimy tam naiwne czy głębokie dewizy i napisy, znamienne jednak zawsze przez miejsce, na którym są umieszczone, oraz wysilek włączenia krótkiego życia człowieczego w całość kształt niepojętych zjawisk przyrody.

— Godzina sprawiedliwości nie bije na zegarze tego świata!

Tak głosi napis zegara słonecznego na wieży kościoła Tourette-sur-Loup, przedziwnej, niemal afrykańskiej wsi w pobliżu mego domu położonej, która przez swe olbrzymie zwały skał, rozpadliny, agawy i figowce zdaje się być miniaturą jakiegoś Toleda zmienionego w ruinę żarem słońca.

— *A lumine motus!* Porusza mną światłość!

Taką wieść głosi inny zegar z dumą niezmierną.

— *A myddst ye floures, I tell ye houres!* Liczę godziny wedle kwiatów!

Taki napis widnieje na marmurowej płycie starego stołu w pewnym ogrodzie.

Najpiękniejszą jednak, rzecz można, sentencję odkrył pewnego dnia w okolicach Wenecji Hazlitt, au-

tor angielski, żyjący w początkach zeszłego wieku. Brzmi ona:

— *Horas non numero nisi serenas!* Znaczą jeno jasne chwile!

O, jakąż niszczącą potęgą jest smutek! Cień znika z słonecznego zegara, gdy słońce kryje się za chmury, a czas staje się bezmierną pustką, o ile przelotu jego nie stwierdzają momenty wesela, bowiem wszystko, co nie raduje, zapada w otchłań zapomnienia.

Cóż za piękne słowa? Uczą nas, że liczyć należy jeno godziny przynoszące dary, że przywiązywać trzeba znaczenie jeno do uśmiechu, nie myśleć o przeciwnościach losu, ale tworzyć byt własny z momentów jasnych, miłych, patrzeć jeno na słoneczną stronę każdej rzeczy czy zjawiska, a resztę zostawić wyobraźni niebaczej i zapominającej łatwo.

*

Zegar wahadłowy i zapomniana klepsydra znaczą godziny abstrakcyjne, nie posiadające oblicza. Są to narzędzia zanemizowanego czasu komnat naszych czasów, niewoli i bezwoli, natomiast zegar słoneczny to coś, co nam daje realny i żywy obraz skrzydła onego bóstwa, które unosi się w lazurze. Marmurowa płaszczyzna zegara słonecznego, zdobiąca terasę lub plac, z którego rozbiegają się długie aleje, harmonizuje doskonale z majestatycznymi schodami, ujętymi w balustrady z murami zielonych szpalerów, idącymi w głąb niesieźną, zda się, i tam to zażywamy przelotnych a niezapomnianych chwil radości. Ten, kto umie dostrzegać w przestrzeni kształty godzin onych, zobaczy, jak spływają nad ziemię i pochylając się ku tajemniczemu ołtarzowi składają ofiarę bóstwu, któ-

re człowiek czci, choć go pojąć nie może. Ujrzy je płynące w szatach różnych, zmiennych, uwieńczone owocami, kwiatami i brylantami rosy. Pierwsza jawi się przejrzysta jeszcze, ledwo widzialna godzina brza-sku, po niej przybywają siostry, godziny południa płomienne, okrutne, błyszczące, niewzruszone, a po nich nadpływają godziny zmierzchu, powolne, dostatnie, bogate, opóźniane w biegu swym ku nocy bliskiej przez zakrwawione purpurą cienie drzew.

*

On jeno godzin jest mierzyć świetność miesięcy mieniących się zielenią i złotem. Po równi z wielkim szczęściem niemy jest. Czas płynie ponad nim bezgłośnie, podobnie jak ponad sferami przestrzeni. Ale użycza mu czasem głosu spiżowego kościołek wiejski i wówczas nic nie dorównywa harmonii tętnienia dzwonu złączonego z niemym gestem jego cienia znaczącego południe w oceanie lazuru. Tworzy on punkt centralny i daje imiona chwilom szczęśliwości roz-pierzchłym i bezimiennym. U tego zwierciadła czasu spotyka się wszystko i nabiera świadomości swego trwania. Zbiegają tu zjawy rozliczne, cała poezja, rozkosz patrzenia na świat, wszystkie tajemnice fir-mamentu, mgliste i niejasne myśli krzewów strzegą-cych rzeźwego tchnienia powierzonego im przez noc, niby świętego skarbu, intensywna, rozedrgana bło-gość łąnów pszenicy, łąk, wzgórz, wydanych bezbron-nie na łup pożerczej świetności promieni, niezara-dność strumieni toczących się wśród niskich brzegów, sen stawu pokrywającego się potem baniek powie-trza, zadowolenie domu rozwierającego pośród białej fasady okna złaknione oddechnięcia przestworzem

nieba, zapach kwiatów śpieszący się, by zakończyć dzień na miłowaniu piękności spędzony i ptaki śpiewające wedle programu godzin, wijące im girlandy wesela, sięgające w niebo. Wszystko to i mnóstwo zjaw zgoła niedostrzegalnych zbiega się tu, gdzie słońce będące jednym jeno kółkiem w olbrzymim mechanizmie, daremnie dzielącym na części nieskończoność i wieczność, znaczy łaskawie obrót, którego ziemia wraz z wszystkim, co w sobie mieści, dokonuje codziennie, dążąc przeznaczoną sobie drogą pośród gwiazd.

CHWIEJNOŚĆ
MORALNOŚCI WSPÓŁCZESNEJ

Janusz Bartel

I

Dotarliśmy do punktu rozwoju ludzkości, który zdaje się, nie miał dotąd odpowiednika w dziejach świata. Wielka część rodzaju ludzkiego i to właśnie równorzędna co do wartości swej z ową warstwą, która wytwarzała dotychczas wszystkie zjawiska znane nam z niejaką pewnością, porzuca religię swą, trwającą od blisko wieków dwudziestu.

Nie jest to fakt nowy, wygaśnięcie religii, musiał się zdarzyć niejednokrotnie w ciągu bezliku wieków, a nawet kronikarze schyłku państwa rzymskiego przechowali nam wiernie dzieje konania pogaństwa. Ale do tej pory ludzie wynosząc się z grożącej upadkiem świątyni chronili się do nowej, budowanej dopiero, porzucali jedną religię dla drugiej, my zaś porzucamy naszą nie mając, gdzie się schronić. Oto zjawisko nowe o nieznanych konsekwencjach, oto czas, zgoła odmienny od innych, w którym żyjemy.

II

Nie ma potrzeby przypominać, że religie dające zawsze pewne nadzieje życia pozagrobowego oraz normujące moralność miały niesłychany wpływ na szczęście ludzkie. Zdarzały się atoli religie i to nie-raz bardzo wpływowe, jak na przykład poganizm, które nie dawały żadnych nadziei i niemal żadnego

nie stwarzały systemu etyczno-moralnego. Nie będziemy mówili o obietnicach religii naszej, albowiem znikają wraz z wiarą, ale powiem kilka słów o etyce, albowiem żyjemy dotąd w gmachu etyki wybudowanym przez tę właśnie zamierającą wiarę. Mieszkamy w tym gmachu, ale mimo zamięłowania wygody i nawyku spostrzegamy, że sklepienie jego rozpada się nam nad głowami, że tu i owdzie brak nam już schrony dla głów naszych i znajdujemy się niespodzianie pod niebem, które nie daje nam już dziś żadnych haseł ni wskazówek. W konsekwencji tego zjawiska wytwarza się naprędce mniej lub więcej podświadoma moralność doraźna, sfabrykowana naprędce, bowiem jest niezbędna, skomponowana ze szczątków przeszłości, wyposażona w konkluzje zapożyczone od tak zwanego zdrowego rozsądku, wysnuta z kilku zasadniczych, na poły poznanych prawd naukowych oraz z pewnej intuicji rzeczy najwyższych, zdeorientowanej zupełnie świadomości, powracającej w mistycznie nowej postaci dawnych cnót, niedosiężnej znowu dla owego zdrowego rozsądku. To widzimy wszyscy i jesteśmy współtwórcami owej dziwnej etyki, przepojonej niepokojem, nie będzie tedy pozbawiona zainteresowania próba uchwycenia zasadniczych refleksów tego procesu wytwórczego.

*

Nadszedł czas, kiedy wielu zadaje sobie pytanie, czy kontynuując kierowanie się etyką dostojną i szlachetną w środowisku, gdzie większość powoduje się innym zgoła prawem, nie rozbrajają się zbyt naiwnie i nie schodzą do niewdzięcznej roli oszuka-

nych i wywiedzionych w pole. Pragną się oni dowiedzieć, czy motywy przywiązania do dawnych cnót nie są czysto uczuciowe, tradycyjne, chimeryczne i beztreściwe i szukają daremnie w sobie samych owej ostoji, jaką dać może jeszcze rozum.

III

Nie wspominając o sztucznym porcie, do którego chronią się ci, którzy pozostali wierni dogmatom wiary, wyższe warstwy ludzkości cywilizowanej lawirują pomiędzy dwiema sprzecznymi doktrynami. Te dwie doktryny zresztą równoległe, lecz wprost przeciwne od dawien dawna przepływały, niby dwie w odmiennych kierunkach dążące rzeki, rozłogi moralności ludzkiej, nigdy jednak koryta ich nie zarysowały się tak ostrym konturem i nigdy nie były wyłożone tak głęboko. To, co przedtem było instynktowną jeno niejasną potrzebą egoistyczną i altruistyczną, których to uczuć fale mieszały się ciągle z sobą, stało się teraz systemem, altruizmem i egoizmem absolutnym i bezwzględny. U źródeł tych dwu rzek nie odkopanych na nowo, ale poruszanych i rozszerzonych w czasach naszych stoją dwaj ludzie, Tołstoj i Nietzsche.

Jak już zaznaczyłem, dwie te doktryny dzielą się z pozoru jeno całokształtem zagadnień etycznych. Istotny dramat sumienia człowieka współczesnego nie rozgrywa się ani na jednym, ani na drugim punkcie szczytowym tych poglądów. Oba, zatopione gdzieś w przestworzach, oznaczają jeno dwa cele chimeryczne, do których dojść nie marzy się nikomu. Pierwsza z owych doktryn cofa się wstecz ku

czemuś, co nie istniało nigdy w takiej formie, jaką mu nadaje, druga prze się gwałtownie w przyszłość, o której możliwości nic nie świadczy i której przewidzieć nie sposób. Rzeczywistość, z którą nie liczy się żadna z nich, snuje się pośrodku obu tych złud ogarniając zresztą obie i prześcigając ustawicznie ich zakres. W tej oto właśnie rzeczywistości, której obraz nosimy w duszach, szukać musimy wyjaśnień w kwestii formowania się moralności będącej ostoją współczesnego życia naszego. Zbyteczne jest chyba dodawać, że pod wyrażeniem „moralność” nie rozumiem owej miarki praktycznej egzystencji codziennej, uwarunkowanej modą i od niej zależnej, ale słowo to oznacza dla mnie wielkie prawo normujące byt wewnętrznej istoty człowieka.

IV

Moralność formuje się w świadomości naszej lub poza nią. Wychodząc z tego założenia, można by ustalić trzy sfery. Najniżej mieści się zakres najpospolitszy, materialny i najpowszechniejszy, który nazwiemy „zdrowym rozsądkiem”. Nieco wyżej, tam gdzie przeblaskują już idee utylitarne i wyobrażenia pozamaterialne, umieścimy zakres drugi zwąc go „rozumem”. Na szczycie, dopuszczając do głosu, ale kontrolując zarazem nieubłagane rewindykacje wyobraźni, uczuć i tego wszystkiego, co łączy nasze świadome życie z nieświadomym, a zarazem z nieznanymi potęgami świata wewnętrznego i zewnętrznego, umieszczamy część nie ograniczoną niczym tegoż samego właśnie rozumu wszechświatowego, której dajemy nazwę „rozumu mistycznego”.

V

Nie ma co zatrzymywać się nad rozpatrywaniem „zdrowego rozsądku”, owego zdrowego, chłopskiego rozumu, który tkwi w każdym z nas, zarówno dobrym, jak i złym, a który buduje każdorazowo gmach swój na ruinach idei religijnej. Jest to moralność sobkowska, egoizm praktyczny, gruby wspólny mianownik wszystkich instynktów i wszelakich uciech materialnych. Ten, kto wychodzi z zasady „zdrowego rozsądku”, przekonany jest, iż nie ma innej pewności poza własnym życiem. W tym to życiu osobniczym istnieją jako zło realne tylko dwa pojęcia: choroba i ubóstwo oraz dwa dogmaty dobra, nie dające się zastąpić niczym, to jest: zdrowie i bogactwo. Wypływają stąd wszystkie inne prawdy realne, zarówno dobre, jak złe. Cała reszta radości czy cierpienia wywołanych uczuciami i namiętnościami jest dla człowieka takiego fikcją jeno, bo zawisła od wyobrażeń i poglądów, jakie na nie mamy. Nasze prawo używania życia ograniczone jest jeno przez toż samo prawo przysługujące wszystkim żyjącym współcześnie z nami i w samym interesie niezmqanego korzystania z tegoż prawa musimy przestrzegać pewnych norm moralnych. Poza więzami tych norm nie uznajemy żadnego innego przymusu, zaś sumienie miast przeciwdziałać odruchom egoizmu gloryfikuje jego triumfy pod warunkiem, że triumfy te nie naruszają odczuwanych instynktownie i logicznie uzasadnionych praw życia społeczeństwa.

Oto trybunał pierwszy, oto pierwszy stopień etyki naturalnej, moralności zdrowego rozsądku.

Jest to stan, poza który nie wychodzą ludzie, na ogół biorąc, po zupełnym zaniku swych idei religijnych.

VI

Rozum, będąc mniej materialny, nie tak zwierzęcy, ujmując sprawę ze stanowiska nieco wyższego a przeto więcej dostrzega. Widzi, że skąpy i zachłanny „zdrowy rozsądek”, zamknięty w swej skorupie, pędzi żywot marny, jałowy i nikczemny. Przekonywa się z obserwacji, że człowiek podobnie jak pszczoła nie może żyć samotnie i że życie, które dzieli z podobnymi sobie, jeśli ma rozwinąć się swobodnie i rozkwitnąć, nie może się ograniczać ani do walki bezlitosnej, nie liczącej się ze sprawiedliwością, ani do prostej wymiany usług prymitywnie i bezdusznie kompensowanych. Stosunek swój do bliźnich funduje rozum jeszcze na egoizmie, ale nie jest to już zasada wyłącznie materialna. Ma on wielkie uznanie dla utylitaryzmu, ale rozumie, że posiada on stronę duchową i uczuciową. Przyjmuje istnienie radości i cierpień, przywiązań i antypatyj, których przedmiot może się mieścić w wyobraźni. W ten sposób nastrojony i zdolny wznieść się na pewien poziom górujący nad konkluzjami logiki materialnej, nie tracąc z oczu swego osobistego interesu mniema, iż wzniósł się ponad zarzut wszelaki. Sądzi, iż osiągnął szczytowe stanowisko i że tkwi tam pewnie i niewzruszalnie. Zdolny jest nawet do poczynienia niejakich koncesyj sprawom nie leżącym na terytorium własnym, to znaczy namiętnościom i uczuciom oraz tej niewytlumaczalnej atmosferze, która

je otacza. I czynić to musi, inaczej bowiem ciemne podziemia, w których tkwi, byłyby równie niezamieszkalne jak nora, gdzie wegetuje tępy „zdrowy rozsądek”. Niestety, też same właśnie koncesje zwracają uwagę na nielegalność jego uroszczeń ferowania wyroków w sprawach moralności, o ile sięgają poza zwyczajne praktyki powszedniego życia.

VII

Oczywiście, tak być musi, cóż bowiem może mieć wspólnego rozum na przykład z ideą stoicką obowiązku? Przebywają w zgoła odmiennych sferach, całkiem niemal pozbawionych łączności. Rozum mający pretensję do promulgowania własnowolnie praw normujących wewnętrzne życie człowieka musi natopkać tę samą akcję obronną i te same przeszkody, jakie mu stanęły w drodze w jednej z niewielu sfer, których nie zdołał opanować dotąd i zniewolić do posłuszeństwa, to jest w estetyce. W tych kwestiach zasięgana bywa jego rada, o ile rzecz idzie o założenie, punkt wyjścia oraz linię ogólną, natomiast z całą stanowczością nakazuje mu się milczenie przy kończeniu dzieła, gdzie ważą się sprawy najwyższego, tajemniczego piękna. O ile jednak godzi się dość łatwo ustąpić z pola w estetyce, w zakresie etyki chce rządzić niepodzielnie. Należałoby tedy raz na zawsze wskazać mu właściwe miejsce i zmusić, by poprzestał na legalnych funkcjach, jakie mu przystoją pośród innych uzdolnień stanowiących treść naszej istoty człowieczej.

VIII

Jedną z wybitnych cech czasów naszych jest wzrastająca coraz bardziej, niemal ekskluzywna ufność w tę cząstkę naszej inteligencji, którą nazwalimy „zdrowym rozsądkiem“ i „rozumem“. A nie zawsze tak było. Dawniej człowiek opierał na rozumie niewielką jeno i najpowszedniejszą część swego życia. Reszta miała fundamenty w innych dziedzinach ducha, przede wszystkim zaś w wyobraźni. Religie a wraz z nimi najjaśniejsza formuła moralności, której są głównym źródłem, znajdowały się w bardzo znacznej odległości od małego folwarczku, gdzie gospodarzył rozum. Była to przesada, ale należy zbadać, czy wprost przeciwna przesada czasów naszych nie jest przypadkowo ślepa. Niezmierny rozwój nauki, wynalazki i odkrycie wielu praw przyrody oddziaływały w ten sposób na nasze życie, że staliśmy się skłonni przypisywać rozumowi zalety niezmierne, należy jednak zastanowić się, zali posiada on do tego prawo. Logika z pozoru nieodparta, ale iluzoryczna, może olśniona kilku zjawiskami, jakie rzekomo znamy, każe nam zapomnieć o możliwości ilogizmu milionów zjawisk innych, których nie znamy jeszcze. Prawa naszego rozumu są wynikami doświadczeń, które wydadzą się nikłymi, gdy je porównamy z ogrodem niewiedzy naszej. Biorąc przykład najbanalniejszy przytoczę twierdzenie rozumu, który stawia tezę: „Nie ma skutków bez przyczyny!“ — Twierdzenie owo jest niezaprzeczone i wystarczające dla ciasnego zakresu życia materialnego. Gdy jednak przekroczymy ten krąg maleńki, teza owa traci wszelkie znaczenie na świecie, gdzie

wszystko jest niepoznawalne, pojęcie przyczyny i pojęcie skutku są równie nieznaczące. Na nieznacznym już wyżu życie nasze przekracza co chwila krąg materialny i doświadczalny, a przeto oddala się z terytorium rozumu. Nie można powiedzieć, by władał niepodzielnie nawet w świecie widzialnym, który w umyśle naszym za wzór mu służy. Przyroda nie zawsze funkcjonuje wedle reguł rozumu nawet w zjawiskach bliskich nam, zwyczajnych i stale się powtarzających. Cóż bezrozumniejsze jest jak marnowanie osobników? Cóż może być przyrównane do ślepego produkowania miliardów zarodków w tym celu, by wydać jednego jedyne osobnika i to w sposób całkiem przypadkowy? Ileż ilogizmu mieści się w tych niezliczonych i niepotrzebnych a tak skomplikowanych urządzeniach, jak na przykład w organizacji życia niektórych pasorzytów i zapylaniu kwiatów przez owady, mimo że cel ich jest tak prosty. Wszakże szaleństwem jest również powstawanie w przestrzeni miliardów światów, które giną, nie spełniwszy żadnego zadania. Wszystko to przekracza nasz rozum i wykazuje mu, że nie zawsze pozostaje w zgodzie z życiem powszechnym i że jest **we wszechświecie niemal izolowany**. Trzeba go zmusić, by rozumował wbrew swym własnym uzurpowanym interesom i do pokornego wyznania, że nie należy mu się wcale stanowisko dominujące w życiu naszym, które nie jest izolowane, ale związane najściślej z życiem świata. Oczywiście, używać go będziemy tam, gdzie nam jest pożyteczny, ale trzeba raz uświadomić sobie, że żadną miarą starczyć nie może na wszystko, gdyż jest niemal niczym. Po-

dobnie jak istnieje poza nami świat, który przekracza jego kompetencję, istnieje również w nas samych świat inny, sięgający poza krąg jego światła. Jest bardzo potrzebny i pełni doskonale drobne, powszednie funkcje w swej małej wioszczynie, ale nie ma sensu, by się podawał za władcę stolic, gór i mórz. Owe stolice, góry i morza zajmują w nas dużo więcej przestrzeni, niż mała wioszczyna naszej powszedniej egzystencji praktycznej. Użyć się da dla stwierdzenia pewnej liczby prawd niższych, często wątpliwych a niezbędnych, ale ponadto nie zda się na nic. Jest to raczej łańcuch wiążący niż podpora.

Pamiętajmy, że cały niemal nasz postęp dokonał się wbrew sarkazmom i klątwom, jakimi witał hipotezy z pozoru bezrozumne, zapłodnione przez wyobraźnię. Nie czepiajmy się go tedy niby jedynej zbawczej skały pośród rozhukanych fal bezkresnego oceanu świata. Związani z tym nieruchomym głazem, sterczącym na jednym miejscu poprzez wieki i wielkie okresy cywilizacji, nie zdołalibyśmy dokonać tego, czegośmy dokonać winni, i nie stalibyśmy się tym, czym stać się mamy, mimo wszystko, nadzieję.

IX

Do tej pory kwestia moralności w granicach rozumu nie miała wielkiego znaczenia, nie hamowała bowiem rozwoju pewnych aspiracji i pewnych sił uznawanych zawsze za najpiękniejsze i najszlachetniejsze, jakie tkwią w człowieku. Religie stanowiły nadbudowę tego dzieła dokonanego w części jeno.

Dzisiaj atoli, czując niebezpieczeństwo wynikające z przyrodzonych swych ciasnych granic, etyka racjonalistyczna, czyli moralność wedle recepty rozumu, chcąc stać się moralnością w całym słowa znaczeniu, usiłuje za wszelką cenę stać się sprawiedliwą, wspaniałomyślną i przeprowadzić w interesie własnym dowód rozumowy, że może być bezinteresowną, a czyni to w celu zapełnienia bodaj po części tej przepaści, jaka ją dzieli od tych właśnie aspiracji i tych sił niezniszczalnych. Niestety, są granice, poza które wyjść nie zdoła bez samozaprzeczenia, bez samozatamowania własnego źródła. Cóż tedy ma być przewodnikiem naszym po wyżach, gdzie zaczyna się sfera cnót nieużytecznych?

X

Zobaczmy zaraz, czy możliwa jest odpowiedź na to pytanie. Przypuściwszy nawet jednak, że poza nizinnymi rozłogami moralności racjonalistycznej nie ma zgoła i nie podobna znaleźć przewodnika, nie musimy tym samym niepokoić się przyszłością moralności ludzkiej. Człowiek jest w istocie swej istotą tak dalece, tak z konieczności moralną, że nawet wówczas, kiedy przeczy wszelkiej moralności, negacja owa jest ośrodkiem nowej etyki. Moralność jest, rzecz można, jego specyficzną manią. Ludzkość zasadniczo przewodnika nie potrzebuje i kroczy powolniej może nieco, ale z pewnością zupełną poprzez ciemń nie rozjaśnioną przez nikogo. Ma światło w samej sobie, a burza miotając płomieniem rozjara go jeszcze silniej. Jest niejako niezawisła od idei, którym się wydaje, że są jej przewodniczkami.

Nader łatwo dowieść faktami i stwierdzić tę rzecz ciekawą, iż owe periodycznie jawiące się idee miały nader nieznaczny wpływ na ogólną sumę zła czy dobra w świecie. Jedynym ważnym, jedynym decydującym czynnikiem jest fala duchowa, która nas nisie, podległa przypluwom i odpływom, ale wzrastająca stale, sięgająca wzwyż ku czemuś nieokreślone-
mu w przestrzeni.

Ważniejszy dużo od idei jest czas płynący mimo niej, rozwój cywilizacji danej chwili, będącej jeno podniesieniem się umysłowości ogółu na dany poziom historii. Gdyby jutro religia jakaś objawiła nam, dowodząc naukowo, z absolutną ścisłością, że każdy akt dobroci, poświęcenia, heroizmu — i wewnętrznej szlachetności daje nam bezpośrednio po śmierci nagrodę niewątpliwą i wprost niewyobrażalnie wielką, wątpię, czy doznałaby jakichś dostrzegalnych zmian owa mieszanina cnót i zbrodni, pośród których żyjemy. Czyż trzeba przytaczać dowody? W wiekach średnich zdarzały się czasokresy, kiedy wiara była absolutna i przepajała umysły pewnością tak niezachwianą, jaką nam dają pewniki naukowe. Nagroda cnoty i kara zagrażająca występкови były to dla ludzi ówczesnych fakty, tak rzec można, dotykalne, jak nasze eksperymenty laboratoryjne. A mimo to poziom dobra nie podniósł się wcale, jak to stwierdzamy obecnie. Poświęciło się za bliźnich swoich kilku świętych, doprowadzili oni do heroizmu niektóre spomiedzy najsilniej zakwestionowanych cnót, ale ogół, cała masa i wszyscy poszczególni ludzie dalej oszukiwali się wzajem, kłamali, żyli w rozpuszcie, kradli, zazdrościli sobie i mordowali

się w najlepsze. Średnia miara zbrodni nie była zgoła mniejsza od dzisiejszej, przeciwnie nawet, życie było bez porównania cięższe, okrutniejsze i niesprawiedliwsze, bowiem niższy był poziom umysłowości powszechnej.

XI

Spróbujmyż teraz rzucić pęk promieni na trzeci stan moralności naszej. Ten stan trzeci, czy też, powiedziawszy lepiej, ta trzecia moralność obejmuje wszystko powyż cnót rozumu, potrzebnych dla naszego szczęścia materialnego i duchowego i sięga w bezkres bohaterstwa, poświęcenia, dobroci, miłości, uczciwości i wewnętrznego dostojęństwa. Nie ulega kwestii, że moralność rozumu, mogąca zresztą sięgnąć w pewnych sprawach, na przykład w altruizmie, dosyć daleko, nie będzie w stanie zdobyć się na cnotę szlachetności, bezinteresowności, a zwłaszcza na tę nienazwalną cnotę, która sama jeno może bezpośrednio wprowadzić w kontakt z wielką tajemnicą życia.

Wskazaliśmy już, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa rozum nasz jest wykładnikiem nader małej jeno części zjawisk, prawd i praw natury, że opuszcza nas nader łatwo w wielu okolicznościach życia. Posiadamy atoli inne przedziwne organa spostrzegania, przystosowane do apercepcyj niedostępnych rozumowi sfer wszechświata, i one to właśnie, rzec można, zostały nam dane, jeśli już nie wprost w celu ujęcia ich bezpośrednio, to w każdym razie w celu zrozumienia, że istnieją, w celu obudzenia wielkich przeczuć i przysposobienia nas do zrozu-

mienia ich w przyszłości. Wyobraźnia jest zwieńczeniem i kopułą rozumu. Daremne są usiłowania nasze stwierdzenia, że jesteśmy już istotami czysto logicznymi. To nieprawda. Istnieje w nas poza i ponad sylogistyczną świadomością wielka sfera poznania, odpowiadająca rzeczom zgoła odmiennym, w której tkwią niespodzianki nowych, nieznanych wydarzeń.

Ta forma poznania, którą nazywamy wyobraźnią albo rozumem mistycznym, wyprzedzała i prześcigała niedoskonałą świadomość naszą w czasach, kiedy dobrze nie znaliśmy żadnego prawa natury, wznosząc nas moralnie, socjalnie i uczuciowo na poziom wyższy, umożliwiając tychże praw poznanie. Czyż tedy słuszne jest, by owa zdolność przestała nam przywodzić, czyż wolno ją zwalczać i podawać w niewolę rozumu teraz, kiedy uczyniliśmy kilka kroków naprzód pośród ciemności nocy, gdy w ciągu ubiegłych stu lat zorientowaliśmy się w otaczającym nas chaosie lepiej niż dawniej w ciągu tysięcy wieków, teraz gdy nasze życie materialne zaczyna się ustalać i organizować na dobre? Czyż nie wszystko przemawia raczej za tym, by ją pchnąć naprzód, by ją zaprząć do dzieła sprecyzowania odległości normalnych i stosunków proporcji istotnych? Czemuż to straciliśmy do niej zaufanie i z jakiej racji? Czyż możemy twierdzić, że stanęła wbrew rozwojowi ducha ludzkości? Niezawodnie zwiódła nas ona nieraz, ale owe płodne w następstwa błędy, zmuszające do nałożenia drogi, objawiły nam więcej prawd odkrytych na bezdrożach, niżli mogliśmy przypuszczać drepzcząc utartym gościńcem trwożliwego i ogra-

niczonego rozumu. Najwspanialsze odkrycia z zakresu biologii, chemii, medycyny, fizyki są w zupełności niemal wynikami hipotez wytworzonych przez wyobraźnię, czyli rozum mistyczny, potwierdzonych potem doświadczeniami rozumu, których by atoli on sam zamknięty w cieśni rutynicznych metod nie dostrzegł i nie sformułował nigdy.

XII

Winniśmy stwierdzić rzecz ważną, zasadniczą, mianowicie, że wyobraźnia, czyli rozum mistyczny, zajmuje honorowe, naczelne nawet miejsce w naukach ścisłych, gdzie powinien by być zostać chyba w pierwszej linii zdetronizowany. A jednak tam właśnie ten rodzaj naszej świadomości, który wznosi się ponad rozum, nie kończy się, nie odmawia posług, ale ma legalny i bardzo znaczny udział w poszukiwaniach i badaniach możliwości, jakie następuje bezmiar świata nieznanego dotąd. Władztwo wyobraźni niepodzielne jest niemal w zakresie estetyki, czemużbyśmy tedy mieli zmuszać ją do milczenia w etyce zajmującej stanowisko pośrednie między estetyką a wiedzą ścisłą? Nie ma potrzeby ukrywać, że jeśli przestanie wspomagać rozum i nie podejmie dzieła tam, gdzie się kończy jego władza, szczyt budowl moralności ludzkiej zwali się nagle i bez ratunku. Począwszy od pewnego piętra całą dalszą nadbudowę, będącą dziełem bohaterów, wielkich mędrców, a nawet masy zwykłych ludzi dobrej woli, wydała wyobraźnia, czyli rozum mistyczny.

Człowiek idealny wedle recepty najwyższego i najgenialniejszego rozumu niepodobny jest zgoła

do człowieka idealnego naszej wyobraźni i nie dosięga jego poziomu. Ten ostatni jest nierównie wyższy, szlachetniejszy, dostojniejszy, bezinteresowniejszy, zdolniejszy do miłości, rezygnacji, poświęcenia i w razie potrzeby do ofiary. Trzeba koniecznie uświadomić sobie i rozstrzygnąć, który z tych dwu typów ma za sobą słusność, a który się myli i który z nich ustalić się ma dla dobra ludzkości. Przede wszystkim jednak zastanowić się należy, czy zaszły jakieś nowe fakty pozwalające nam stawiać w ogóle to pytanie i podawać w wątpliwość dawne tradycje moralności człowieczej.

XIII

Gdzież szukać owych faktów nowych? Czyż znajduje się pomiędzy rewelacjami nauki jedna bodaj upoważniająca do zmiany w postanowionym przez takiego np. Marka Aureliusza ideale człowieka? Czyż najbliższy bodaj cień przeczucia, znak jakiś dostrzegalny każe przypuszczać, że idee macierzyste, wiodące sprawiedliwych winny zmienić kierunek i że droga ludzi dobrej woli jest manowcem? Jakież to nowe odkrycie wieści nam, że nadszedł czas wytrzeźwienia z sumień naszych wszystkiego, co przekracza ścisłą sprawiedliwość, to znaczy, że wyzbyć się należy owych cnót bez nazwy, leżących poza sferą cnót koniecznych dla życia społecznego, wydających się słabościami a jednak czyniących ze zwykłego uczciwego szaraczka prawdziwego, głębokiego męża dobrej woli.

Powie nam niejeden oczywiście, że cnoty te oraz mnóstwo innych promieniujących zawsze z dusz

wielkich byłyby niezawodnie zupełnie na miejscu w świecie, gdzie nie istniałaby tak nieodporna konieczność walki o byt, jak na naszej planecie, kędy do dziś nie została jeszcze ukończona ewolucja rodzaju ludzkiego. Cnoty owe, powiedzieliby dalej oponenti, są nawet szkodliwe, gdyż pozbawiają one broni wyznawców swych utrudniając im walkę z nie praktykującymi ich, a przeto tamują rozwój typów najlepszych na korzyść mniej dobrych. Cnoty te stawiają ideał doskonały, ale czysto ludzki i wyłączny przeciw ideałowi powszechnemu życia jako całości, a przeto ów ideał ściślejszy jest z góry skazany na porażkę.

Zarzut ten posiada jeno pozory słuszości. W zasadzie owo wielkie odkrycie walki o byt, w którym leży rzekomo źródło moralności nowej, jest jeno odkryciem nowego słowa. Nie wystarcza jednak ochrzcić innym mianem prawa istniejącego od czasów niepamiętnych, by tym samym uzasadnić już niezbędną konieczność zboczenia radykalnego ku innemu ideałowi. Walka o byt istnieje od pierwszych chwil bytu planety naszej, a mimo to nie doznała modyfikacji żadna z konsekwencji jej rozwoju, nie została rozwiązana żadna z jej tajemnic od dnia, w którym uświadomiono sobie rzekomo ów fakt nadając mu imię chrzestne, które w ciągu lat pięćdziesięciu najwyżej zmienione zostanie na inne przy la-da okazji rewizji słownictwa ludzkiego.

Trzeba sobie także uświadomić, że jeśli cnoty owe wytrącają nam czasem z rąk broń w walce z tymi, którzy nie zdają sobie z nich sprawy, to jednak walka ta jest jeno potyczką bez istotnego znaczenia.

Oczywiście, człowiek bezwzględny zostanie zwyciężoną w starciu z przeciwnikiem skrupowanym rozlicznymi skrupami moralnymi, człowiek kochający ponad zwykłą miarę, pobłażliwy czy zdolny do poświęceń dozna krzywdy od brutala i cynika, ale czyż można to nazwać zwycięstwem silnego nad słabszym? Czyż klęska owa dotknęła w czymkolwiek samą treść życia człowieka lepszego? Utraci zapewne korzyści materialne, ale poniósłby stokroć większą stratę ustępując z sfery leżącej poza terytorium moralności sylogistycznej, przyjmując etykę rozumu. Ten, kto wzbogaca swą wrażliwość, wzbogaca jednocześnie swą umysłowość, a potęgi owe, specyficznie ludzkie, odniosą i odnieść muszą zwycięstwo decydujące i ostateczne.

XIV

Przyroda dała każdemu gatunkowi istot żywych wszystkie instynkty potrzebne dla dopełnienia przeznaczenia swego. Oto jedna z jasno określonych i sprecyzowanych idei ogólnych, wyłonięnych z chaosu półodkryć i prawd połowicznych, oczarowujących umysł człowieka współczesnego. Przyroda wyposażała nas tedy w ideał moralny, który u najprimitwniejszego dzikusa zarówno jak i najbardziej wyrefinowanego człowieka kultury wyprzedza zawsze rozum i stoi doń w stosunku ściśle proporcjonalnym. Dzikus podobnie jak człowiek cywilizowany, oczywiście w zakresie wyższym, bywa zawsze nieśkończenie szlachetniejszy, uczciwszy, wierniejszy danemu słowu, niżliby był powodując się wyłącznie doświadczeniem i interesami marnego życia swego.

Właśnie dzięki owemu ideałowi odczuwanemu instynktem w środowisku, gdzie żyjemy, coraz to bardziej rozwija się i coraz to większej nabiera potęg idea dobra i sprawiedliwości mimo praktycznej przewagi zła, i coraz to bardziej utrwala się i nabiera wiary we własne siły sumienie ogółu, czyli opinia publiczna, będąca tejże idei widomą formą i wyrazem. Stąd też bierze się, że poziom moralności tłumu (np. w teatrze) jest dużo wyższy od poziomu każdej poszczególniej jednostki, z których się składa.

XV

Konieczne jest porozumieć się raz na zawsze odnośnie do praw przysługujących instynktom naszym. Przyznajemy wszystkim prawa równe, mimo że zazwyczaj odmawia się ich instynktom wyższym. Ludzie umieją wylegitymować tak czy owak swe instynkty umiłowane i nadać im pozory szlachetności wywodząc je z pewnych praw natury. Czemużby prerogatyw takich nie były godne również instynkty wyższe, równie rzeczywiste i niezaprzeczalne jak te, które pełzają u stóp zmysłów naszych. Nie ma powodu przeczyć ich istnieniu, podejrzewać lub uważać na chimery z tego jeno powodu, że nie stoją w ścisłym stosunku z dwoma czy trzema animalnymi wymagalnikami życia. Z samego faktu ich istnienia wynika, że są równie jak inne niezbędne do ziszczenia czegoś, czego celu nie znamy, a przeto wiedzieć nie możemy, co mu sprzyja, a co szkodzi. Obowiązkiem jest tedy rozumu, wroga przysięgłego tych instynktów, wspomagać je, rozwijać, a to na

zasadzie przyznania się w pokorze, że wielka część życia naszego przekracza stanowczo jego kompetencję.

XVI

Jest obowiązkiem naszym czynić wszelkie wysiłki rozwijania w sobie cech specyficznych klasy istot żywych, do której się zaliczamy. Idzie o te zwłaszcza właściwości, które nas odróżniają od wszelkich innych fenomenów życia w ogóle. Pośród tych właściwości na pierwszym miejscu stoi nie tyle nawet świadomość, co nasze ludzkie aspiracje moralne. Część tychże wypływa z inteligencji, ale reszta wyprzedzała zawsze świadomość, żyła zgoła od niej niezawisłe i nie mogąc w glebie rozumu zapuścić korzeni szukała podłoża innego, znajdując tu i owdzie, a głównie w religii wytłumaczenie tego dziwnego instynktu, który pędził w nieskończoność owe aspiracje.

Dzisiaj kiedy religia nie może nam już wyjaśnić niczego, fakt pozostał faktem i nie sędzę, by wolno było jednym pociągnięciem pióra wykreślić całą sferę naszego życia wewnętrznego, po to jeno, by za- doścuć rezonerskiemu narządowi świadomości naszej. Zresztą wszystko pomaga sobie wzajem, nawet to, co zwalcza się wzajem z pozoru, wszystko współżyje w tajni instynktów, uzdolnień i aspiracji człowieka. Inteligencja odnosi korzyści bezpośrednio z ustępstw czynionych wyobraźni, gdy ta ostatnia posiada ideał, który rozum nie uznaje za zgodny z realnym życiem, bo leczy ją z wady, w jaką popadła w czasach ostatnich sądząc, iż sama sobie star-

czyć zdoła. Aby rozwijać się, kwitnąć w pełni i stanowić ważny czynnik życia, inteligencja potrzebuje wszystkich sił naszych, uczuć, namiętności oraz całej nieświadomości naszej, słowem, czerpać musi siły zarówno z tego, co jej sprzyja, jak i z tego, co się przeciw niej zwraca. Najbardziej jednak potrzebuje pokarmu wielkich niepokojów, ciężkich przejść i cierpień oraz szlachetnych uciech serca. Są one dla niej niby rosa niebieska lilii czy róży. Dobrze jej robi, gdy nauczy się wyrzekać i przechodzić z rezygnacją, mimo niektórych pragnień i pewnych marzeń tego serca, którego nie zna dobrze, które nie zaw sze docenia, a w którym błyszczy światłość przy- świecająca jej nieraz w drodze ku prawdom, jakich daremnie szukała na śnieżnych wierchach myśli.

XVII

Stanowimy całość duchową, nierozdzielna, mówiąc tedy o świadomości, inteligencji, namiętnościach i uczuciach serca, rozróżnienia te czynimy jeno ze względu na niedostateczność metody słownej, którą się posługiwać musimy.

Każdy człowiek jest po części ofiarą tej iluzorycznej zgoła terminologii. W młodości pociesza się, że będzie patrzył na rzeczy bystrzej w dojrzałym wieku. Przypuszcza, że namiętności, najszlachetniejsze nawet, mylą mu i mącą myśli i pełen nadziei, nie wiadomo skąd czerpanej, zadaje sobie pytanie, na jakie wyże zaniesie go myśl władająca niepodzielnie marzeniami i ukojonymi już zmysłami jego. Nadchodzi starość, a inteligencja wybystrza się, ale zatra- ca jednocześnie przedmiot badań swoich, nie ma co

robić, bowiem funkcjonuje w próżni zupełnej. W ten sposób stwierdzamy zasadniczo, że w domenach, gdzie wyniki wyróżniczkowań tych lepiej są dostrzegalne, dzieło starości nie dorównywa temu, co dać może młodość czy wiek dojrzały, mimo że jeden i drugi znacznie mniej wie i mniej posiada doświadczenia, a dzieje się to dlatego, iż nie wygasły w nich jeszcze tajemnicze siły obce zgoła świadomości.

XVIII

Gdyby nas ktoś spytał, jakie są ostatecznie przepisy i dogmaty owej szczytnej moralności, o której mówiliśmy, nie dając jej definicji, odpowiemy, że zasadę jej stanowi pewien raczej stan duszy niż kodeks założeń sformułowanych ściśle.

Istota jej jest szczerą i silną wolą wytworzenia w sobie szczytnego ideału sprawiedliwości i miłości, sięgającego zawsze wyżej niż ideały sformułowane przez najszlachetniejsze i najpromienniejsze wzloty naszej świadomości.

Można by przytoczyć tysiące przykładów, wezmę atoli pod rozwagę jeden tylko, tkwiący w samym ognisku niepokojów naszych, wobec którego wszystko inne schodzi na plan drugi. Jest to sprawa tak ważna, że podczas gdy rozprawiamy o szczytnej i wzniosłej moralności, głos wewnętrzny przypomina nam ją nagle, odzywając się niby sumienie zbrodnia-rza:

— Kiedyż położycie wreszcie kres niesprawiedliwości, w której ubiega wam życie?

Tak jest, żyjemy wszyscy w niesprawiedliwości, my wszyscy, którzy posiadamy więcej niż drudzy,

my mniej czy więcej zasobni w porównaniu z nędzarzami nie posiadającymi nic, a niesprawiedliwość to większa niż przewaga siły brutalnej, gdyż nadużywamy władzy, która nie jest nawet realna. Rozum nasz wyraża z tego powodu żal głęboki, ale tłumaczy, uzasadnia niesprawiedliwość ową i oświadcza, że jest nieunikniona. Wykazuje jak na dłoni, że nie sposób znaleźć lekarstwa skutecznego i działającego szybko, jakiego pożąda sumienie nasze. Rozum nasz wywodzi dalej, że owo lekarstwo radykalne spowodowałoby (dla posiadających zwłaszcza) straszliwe zło, chorobę stokroć gorszą od tej, jaką leczyć zamierzamy, a w dodatku udowadnia, że niesprawiedliwość jest cechą organiczną, zasadniczą świata, zgodną z wszystkimi prawami natury.

Rozum nasz może mieć nawet rację, ale nierównie głębszą, nierównie pewniejszą rację ma ideał sprawiedliwości, twierdzący, że rozum kłamie. Widzimy tedy, że nie będąc nawet czynnym ideał ten oddziaływa dodatnio i jeśli nie dla czasów naszych, to dla przyszłości jest niewątpliwie dobrą rzeczą owo głębokie poczucie sprawiedliwości, jakim nas przepaja. Nie przejawia się on dzisiaj, co prawda, wielkimi aktami altruizmu ni bohaterstwa ofiary, ale nie jest przeto mniej szlachetny i mniej pewny od ideału najszczytniejszych systemów religijnych, chociaż nie przyrzeka innej nagrody nad poczucie spełnionego obowiązku. Taką nagrodę rozumieli w całej pełni i stawiali najwyżej dotąd jedynie nieliczni bohaterowie i geniusze, ją to właśnie w czasach naszych przeczuwają i pragną uprzystępnąć wszystkim owe wielkie przeczucia tkwiące poza sferą świadomości naszej.

Nie potrzeba nam zresztą licznych reguł, przepisów i formułek, a tych kilka, jakimi się posługujemy, dać by nam mogło każde dziecko. Przede wszystkim idzie o ich zrozumienie, a to zrozumienie jest jeno zaczątkiem życia idei. Gdyby to wystarczało, natenczas nie byłoby różnic inteligencji i charakterów, gdyż każdy, średnio nawet inteligentny człowiek jest w stanie na tym pierwszym stopniu zrozumieć dostatecznie jasno to, co mu się tłumaczy. Istnieje tyle stopni zrozumienia prawdy, ile umysłów sądzących, że ją pojmują. Jeśli wykażę pyszałkowi, ile nierozsądku mieści się w próżności jego, jeśli dowiodę egoiście posiadającemu sumienie, ile ohydy i głupstwa tkwi w egoizmie, to nie tylko przyznają mi chętnie słuszość, ale przelicytowywać będą jeszcze słowa moje. Nie ulega tedy wątpliwości, że zrozumieli, ale nie ulega też wątpliwości, że postępować będą dalej w ten sposób, jakby mózgów ich nie tknął nawet cień prawdy, którą poznali tak doskonale. Natomiast zdarzyć się może, że w mózg inny wejdą dnia pewnego prawdy owe, przyodziane w te same nazwy, przenikną poprzez myśli do samej głębi serca, przetworzą całą jego istotę, zmienią wszystkie osie, odmienią funkcjonowanie dźwigni, nadadzą znaczenie zgoła odmienne wszystkim radościom i smutom, oraz gdzie indziej umiejscowią cel całej jego działalności. Pojąć rzecz głębiej, w tym cała różnica, bowiem nie możemy chlubić się, żeśmy zrozumieli jakąś prawdę, dopóki nie potrafimy wedle niej pokierować życia swego.

Zawracając do myśli zasadniczej niniejszego szkicu i reasumując rzecz całą podkreślę, że konieczne jest utrzymać równowagę pomiędzy tym, co nazywałem rozumem, a innymi cechami i uczuciami naszego życia. W przeciwieństwie do czasów dawnych skłonni jesteśmy nadmiernie dzisiaj do przesuwania punktu ciężkości w stronę rozumu. Niezawodnie, rozum posiada dzisiaj większe moce, niż kiedykolwiek indziej, prawo najściślejszej kontroli wszystkiego, co przekracza faktyczne konkluzje rozumowania, wszystkiego, co wypływa ze źródeł odmiennych i dalszych. Ale nie wolno mu tamować działania tamtych sił, dopóki nie nabierze pewności, że się mylą, w ustaleniu takiej definitywnej pewności winien być każdorazowo bardzo oględny i coraz to ostrożniejszy i nie zapominać, że nierozwaga przynosiłaby ujmę jemu samemu i własnym jego prawom.

Gdy nawet nabierze przekonania, że siły owe popełniły błąd, przypisując większość przejawiających się w nich fenomenów jakiejś woli wyższej czy jakimś wskazaniom zaziemskim, to wówczas mimo obowiązku sprostowania owych błędów wypływających z fałszywego założenia, mimo wydzielenia z ideału moralności naszej mnóstwa cnót jałowych i niebezpiecznych, niezdolny będzie przeczyć, że zjawiska tego rodzaju faktycznie istnieją bez względu na to, czy są produktem wyższego życiowego instynktu gatunku, czyli też źródło swe mają w czymś zgoła niepoznawalnym.

W każdym razie nie będzie ich mógł uznać za majaki czy chimery, gdyż wówczas musielibyśmy przypuścić chyba, że ów sędzia najwyższy, którego prześciga i któremu przeczy co chwila geniusz przyrody oraz prawa nieogarnionego wszechświata, jest bardziej jeszcze chimeryczny od chimier, które unicestwić pragnie.

XXI

Jak widzieliśmy, sam nawet rozum, czyli autorytet naukowy, zmuszony jest przyznać, że w sprawach dotyczących moralności mamy prawo wyboru chimier, czyli złud. Skoro tedy tak jest, bierzmy raczej chimery typu wyższego, a porzućmy złudy marne i przyziemne. Te wyższe doprowadziły nas wszakże tu, gdzie jesteśmy, i o ile uwzględnimy punkt wyjścia, przepastną, ciemną, podziemną norę człowieka przedhistorycznego, dojdziemy do przekonania, że zasłużyły sobie na wdzięczność naszą. Uludy drugiego rzędu, typu niższego, to znaczy chimery rozumu, zdały egzamin jeno przy pomocy i podszeptach tych pierwszych złud i doszły tu, gdzie się znajdują, przy ich jeno pomocy. Nie odważyły się dotąd na wędrówkę samoistną. Pierwsze stawiają kroki w ciemności. Twierdzą, że nas wiodą ku szczęściu trwałemu, zabezpieczonemu, wymarzonemu, dokładnie odważonemu, że idą na podbój materii. Doskonale! Wszakże ich właśnie zadaniem jest szczęście tego rodzaju. Niechże jednak nie twierdzą, że aby to szczęście osiągnąć, trzeba koniecznie rzucić w morze, niby balast niebezpieczny, wszystko, co się dotąd składało na bohaterską, nieustraszoną, wy-

trwałą awanturniczą energię naszego sumienia. Pozostawcież nam bodaj kilka cnót luksusowych, dajcież nam bodaj trochę pola dla uprawy cnót braterstwa. Jest bardzo możliwą rzeczą, że wszystkie owe cnoty dzisiaj nie tak koniecznie potrzebne i dopasowane do ciała człowieka współczesnego stanowią zaródź tych cech ludzkich, jakie się rozwiną w czasie, kiedy przebedziemy najboleśniejsze etapy tak zwanej walki o byt. Winniśmy mieć w rezerwie kilka bodaj cnót okazałych, a to dla zastąpienia nimi tych, które porzucimy z czasem jako zbyt ciche, bowiem pamiętać należy, że sumienie nasze potrzebuje ćwiczenia i coraz to nowego pokarmu. Zrzuciliśmy z siebie dosyć przymusów różnych, niezaprzeczalnie szkodliwych, ale podtrzymujących aktywność naszego wewnętrznego życia. Przestaliśmy być czyści doszedłszy do przekonania, że naturalne jest i legalne życie płciowe, wyklęte przez ciąg całych dwudziestu wieków. Nie szukamy dziś okazji ćwiczenia się w rezygnacji, umartwieniach i ofiarach, nie posiadamy już serc pokornych i ubóstwa ducha. Wszystko to znikło słusznie, gdyż cnoty owe wynikały z religii, która kończy swą rolę, ale nie można dopuścić, by miejsce po cnotach owych pozostało próżne. Ideał nasz nie domaga się produkowania ascetów, dziewic i męczenników, ale mimo iż inną kroczy drogą, siła duchowa, która wytwarzała świętych, winna pozostać niezmiennie, albowiem potrzebna jest człowiekowi pragnącemu osiągnąć cel dalszy, leżący poza zwykłą sprawiedliwością. Właśnie poza osiedlem owej powszedniej cnoty zaczyna się moralność tych, którzy wierzą w przyszłość. W tej to właśnie feerycz-

nej, ale nie chimerycznej dziedzinie naszego sumienia winniśmy się zaaklimatyzować i rozlubować się w niej. Dobrze też będzie, jeśli nabierzemy przekonania, że czyniąc tak, nie staliśmy się wcale ofiarami żadnej mistyfikacji.

XXII

Przedziwna jest dobra wola ludzi. Gotowi są wyrzec się wszelkich praw uważanych dotąd za specyficznie człowiecze, porzucić wszelkie marzenia i całą nadzieję szczęścia. Wielu porzuciło już bez rozpaczy wszystkie nadzieje na życie pozagrobowe. Z góry zgodzili się na smutny los swych potomków, których długie nieskończone generacje następować będą po sobie bez celu, bez misji, bez przyszłości. Uczynili to w przekonaniu, że taką jest wola życia. Cała potęga i duma naszego sumienia przejawia się po raz ostatni zapewne w tym powszechnym przyjęciu konieczności i tym przywiązaniu ogółu do prawdy. Ale zanim dojdziemy do tego punktu, zanim spełnimy ten ponury czyn rezygnacji, słuszne i sprawiedliwe jest zażądać dowodów. Dowody te, jak rzeczy stoją dziś, zwracają się właśnie przeciw swym głosicielom, w każdym zaś razie decyzja ostateczna nie zapadła. Żyjemy w zawieszeniu. Strasznie mylą się ci, którzy twierdzą, że starożytny ideał moralności zniknąć winien, ponieważ religie znikają. Nie religie wytworzyły ten ideał, ale przeciwnie, on stworzył wszystkie religijne systemy. Po osłabieniu czy zniknięciu religii pozostanie dalej ich źródło, znajduje sobie tylko inne, nowe koryto. Podkreślając rachunek możemy śmiało powiedzieć, że z wyjąt-

kiem kilku cnót sztucznych i pasorzytnicznych, które porzuca się na rozstajnych drogach przeważnej liczby kultów, na razie nie ma potrzeby podejmowania zmian w starym, aryjskim ideale sprawiedliwości, sumienia, męstwa, dobroci i honoru. Trzeba jeno zbliżyć się doń bardziej, objąć w ramiona, iść go skuteczniej w życiu, a możemy być pewni, że zanim go prześcigniemy, długą jeszcze odbędziemy i piękną drogę wraz z globem naszym po śródgwiezdnym przestworzu.

POCHWAŁA BOKSU

Pośród wielu zajęć intelektualnych wypadła czasem człowiekowi czasów naszych zwrócić uwagę na ciało swoje, a specjalnie na ćwiczenia wzmagające siły jego, zręczność i wszystkie zalety tego pięknego, zdrowego zwierzęcia, wzbudzającego respekt w przeciwniku, gotowego do spełnienia wszystkiego, czego życie odeń wymaga.

Przypominam sobie przy tej okazji, że mówiąc niedawno o szpadzie, porwany tematem, wyraziłem się dosyć niesprawiedliwie o jedynej, swoistej broni, jaką nam dała natura, to jest o pięści. Pośpieszam niniejszym nagrodzić krzywdę oną.

Szpada i pięść uzupełniają się wzajem i tworzą, o ile można użyć przenośni takiej, małżeńską parę. Szpada winna nam być jednak bronią wyjątkową, ostateczną *ultima et sacra ratio*. Ujmujemy ją po odprawieniu uroczystych obrządków, przy zachowaniu ceremoniału, podobnego do procesu, którego wynikiem być może werdykt skazujący na śmierć.

Przeciwnie, pięść to broń codzienna, broń swoista człowieka, jedyna organicznie dostosowana do walkliwości, odporności, do ofensywnej i defensywnej budowy naszego ciała.

*

Przyjrząwszy się dobrze samym sobie musimy, rzuciwszy pychę z serca, przyznać, iż zaliczamy się

do istot najgorzej obronnie wyposażonych, nagich jak żadne inne, kruchych, mizernych, po prostu najędzniejszych pod słońcem.

Weźmy dla porównania na przykład owady, tak doskonale przysposobione do ataku, tak fantastycznie, rzecz można, opancerzone. Spójrzmy na mrówkę bodaj, którą można bez żadnej szkody, bez jakiegokolwiek wrażenia niemiłego przytłoczyć ciężarem przekraczającym dziesięć lub dwadzieścia tysięcy nawet razy ciężar jej ciała. Spójrzmy na chrabąszcza, najslabszą odmianę tęgoskrzydłych, i zważmy to, co dźwignąć może, zanim pękną segmenty jego odwłoka, zanim ugnie się tarcz jego skrzydeł z chityny. Odporność krewniaczki jego, szczypawki, nie ma po prostu granic. W zestawieniu z tymi owadami jesteśmy, jak zresztą także inne ssaki, istotami nieskonsolidowanymi, niejako galaretowatymi jeszcze, nader bliskimi pierwotnej protoplazmy. Jedynie szkielet nasz, będący rodzajem ogólnego szkicu, kształtu definitywnego, posiada pewną zwięzłość. Ale i on jest tak marnie skonstruowany, że wydaje się tworem dziecka. Spójrzmy na stos kręgowy, ową podstawę całego systemu. Jakimże to cudem trzymają się kupy kręgi niedołącznie osadzone w łożyskach? Nielepsza jest klatka piersiowa, której żebra zawieszane w powietrzu niby rząd kos pęknać muszą, zda się, za dotknięciem palca.

Z uwagi na ową kruchą i niespoistą maszynę, wydającą się nieudaną próbką architektoniczną natury, z uwagi na ten nędzny organizm, z którego życie ucieka wszystkimi szparami z byle jakiej przyczyny, postaraliśmy się o broń zdolną zgładzić nas

w momencie, wówczas nawet gdybyśmy posiadali bajeczną zbroję, cudowną siłę i niepojętą żywotność najodporniejszych owadów.

Rzuca się tu w oczy, przyznać trzeba, zdumiewająca i przedziwna aberacja, zasadnicze głupstwo właściwe rodzajowi ludzkiemu, które miast korektury pogarsza się z dniem każdym.

Kierując się logiką przyrodzoną, wzorem innych istot żywych, winni byśmy korzystać z prawa używania broni potężnej tylko w walce z wrogami z innego gatunku, a stosować wobec podobnych sobie jedynie te środki atakowania i obrony, jakich dostarcza nam własne ciało.

Gdyby ludzkość liczyła się z wyraźnym zamiarem natury, pięść będąca człowiekowi tym, czym jest róg dla wołu, a ząb i pazur dla lwa, starczyłaby w zupełności dla celów obrony, wymiaru sprawiedliwości i zemsty. Rasa rozumniejsza zabroniłaby wszelkich innych metod walki pod grozą jak najsroższych kar za tę nieprzebaczalną zbrodnię nadużycia. W ciągu kilku pokoleń ustaliłoby się przez stosowanie tych kar i nabrało mocy autorytetu bezwzględne, paniczne wprost poszanowanie życia ludzkiego.

Walka na pięści i intensywne, codzienne jej stosowanie spowodowałyby nader szybki dobór naturalny, będący najdokładniej zgodny z zamiarami przyrody, i w tej walce zawarłyby się wszystkie nadzieje i ambicje sławy militarnej. A właśnie ów dobór naturalny, to jedyna, realnie ważna sprawa, jaką winniśmy się zajmować, to najpierwszy, naj-

ogólniejszy, najwyższy, bo wieczysty nasz obowiązek wobec przyszłości.

*

Na razie nauka boksu jest nam doskonałym ćwiczeniem w pokorze i w dziwnym a niepokojącym oświeceniu ukazuje nam zanik niektórych, najcenniejszych właśnie instynktów naszych. Przekonywamy się, że spadliśmy do ostatniego rzędu ssaków czy żab pod względem zdolności posługiwania się członkami, zręczności, ruchliwości, siły muskularnej i odporności na ból. Z uwagi na tę okoliczność należałoby się nam w dobrze ustosunkowanym systemie hierarchicznym skromne miejsce pomiędzy owcą a ropuchą. Kopnięcie konia, cios rogów byka, ukąszenie psa są mechanicznie i anatomicznie doskonałe i ulepszyć ich nie podobna. Na nic by się tu nie zdała idealnie nawet przeprowadzona nauka, bowiem prześciga ją o wiele instynktowne stosowanie przyrodzonej broni. My tylko, członkowie gatunku „ludzkształtnych“, najpyszniejsza odmiana małp, nie umiemy wymierzyć jak należy ciosu pięścią.

Nie wiemy nawet, jaką jest właściwa broń naszego gatunku. Zanim nauczyciel po wielu trudach i wysiłkach nie wyuczy nas metodycznie, co czynić mamy, niezdolni jesteśmy wyzwolić skoncentrowanej w naszym ramieniu, olbrzymiej stosunkowo siły i posłużyć się bronią, jaką jest zjednoczona energia kinetyczna rąk, grzbietu i miednicy. Przykry nad wyraz widok przedstawia bójka dwu woźniców czy chłopów zwaśnionych i rozgrywających doraźny pojedynek. Po obfitym i niewybrednym obustronnym tuszu obelg i pogroźek chwytają się za gardła, za

włosy, kopią się, drapią i popychają wściekli, a nieruchomi niemal. Żaden nie chce puścić drugiego, a gdy któremuś uda się nawet wyswobodzić ramię, bije wówczas na oślep, często wymierzając w próżnię drobne, szybkie, słabe, dziecięce, naiwne, bezcelowe ciosy, tak że bitka nie skończyłaby się nigdy, gdyby nie wychynął oburzony bezmyślną szarpaniną nóż zdradziecki niemal spontanicznie z jednej lub drugiej kieszeni.

Spójrzmy teraz na dwu bokserów. Nie miotają bezpotrzebnych słów, nie wahają się, co czynić, nie płoną gniewem. Spokojni są, pewni, świadomi swego zadania. Atletyczna postawa obronna, jeden z najpiękniejszych gestów męskiego ciała, ujawnia logicznie całą muskulaturę organizmu. Nie idzie na marne ani odrobina siły od stóp do głowy. Każda cząsteczka posiada swój biegun w jednej z pięści potężnych, przesyconych utajoną energią. Następuje atak szlachetny w prostocie swojej. Trzy jeno ciosy, nie więcej, będące owocem wiekowego doświadczenia, wyczerpują z matematyczną dokładnością tysiące bezużytecznych możliwości stosowanych przez profanów. Trzy ciosy syntetyczne, nieodporne, nie podlegające udoskonaleniu. Z chwilą kiedy jeden z nich dosięże jawnie i otwarcie przeciwnika, walka ustaje ku zupełnemu zadosyćuczynieniu zwycięzcy, którego triumf jest tak niezaprzeczalny, że nie czuje żadnej chęci nadużywania zwycięstwa. Zwycięzonemu nie zagraża też żadne niebezpieczeństwo, jest on po prostu doprowadzony do wyczerpania czy bezwładu i nieprzytomności trwającej zazwyczaj dość długo, by uraza miała czas pierchnąć i ulotnić się

bez śladu. Niebawem pokonany wstaje i okazuje się, że nie poniósł obrażenia ciała, pociągającego poważniejsze skutki, albowiem odporność kości ludzkich i organów ciała jest ściśle i naturalnie ustosunkowana do siły ramienia człowieka, który wymierza ciosy.

*

Wyda się to może paradoksem, niemniej jednak jest faktem stwierdzonym, że walka na pięści staje się gwarantką pokoju i przyjacielskich stosunków pomiędzy ludźmi wszędzie, gdzie zostaje wprowadzona i pilnie codziennie stosowana. Napastliwa nerwowość nasza, podejrzliwość nieustanna, rodzaj ciągłego pogotowia, w jakim żyjemy, w jakim trwamy, czekając lada chwila alarmu, to w gruncie skutki poczucia bezsiły i niemocy fizycznej i ta właśnie świadomość każe nam imponować maską dumną i zaczepną otaczającym nas zazwyczaj ludziom ordynarnym, niesprawiedliwym i złośliwym. Im słabszymi, im bezbronniejszymi się czujemy w razie możliwej ofensywy, tym więcej dręczy nas pragnienie przekonania siebie samych, że nikt nas bezkarnie zaatakować nie może. Odwaga bywa tym łaskotliwsza, tym niedostępniejsza, im więcej tkwi instynktownego strachu w ciele mającym doznać ciosów, im większa jest niepewność jego, jak się zakończy całe zajście.

Cóż pocnie ów biedny, roztropny instynkt w wypadku niepomyślnym? Wszakże to na niego jeno liczymy w chwilach niebezpieczeństwa. Jego to jest rzeczą sprawą prowadzenia ataku i piecza o należyłą obronę. Tymczasem w życiu codziennym tak często odsuwaliśmy go na bok, tak rzadkośmy jego

zasięgali rady, że gdy zostanie przywołany, wychodzi z kryjówki swej postarzały, słaby, podobny więźniowi długo trzymanemu w lochu, olśnionemu i oszołomionemu nagłym widokiem słońca. Cóż czynić? Pytamy, gdzie bić trzeba, między oczy, w brzuch, w nos, w skroń czy w tchawicę? Pytamy, jaką wybrać broń, nogę, zęby, ramię, łokieć czy paznokcie? Instynkt nie odpowiada, bo nie wie nic, błądzi jeno wspomnieniem po mrokach ciemnicy, skąd go nagle wyrwano.

Milczy, szarpany za rękaw przez odwagę, pychę, próżność, dumę, miłość własną, wszystkie wielkie, wspaniałe, ale nieodpowiedzialne za swe czyny osobistości wiodące z sobą spór zaciekły i zjadliwy. Sprawa przybiera zawsze obrót nader smutny i dochodzi co najwyżej, po perypetiach niezliczonych, do szturchańców i kuksów ślepych, hałaśliwych, marnych, dziecinnych a ponadto wszystko niesłychanie bezsilnych.

Przeciwnie, człowiek znający źródło sprawiedliwości, dzierżący wymiar jej w własnych dłoniach, nie potrzebuje namyślać się i radzić nikogo, wie bowiem raz na zawsze, co ma czynić. Cierpliwość i poślizliwość jest niby kwiat rozwijający się na podłożu zwycięstwa idealnego, ale pewnego jednocześnie. Najgorsza obelga nie płoszy dobrotliwego uśmiechu, czeka spokojny i zgodliwy pierwszy akt napaści mogąc z zupełnym przekonaniem rzec przeciwnikowi: — „Nie posuniesz się poza ten punkt!“ Jeden magiczny, niezbędny gest w stosownej chwili powstrzymuje zuchwalca. Człowiek silny nie uświadamia sobie nawet skuteczności tej siły, tak jest jej

pewny. Wstydząc się tknąć bezbronnego dziecka, w ostatecznej potrzebie decyduje się podnieść morderczą pięść swoją na najpotężniejszego nawet bydlaka w ludzkiej postaci, żałując z góry, że zwycięstwo przyjdzie mu tak łatwo.

O KRÓLU LEARZE

Nietrudną jest rzeczą stwierdzić, że w czasach ostatnich, a mianowicie począwszy od wielkiego okresu romantycznego, dziedzina poezji, którą pozostawiono nietkniętą po stracie definitywnej rozległych, ale niezamieszkalnych obszarów poematu epicznego, kurczyła się stopniowo coraz to bardziej i dzisiaj zredukowała się do kilku zaledwo zapadłych, górskich wiosek. Owo małe dominium będzie zapewne niezdobytą fortecą poezji, gdzie przetrwa złe czasy zyskując na czystości i nasileniu tyle co najmniej, ile straciła na rozlewności i dosycie. Pozbędzie się zwolna zbytecznej przyozdoby dydaktycznej, zatraci mianę opisowo-narratywną i pozostanie wierna samej sobie. Stanie się poezją samą, to znaczy tym jedynym głosem, który może nam objawić to, co kryje w sobie milczenie, czego słowo ludzkie już powiedzieć nie zdolne, a czego muzyka wyrazić dotąd nie potrafi.

*

Będzie istniała zawsze na świecie poezja liryczna, jest nieśmiertelna, albowiem jest konieczna. Jakaż jednak czeka przyszłość, a raczej co daje czas nasz, nie powiem już dramaturgowi czy dramatopisarzowi, ale poecie dramatycznemu w całym słowa znaczeniu, poecie, który wciela w utwory swoje liryzm ukazując wszystko w nasileniu większym i pięknie wyż-

szym niżli to, jakie zdarza się dostrzegać w życiu realnym?

Nie ulega wątpliwości, że wyschły już doszczętnie źródła, z których czerpała tragedia liryczna Greków, tragedia klasyczna w typie Corneille'a i Racine'a, dramat niemiecki i dramat Wiktora Hugo. Wielki dramat tłumów, w którym dostrzegano do niedawna niewyczerpane złoża nowych koncepcyj, dał dotychczas wyniki bardzo przeciętne. Nowe misteria życia współczesnego, którymi zastąpiono wszystko inne, upamiętnione próbami wykopalisk Ibsena, od niedawna dopiero zostają w ścisłym zespole z człowiekiem będącym ich twórcą, toteż nie są dotąd w stanie zapanować naocznie i skutecznie nad słowami i czynami osób działających w sztuce i odgrywają jeno rolę tła, a nie można ukrywać przed sobą tego, co przeczuwał zawsze instynkt poetycki ludzkości, że dramat jest wówczas jeno rzeczywiście i realnie prawdziwy, kiedy staje się większy i piękniejszy od rzeczywistości.

Zanim poeci zrozumieją, w którą stronę skierować mają swe kroki, spójrzmy na jeden z najsłynniejszych pierwowzorów dramatycznych, rozszerzających ramy prawdy bez jej paczenia, na jeden z bardzo nielicznych utworów, który po trzech wiekach jest ciągle jeszcze zielony i świeży w wszystkich częściach swoich. Mam na myśli „Króla Leara” Szekspira.

Można rzec śmiało, przejrzawszy literaturę wszystkich czasów i ludów, że tragedia starego króla stanowi najpotężniejszy, najogólniejszy, wzruszający do głębi i najintensywniejszy z dramatów, jakie na-

pisane zostały. Gdyby padło skądś z drugiej planety pytanie, która ze sztuk stanowi najwyższy, reprezentatywny, syntetyczny pierwotypowy twór teatru ludzkości, w której z nich najpełniej ziszczony jest ideał najszczytniejszej poezji dramatycznej, wydaje mi się, że po naradzie i rozwadze wszyscy poeci świata oraz najzdolniejsi i najbezsronniejsi sędziowie jednogłośnie za sztukę taką uznaliby „Króla Leara”. Mogliby położyć na drugiej szali wagi dwa zaledwo lub trzy arcydzieła teatru greckiego, lub też ze względu na to, że Szekspira można porównywać jeno z nim samym, można by mu przeciwstawić chyba drugi jeno cud jego geniuszu, to znaczy, tragiczną historię Hamleta, królewicza duńskiego.

„Prometeusz”, „Orestes” i „Edyp król” są to drzewa wysokie, wspaniałe, ale samotne, podczas kiedy „Król Lear”, to las niezrównany. Możemy przyznać, że poemat Szekspira jest mniej nieskazitelnym od innych, mniej harmonijny, nie posiada ostrych linii, słowem, że jest niedoskonały w konwencjonalnym znaczeniu słowa, powiedzmy, że ma tak olbrzymie błędy jak zalety, mimo to wszystko celuje ponad wszystkimi innymi przez pełnię, wyrazistość, konsystencję, oryginalność, ruchliwość i cudowną wprost obfitość piękności tragicznych, których jest skarbem niewyczerpanym. Wiem dobrze, iż piękność ogólna utworu nie waży się na kilogramy ani mierzy na tomy, że rozmiary posągu nie stoją w bezpośrednim związku z jego wartością estetyczną. Mimo to trudno nie przyznać, że obfitość, różnolitość i bogactwo wprowadzają do piękna czynniki żywotne i niezwykle. Nie można zaprzeczyć, że ła-

twiej jest skomponować jedną statwę średnich rozmiarów w ruchu spokojnym niż grupę z dwudziestu postaci wielkości nadnaturalnej, w ruchach namiętnych a jednocześnie zharmonizowanych z sobą. Łatwiej napisać jeden akt tragiczny i potężny z kilku osobami niżli pięć z masą ludu na scenie i wytrzymać akcję na tym samym wysokim poziomie tragizmu i siły przez czas pięć razy dłuższy. Otóż w porównaniu z „Królem Learem“ najdłuższe tragedie greckie są jeno jednoaktówkami.

Przyrównyując go do „Hamleta“, spostrzeżemy może, iż myśl zasadnicza jest mniej aktywna, nie tak ostro występuje, jest mniej głęboka, wzruszająca i prorocza. W zamian, o ileż energiczniej tryska życie utworu, o ileż jest on zwartszy i o ileż silniej się narzuca widzowi? Pewne blaski i półświatła na terasie Elsinory rzucają najnieдоступniejsze głębie na chwilę przedziwną poświatą, podobną do łuny słońc zagrobných, tutaj jednak słupy ogniste zwieńczone pióropuszcami dymu przeświełają noc stale i jednolicie. Temat jest prostszy, ogólniejszy i normalniej ludzki, zabarwienie bardziej monotonne, ale za to posiada nierównie większy majestat, dostojniejszą harmonię, intensywność trwalszą i rozleglejszą, liryzm bezwzględniej przeprowadzony, bujniejszy i bardziej czarujący, a mimo to naturalniejszy, bliższy codziennej rzeczywistości i łatwiej wzruszający, bowiem nie wynika z myśli, ale z namiętności. Liryzm ten wcielony jest w sytuację co prawda niepowседневnią, ale możliwą i ogólniejszą, nie stwarza metafizycznego bohatera Hamleta, ale oddziaływa

bezpośrednio na prymitywną i rzec można, niezmienną i zawsze tę samą duszę ludzką.

*

„Hamlet“, „Makbet“, „Prometeusz“, „Orestes“ i „Edyp“ stanowią odrębną klasę dramatów dostojniejszych niż inne przez to, że rozgrywają się na czymś w rodzaju góry świętej, osłoniętej pewną tajemnicą. To właśnie stawia w hierarchii arcydzieł niezaprzeczalnie „Hamleta“ powyż np. „Otella“, mimo że „Otello“ jest równie namiętny, równie głęboki a niewątpliwie normalniej ludzki. Całą niemal poważną i przedziwną potęgę swoją zawdzięczają wymienione powyż dramaty onej górze, która czyni, że są zawieszone pomiędzy niebem a ziemią.

Po zbadaniu materiału, z którego składa się owa góra, widzimy, iż jej elementy wzięte są „z zaświata“, ujętego w kształt zgoła lokalny i religijny. Ale w „Królu Learze“ nie ma, we właściwym znaczeniu słowa, świata nadprzyrodzonego. Bogowie, mieszkańcy wielkiego świata wyobraźni, nie wtrącają się do akcji, a nawet fatum jest tam zgoła wewnętrzne, jest jeno namiętnością doprowadzoną do szału. Mimo to dramat ten olbrzymi rozgrywa pięć aktów swej akcji na szczycie tak wysokim, tak dostojnym, jest tak pełen poezji i niesamowitej grozy, jakby wszystkie znane z dawna potęgi nieba i piekieł wystąpiły do współzawodnictwa w dziele wznoszenia granic tegoż szczytu na wyże nieskończone.

Fabula dramatu jest naiwna. Wszystkie niemal wielkie arcydzieła, wprowadzające akcję typową z konieczności przesadzoną, ekskluzywną i doprowa-

dzoną do ostatnich konsekwencji, zbudowane są na fabule mniej więcej absurdalnej. Ale niknie to zupełnie w przepychu wspaniałości onego wyżu, na którym się rzecz rozgrywa. Jest on zbudowany z olbrzymich skalisk, gigantycznych bloków namiętności, a wszystko spiętrzone jest tam i zwichrzone jakby katastrofą niepojętą a jednak ugruntowaną w ludzkiej naturze.

Dlatego to „Król Lear“ pozostał dotąd najmłodszym z wielkich dzieł tragicznych, jedynym może, którego czas tknąć nie zdołał. Trzeba wysiłku woli, zapomnienia sytuacji obecnej i prawd naszego czasu, by szczerze wzruszać się „Hamletem“, „Makbetem“ i „Edypem“, natomiast wydaje nam się, że gniew, okrzyki bólu i przekleństwa starca, dotkniętego nie-
szczęściem ojca, wychodzą z własnych ust naszych i tkwią w sercu naszym. Nie ma potrzeby niczego zmieniać ni usuwać z atmosfery duchowej i uczuciowej czasów obecnych, o ile mowa o „Królu Learze“, natomiast Szekspir, wróciwszy dziś na ziemię, nie mógłby już napisać „Hamleta“ lub „Makbeta“.

*

W pomniejszych swych historycznych sztukach, nawet w „Romeo i Julii“ Szekspir popełnia mnóstwo błędów, pławi się w retoryce, czyni ustawiczne ustępstwa na rzecz bujności metafor i rozwlekłości tyrad. Przeciwnie, w arcydziełach swoich nie myli się nigdy. Jest jednolity, konkretny, idzie do celu śmiało, a trud problemu ujawnia jego metoda, jakiej się ima. Doprowadza do końca zamierzenia swoje pewnego rodzaju wybiegiem, do którego się ucieka bardzo często. Nie ulega wątpliwości, że bohater wyra-

żający życie wewnętrzne w całej jego świetności może na scenie pozostać prawdziwym i człowieczym, wówczas jeno jeśli w stosunku do życia realnego przedstawiony zostanie jako szalencie. Aby wyjść z tej trudności, Szekspir podkopywa systematycznie rozsądek jego protagonistów i otwiera w ten sposób służę powstrzymującą i więzącą ogromną falę liryzmu. Mówić teraz może swobodnie ustami tychże protagonistów i piękno jawi się na scenie bez obawy, że zostanie uznane za niewłaściwe. Stąd to pochodzi, że w miarę coraz to większego szaleństwa bohatera głównego liryzm wielkich dzieł Szekspira wzrasta i sięga wyżyn. W ten sposób powstają też nawroty jego w „Otellu“ i „Makbecie“, ale zdarzają się rzadziej, albowiem halucynacje tana Cawdoru i wściekłość weneckiego Murzyna są to jeno wybuchy namiętności. W „Hamlecie“ liryzm nabiera cech medytatywnych i spokojnych, bo królewicz jest skryty i zamknięty w sobie, nigdzie jednak podobnie jak w „Królu Learze“ nie wybucha z siłą tak wielką, nigdzie nie jest tak ciągły, przemożny i niepowstrzymany. Tam objawia się żywiołowo, bowiem obłąd nieszczęśliwego, starego monarchy, pozbawionego wszystkiego i pogrążonego w rozpacz, trwa od pierwszej do ostatniej sceny.

BOGOWIE WOJNY

Wojna była zawsze dla umysłów ludzkich tematem pociągającym, nieustannie też wraca na porządek dzienny. Nie schodzi zeń niestety, bowiem cała masa wysiłków naszych i niezliczone wynalazki mają ją za cel główny, tak iż wojna staje się czymś w rodzaju szatańskiego zwierciadła, w którym odbija się na wspak i odwrotnie cały postęp cywilizacji.

Zamierzam tutaj podjąć jeno punkt jeden, chcę stwierdzić ponownie, że w miarę jak zdobywamy coś niecoś na nie znanych nam potęgach życia, jednocześnie tracimy bez porównania więcej na rzecz tychże samych potęg nieznanych. Zaledwo dostrzegliśmy jakieś światelko pośród ciemy, kędy śpi niezgłębiona przyroda, zaledwośmy dostali w ręce nową jakąś energię, stajemy się niezwłocznie jej ofiarami a niemal zawsze jej niewolnikami. Mniemając, że zdobywamy wolność, wyzwalamy, rzecz by można, z więzów straszliwego wroga. Co prawda, w pewnym czasie nieprzyjaciele ci dają się opanować i oddają nam usługi, bez których obejść by się nam już trudno było. Ale zaledwo któryś z nich ugiał karku pod jarzmo, natychmiast naprowadza nas na ślad przeciwnika dużo groźniejszego jeszcze, a los nasz staje się coraz to bardziej zaszczytny i coraz niepewniejszy. Pośród owych wrogów są jednak, jak sędzę, wrogowie zgoła niepokonalni. Może być, że oporność

ich polega na sprytniejszym wykorzystywaniu złych instynktów naszego serca, w każdym jednak razie opóźniają o całe wieki rezultaty zdobyczy naszego rozumu.

*

Tak się dzieje z większością wynalazków służących celom wojny. Widzieliśmy to w ostatnich, monstrualnych konfliktach. Po raz pierwszy to od zaczątków dziejów ludzkich na polach bitew prześcignęły o wiele człowieka potęgi zgoła nowe, dojrzałe do czynu, wynurzone z wiekowych cieniów prób przygotowawczych. Aż do czasu wojen ostatnich ukazywały się jeno w połowie, działały z dala i trzymały się na uboczu. Wahały się wystąpić samoistnie, związek istniał jeszcze pomiędzy ich niezwykle działalnością a czynami rąk naszych. Strzał karabinu nie przekraczał przestrzeni dostrzegalnej okiem, destrukcyjna energia największej armaty i siła wybuchowej materii zachowała pewną proporcję do sił człowieka. Dzisiaj potęgi te prześcignęły nas niesłychanie, musieliśmy abdykować, skończyło się władztwo nasze i oto niby raby pokorne staliśmy się niewolnikami potęg straszliwych i zagadkowych, któreśmy śmieli wzywać sobie ku pomocy.

Od najdawniejszych, co prawda, czasów był udział w bitwach samego człowieka najmniej ważny i najmniej. Już za Homera bóstwa Olimpu wraz z śmiertelnymi stawały do walki na równiach Troi i na poły jeno widzialne, osnute srebrzystą mgłą, kierowały skutecznie zapasami, chroniły lub porażały strachem bohaterów. Były to jednak bóstwa jeszcze niezbyt potężne, niezbyt tajemnicze. Interwen-

cja ich wydawała się nadludzka, ale odzwierciedlała psychologię człowieka. Zaziemskość ich tajemnic wkraczała w ciasną orbitę ziemi. Wyłaniały się z nieba naszej świadomości, miały nasze namiętności, podległe były naszym niedolom, snuły nasze myśli nieco wyższe jeno, dostojniejsze i czystsze. Potem w miarę posuwania się człowieka w czasie, w miarę jak wynurza się z złudy i nabiera coraz to większej świadomości, świat jego rozślania się, zwiększa, a bogowie rosną, dostojnieją, ale oddalają się zarazem. Stają się bardziej mgliści, a jednocześnie potęga ich wzrasta. Fala niepoznawalności wzbiera w miarę wzrostu poznania i zdolności mierzenia i zalewa terytorium świata. Armie organizują się i rosną, broń się udoskonala, wiedza rozkwita i niewoli siły przyrody, a losy bitew wymykają się jednocześnie z rąk wodza i zaczyna władać kompleks praw nieodgadzionych, zwanych szczęściem, przypadkiem lub przeznaczeniem.

Zwróćmy uwagę na piękny obraz bitwy pod Borodino lub Moskwą w dziełach Tołstoja, z których wyczuwamy niezaprzeczalną autentyczność opisu. Są to typowe bitwy okresu cesarstwa. Obaj wodzowie, Kutuzow i Napoleon, są tak oddaleni od frontu, że dostrzegają drobne zaledwo i mało znaczące epizody, a nie wiedzą niemal nic o całokształcie działań bojowych. Kutuzow z istic słowiańskim fatalizmem ma świadomość „siły faktów“. Wysoki, jednooki, zaspany wiecznie, rozparty na ławce pokrytej dywanem, stojącej pod jakąś chałupą, czeka wyników sprawy i nie daje rozkazów godząc się lub nie godząc jeno na to, co mu doradzają inni. Natomiast Napoleonowi

zdaje się, że kieruje tym, czego zgoła nie widzi. W przeddzień bitwy wieczorem dyktował rozporządzenia i dawał rozkazy, z których żaden, skutkiem tej właśnie „siły faktów“, której zaufał Kutuzow, wykonany zostać nie mógł. Mimo to wierny fantastycznemu planowi, obalonemu zupełnie przez rzeczywistość, sądzi, że kieruje bitwą, a w samej rzeczy, spóźniając się ciągle, spełnia jeno rozkazy losu i powoduje się wola, ową siłą wyższą, której ulegają wszędzie jego marszałkowie oszaleli i przerażeni. A bitwa płynie łożyskiem wykreślonym przez naturę, niby rzeka niebaczna na krzyki ludzi zebranych na brzegu.

*

Napoleon jest mimo wszystko jedynym spośród wodzów czasów nowszych, podtrzymującym pozory kierownictwa indywidualnego i człowieczego. Nieznane moce władające wojskami jego wyłaniały się dopiero na świat, były, rzecz można, w wieku dziecięcym. Cóż by uczynił dzisiaj? Czyż mógłby się zdobyć na setną bodaj część dawnego wpływu na los bitwy? Dzisiaj dzieci tajemnicy urosły i stały się bogami nowymi, którzy naciskają na szeregi nasze, rozbijają w puch oddziały, łamią fronty, zdobywają fortece i zatapiają okręty. Nie posiadają już ludzkiej postaci, wynurzają się z przedstworzonego chaosu, a odczynna ich dalsza jest bez porównania od osiedla poprzedników. Potęgą ich, prawa, zamiary, wszystko to tkwi poza kręgiem naszego życia, po drugiej stronie sfery poznania, w świecie zupełnie obcym, wrogim przeznaczeniom naszego gatunku, w prymitywnym bezkształcie martwej natury. Tym to właśnie

nieznajomym, ślepym i straszliwym, z którymi nie mamy nic wspólnego, powodującym się impulsami i rozkazami równie niepojętymi jak rozkazy, których słuchają ciała niebieskie, żyjące w przepastnych dalach, tym nieprzeniknionym i przepotężnym energiom oddaliśmy dziś prawo kreślenia dróg w przyszłość, która to funkcja była dotąd zarezerwowana wyłącznie i jedynie dla nas samych, przedstawicieli tej najwyższej do dziś formy bytu, jaka zjawiała się na ziemi. Tym to, nie dającym się sklasyfikować potworom oddaliśmy boskie niemal prawo tworzenia nadbudowy gmachu rozumu naszego i władania dobrem i złem.

*

Jakimże to potęgom wydaliśmy w ręce swoiste przywileje swoje? Marzy mi się czasem człowiek, jeden spośród nas, obdarzony spojrzeniem ogarniającym wszystkie zjawy życia wokół nas bytujące, wszystko, co zaludnia świetliste przestworza, po których ślizgają się oczy, z pozoru przejrzyste i puste, podobnie jak ślepiec mniemałby (gdyby mu inne zmysły nie umożliwiały poprawki sądu), że pusta jest ciemność otulająca go zewsząd. Wyobraźmy sobie, że przenika on powierzchnię owej sfery kryształowej, gdzie żyjemy, odzwierciedlającej zawsze i ciągle jeno własne oblicza nasze, nasze gesty i nasze myśli. Wyobraźmy sobie, że nadejdzie dzień, w którym poprzez wszystkie więzące nas pozory dosięgniemy wreszcie zasadniczej rzeczywistości i że to coś, co niewidzialnie z wszech stron nas obejmuje, pognębia, pobudza, pędzi i powstrzymuje, rozsłoni się pewnego dnia ukazując rzeczy ogromne, ohydne, niepo-

jęte, będące kształtem ukrytych w przestrzeni zjawisk i praw natury, których jesteśmy jeno zabawką kruchą i marną.

Nie sądźmy, że jest to jeno marzenie poety. Przeciwnie, teraz właśnie kiedy nam się wydaje, że prawa owe nie posiadają ni formy, ni oblicza, teraz właśnie kiedy zapominamy tak łatwo o ich wszechpotężnej, nieustannej obecności, teraz snujemy nikłe marzenie człowieczej złudy. Zbudziwszy się z owego snu, wstąpilibyśmy w żywot wiekuisty, w bytowanie bez granic, w przeczyste wody źródła życia. Jakże druzgocąca byłaby rewelacja taka, jakże przeraźny widok? Zaprawdę, obezwładniłby i poraził wszelką energię człowieka piorunami strachu ciskanyymi z głębi nicości! Spójrzmy na przykład wzięty spośród wielu złudnych triumfów naszego zaślepienia, spójrzmy na dwie floty sposobiące się do bitwy.

Garstka kilku tysięcy ludzi, równie niedostrzegalna i bezsilna w porównaniu z rzeczywistymi, zbudzonymi do działania potęgami, jak kupka mrówek w dziewiczym lesie, kilka tysięcy tych ludzi oddaje się złudzie, że zdoła zniewolić i zużytkować dla celów idei zgoła obcej wszechświatowi najniewymierniejsze i najniebezpieczniejsze z praw natury. Spróbujmy nadać każdemu z tych praw wygląd i postać proporcjonalną do jego potęgi i funkcji. Nie chcąc potknąć się na początku samym o niepodobieństwo i o niewyobrażalność, pominiemy, jeśli nas strach zbiera, największe spośród nich, na przykład prawo ciążenia powszechnego, któremu posłuszne być muszą zarówno okręty niesione falami morza, jak też ziemia dźwigająca to morze, a wreszcie planety utrzy-

mujące w równowadze ziemię. Chcąc ziścić założenie nasze musielibyśmy sięgnąć po składowe elementy tak daleko, w taką pustać, w taki bezkres, w tak nieosiągalną przestrzeń planetarną, że nie starczyłoby wszechświata dla stworzenia realnej maski tego prawa ni marzenie żadne nie byłoby w stanie nadać mu prawdopodobnej postaci.

*

Bierzmy się tedy zrazu do najbardziej ograniczonych praw, o ile posiadają one w ogóle szranki, do najbliższych, o ile w ogóle być nam bliskie mogą. Ograniczmy się do siły opanowanej rzekomo przez statki bojowe, zamkniętej w ich łonie, posłusznej córce człowieka i wykonawczyni jego woli. Jakież potworne oblicze nadamy, jakimże gigantycznym wyposażymy kształtem tę rzecz, o której mówić chcemy, mianowicie siłę materiału wybuchowego, owo bóstwo nowe i potężne, które zdetronizowało w świątyni wojny wszystkie bóstwa bitewne czasów dawnych? Skądże to, z jakich głębin, z jakich zawrotnych przepaści wyłonił się ten demon nie znający dotychczas światła słonecznego? Do jakiej go zaliczyć rodziny terrorów, do jakiej grupy tajemnic nieogarniętych, jawiących się nagle? Melinit, dynamit, panklastyt, kordyt, roburyt, liddy, balistyt... Oto widziadła potworne, wobec których stary, czarny proch, będący postrachem ojców naszych, i piorun, reasumujący starożytnym najtragiczniejszy przejaw boskiego gniewu — wydają się po prostu kumoszkami gadatliwymi wprawdzie, skłonnyymi do bicia po twarzy, ale dobrotliwymi niemal i po prostu traktu-

jącymi nas po macierzyńsku. Nikt pobieżnie nawet nie zbadał niezliczonych tajemnic potworów owych, a natury ich istotnej nie zna ani chemik, który je tworzył i usypia, ani artylerzysta, który je budzi do czynu. Nikt nie wie, czym są właściwie, skąd pochodzą, jaka jest ich dusza, jakim ulegają podnieciom i nieobliczalnym kaprysom oraz jakim są momentalnie posłuszne prawom. Czyżby to była wielka rewolta rzeczy od przedwiecza trzymanej na uwięzi, piorunowa transfiguracja śmierci, straszliwy wybuch radości, który wstrząsa nicością, erupcja nienawiści lub szal wesela? Czyż jest to forma życia nowego, tak płomiennego, że w jednej sekundzie zużywa to, co zgromadziła cierpliwość dwudziestu wieków? Czyż jest to błysk tajemnicy światów, przedzierający się szczeliną groty milczenia, która ją ukrywa? Czyż to zuchwała pożyczka wzięta z rezerwy energii utrzymującej glob nasz w przestrzeni? Czyż zbiera się w sobie na moment, by uczynić skok w przyszłość w kierunku nowych przeznaczeń, to wszystko, co się sposobi dopiero, wypracowuje, gromadzi i akumuluje pod osłoną skał, mórz i gór? Czyż jest to dusza czy materia, czy może inny, trzeci, nienazwany jeszcze stan życia? Skądże biorą rozmach niszczycielski, gdzie opierają koniec dźwigni wyłamującej olbrzymie dziury w globie i gdzie jest punkt wyjścia owej energii, która by przeniknąć mogła ponad gwiazdy, gdzie rządzi wola ich matki, ziemi?

Uczony na wszystkie te pytania odpowiada po prostu, że siła materii wybuchowej jest wynikiem nagłego wytworzenia się wielkiej ilości prężnych gazów, w przestrzeni zbyt małej, by je pomieścić, znaj-

dujących się pod ciśnieniem atmosferycznym. Uczony przekonany jest oczywiście, że tłumaczenie to wszystko wyjaśnia i starczy najzupełniej. My jednak zapuszczamy się na dno prawdy i wiemy już teraz, jak zazwyczaj, co o tym wszystkim sądzić.

PRZEBACZENIE KRZYWD

P ożyteczna to, zaprawdę, rzecz pytać od czasu do czasu o właściwe znaczenie niektórych wyrażań będących odwiecznym uniformem odczuć, które uległy zmianie.

Słowo: — przebaczenie — na przykład, z pierwszego wejrzenia najpiękniejsze bodaj w ludzkiej mowie, zaliż ma ono dotąd, zali miało kiedyś w ogóle przyznawane mu przez nas znaczenie amnestii zupełnej i boskiej niemal? Czyliż nie należy go raczej zaliczyć do określeń wyrażających jeno rozpęd dobrej woli człowieczej, ideał, jakiego ziścić nigdy nie zdołano?

Ileż prawdy istotnej zawierają słowa nasze, gdy mówimy do krzywdziciela swego: „Oto przebaczam ci i zapominam!“ Zaiste w ten sposób bierzemy na siebie zobowiązanie: „Nie będę się starał mścić i szkodzić si!“ Reszta, którą obiecujemy, nie zawisła wcale od woli naszej. Niesposób zapomnieć doznanego zła, albowiem wspomnieniem tym związany jest bezpośrednio najgłębszy i najistotniejszy z naszych instynktów, to jest instynkt samozachowawczy.

Nie rozpoznajemy nigdy w sobie człowieka, który w danym momencie wdziera się w egzystencję naszą. Jest nam jeno obrazem wyrysowanym przezeń samego w pamięci naszej. Co prawda, życie, jakiego jest pełen, objawia nam mnóstwo rzeczy nie dających się zdefiniować a potężnych. Oblicze owo przy-

wodzi całą masę obietnic głębszych niezawodnie i szczerzych od słów czy czynów, które by je niezadługo zdementować musiały. Ale ten wielki znak posiada jeno idealną wartość. Znajdujemy się w świecie, gdzie bardzo niewielka liczba istot żyje wedle prawdy, o jakiej świadczy sama ich egzystencja, a dzieje się to skutkiem naporu okoliczności albo zasadniczego, początkowego błędu. Z biegiem czasu długie, ponure doświadczenie uczy nas nie liczyć się z owym zbyt tajemniczym obliczem. Okrywa je maska twarda, ostro zarysowana, nosząca piętno wszystkich faktów i odruchów, jakie zaszły w nas lub obok nas. Czyny dobre nadają jej barwy ponętne i delikatne, zaś czyny złe żłobią w niej bruzdy głębokie. W rzeczywistości tedy człowieka zbliżającego się do nas dostrzegamy pod kształtem takiej jeno maski, wymodelowanej przez wspomnienie chwil miłych lub przykrych. Gdybyśmy tedy powiedzieli, o ile nas skrzywdził, że mu przebaczymy, to znaczyłoby to po prostu, iż go nie poznajemy wcale.

*

Trzeba się dowiedzieć teraz, jaki wpływ będzie miało owo rozpoznanie na stosunki nasze z człowiekiem, który nas skrzywdził. Dzieje się tutaj podobnie jak w wielu innych razach, że pierwsze nieświadome jeszcze kroki dobrej woli naszej, bezpośrednio po przebudzeniu kierują się w stronę ideału religijnego. Na szczycie tego ideału, niby symbol jego, można by wyobrazić legendarną grupę chrześcijanki grzebiącej z narażeniem własnego życia zwłoki nieprawego i przekłętą Nerona. Nie ulega kwestii, że czyn tej kobiety wznioślejszy jest i bardziej nie-

siężny dla rozumu ludzkiego niżli uczynek Antygony, w którym wyraża się ideał pogański. Mimo to nie wyczerpuje wcale całego zakresu przebaczenia chrześcijańskiego. Wyobraźmy sobie, że Neron nie zginął, ale znajduje się w stanie takim, iż jakiś heroiczny ratunek mógłby mu ocalić życie. Otóż obowiązkiem chrześcijanki będzie pośpieszyć mu z tą pomocą, mimo że wie z pewnością absolutną, iż powrót tyrana do zdrowia wywoła wznowienie prześladowań. Może wznieść się wyżej jeszcze. Wyobraźmy sobie, że ma do wyboru ratować brata lub potwora, który ją skaże na śmierć, i że ci dwaj ludzie znajdują się w tym samym stadium niebezpieczeństwa. Otóż szczyt ideału osiągnie chrześcijanka dopiero wówczas, gdy pośpieszy z pomocą tyranowi.

*

Cóż sądzić mamy w świecie naszym my, którzy nie uznajemy świata innego w tym ideale tak szczytnym, mimo nagród zaziemskich, jakie zostały przyrządzone wyznawcom jego? Któregoż z bohaterów miłosierdzia nazwiemy szaleńcem i który moment wyda nam się najprzepastniej nadludzkim? Pierwszy, to dziedzina, kędy widać jeszcze czasem ślad stopy człowieka, dwie jednak ostatnie pustacie ducha są dziś zgoła bezludne. Uświadommyż sobie, że istnieje tu rodzaj heroicznego traktatu handlowego, opartego o wiarę a dziś niemożliwego już. Ale choćbyśmy pominęli samą wiarę, to w samej bezdni nierozumu tego ideału istnieje coś specyficznie ludzkiego, co pozwala nam przeczuwać, do jakich wyżyn mógłby sięgnąć człowiek, gdyby życie nie było tak okrutne.

Nie sądźmy, że przykłady tego rodzaju, wzięte z krańców wyobraźni, są bezistotne i absurdalne? Życie daje nam ciągle ekwiwalenty mniej tragiczne może, ale równie bezsprzecznie trudne, a umysł zdolny do aktów najwyższych jest wykładnikiem tego, jak wysoko wznieść by się mogli maluczcy. Wszystko, cośmy zamierzali na wielką skalę, jawi się swego czasu w skali pomniejszonej, a wybór, jakiśmy uczynili na szczytach, jest miarodajny dla wyboru, jakiego dokonamy na nizinach.

*

Możemy się zresztą nauczyć przebaczać, tak jak to czyni chrześcijanin. Podobnie jak on nie jesteśmy więźniami tego świata, który oglądamy cielesnymi oczyma naszymi. Starczy wysiłek podobny, tylko w inną skierowany stronę, a wyrwać się możemy z łatwością. Chrześcijanin, podobnie jak my, nie zapominał krzywdy, nie starał się dokonać rzeczy niewykonalnej, ale po prostu zatopił całą urazę i żądzę pomsty w nieskończoności bóstwa swego. A owa nieskończoność, gdy się jej lepiej przyjrzymy, nie różni się tak bardzo od naszej. Obydwie są w gruncie jeno owym nienazwalnym odczuciem nieskończoności, które przepełnia nas wszystkich. Religia podnosiła, że tak rzekę, mechanicznie wszystkie dusze na tenże sam poziom, na owe wyże, na które piąć się teraz musimy o własnych siłach. Ponieważ atoli znaczna ilość dusz, jakie za sobą porwała, dotknięta była jeszcze ślepotą, przeto religia nie czyniła daremnych wysiłków, by dawać im wyobrażenie jasne o prawdach dostrzegalnych z szczytów owych. Po-

przestała na obrazach przystosowanych do ich zdolności apercypcyjnych i łatwych do ujęcia, a metoda owa, z przyczyn najrozmaitszych, dawała niemal te same wyniki, co nasze wysiłki, to jest wywoływała wizję realną, jaką osiągamy dzisiaj. — Należy przebaczać doznane krzywdy, albowiem wskazuje to Bóg i sam dał przykład przebaczenia najdoskonalszego, jakie sobie wyobrazić możemy. Rozkaz ten, który spełnić można nie otwierając zgoła oczu, jest wprost identyczny z tym, jaki nam daje konieczność i głęboka bezwina życia całego, o ile na te sprawy spoglądamy z dostatecznej wyżyny. Jeśli zaś rozkaz nasz nie zmusza nas do miłowania wroga ponad brata, to nie dlatego, by ideał nasz był mniej szczytny, ale dlatego, że zwraca się do serc mniej interesownych i inteligencji, która nauczyła się nie sądzić ideału jedynie wedle tego, czy jest łatwiejszy, czy trudniejszy do ziszczenia. Na przykład w pokucie i umartwieniu, a także w ofierze istnieje cała seria coraz to uciążliwszych zwycięstw duchowych, a są one realnie szczytne nie przez to, iż przekroczyły już kręgi atmosfery ludzkiej, i nie przez to, że błyszczą w próżni niepotrzebne, a nawet często zgoła szkodliwe. Człowieka żonglującego kulami ognistymi na szczycie wieży, czyli dokonywającego rzeczy trudnej, nikt chyba nie porówna z człowiekiem, który rzuca się w ogień czy wodę, by ocalić dziecko, mimo że niebezpieczeństwo, na jakie się wystawia, jest znacznie mniejsze. W każdym razie i skuteczniej może niż pierwszy rozkaz, o którym mówimy, rozprasza nienawiść, albowiem nie jawi się z woli obcej, ale rodzi się w samych nas na widok nieogarniętego mnóstwa

przejawów życia, gdzie czyny ludzkie nabierają właściwego znaczenia i zajmują przynależne im miejsce. Nie ma już złej woli, niewdzięczności, niesprawiedliwości ni przewrotności, nie ma już nawet egoizmu w niewysłowionej i bezkresnej ciemni, gdzie męczą się egzystencją własną biedne istoty prac się poprzez mroki z dobrą wolą, którą daje przekonanie, że spełniamy obowiązek lub wykonywamy przysługujące nam prawo.

*

Nie obawiamy się, że obraz ów i jeszcze inne podobne, równie ścisłe a wspanialsze zapewne, które przytomne być winny zawsze oczom naszym, wytrąca nam z ręki broń i uczynią nas ofiarami w życiu realnym, o ciasniejszym zakresie i twardszych warunkach bytu. Niewielu już, zaiste, spośród nas musi wzmacniać środki obrony, wyostrzać swą roztropność lub zwiększać podejrzliwość czy egoizm. Instynkt i doświadczenie życiowe sprawę tę doprowadziły do doskonałości wielkiej. Do utraty równowagi nie doprowadzi nas, zaiste, dzisiaj to, co staje w sprzeczności z drobnymi codziennymi sprawami. Zapanowały one niepodzielnie, a cały wysiłek czujnej myśli starczy ledwo na to, by nie zejść z drogi na beznadziejny manowiec. Atoli nie jest rzeczą obojętną ani dla otoczenia naszego, ani dla nas samych, czy akty ataku i obrony rysują się na ponurym tle nienawiści, pogardy i rozczarowania, czy otacza je przejrzysty widnokrąg pobłażliwości i cichego przebaczenia, które rozumie i wyjaśnia wszystko. Nade wszystko unikajmy lekcji nikczemności, jakie z biegiem upływających lat życia niesie nam doświadcze-

nie. Mieszczą się w nich rzeczy ciężkie i nieprzejrzyste, leżące w sferze instynktu i sięgające zapewne dna życia. Nie ma potrzeby zajmować się nimi, bowiem same kiełkują i mnożą się na podłożu nieświadomości.

Są atoli inne sprawy czystsze i subtelniejsze i winniśmy się nauczyć chwytąć je i utrzymywać, zanim rozpierzchną się w przestrzeni. Każda myśl da się na tyle różnych interpretować sposobów, ile różnych sił mieści świadomość nasza. Najniższe wydają się zrazu najprostsze, najśluszniesze i najnaturalniejsze, albowiem jawią się najpierw i idą po linii najmniejszego oporu. Jeśli nie będziemy walczyli bezustannie z ich zalewem chytrym i codziennym, podgryzą i zatrują z wolna każdą nadzieję i wszystką wiarę, która w młodości utworzyła najszlachetniejszą i najrodzajniejszą sferę umysłowości naszej. Wyjałowiłyby się dusze i na ostatnie dni życia nie pozostałoby nam nic, poza nader smutnymi ruinami rozumu. Konieczną jest przeto rzeczą gromadzić jak najszczytniejsze ujęcie faktów, na które natykamy się co chwila w miarę mnożenia się niskiego i przyziemnego dorobku praktycznego zmysłu życia. Im głębiej zanurza się w glebę ziemi korzeń życia naszego, tym górniej sięgać winien wierzchołek jego rozkwiecony i okryty owocem. Niezbędna jest ciągle czujna myśl, która by przewietrzała i ożywiała martwotę lat, co płyną, a idea ta jest tak praktyczna, pozytywna i tak niewątpliwie ujmuje samą istotę rzeczy, że gdybyśmy ją zastosowali do najtajniejszych faktów i przeprowadzili w najdrobniejszych rozgałęzieniach, to niezawodnie analiza wykazałaby w końcu niewątpliwie, iż stanowi najprawdziwszą życia samego zasadę.

PRZYPADEK

Im bardziej uczymy się władać siłami przyrody, mnożą się coraz to więcej możliwości przypadku, podobnie jak wzrasta niebezpieczeństwo pogromcy wraz z liczbą dzikich zwierząt, z którymi wyprawia harce w klatce. Dawniej unikaliśmy ile możności zetknięcia się z tymi siłami, dzisiaj atoli obcujemy z nimi ustawicznie. Toteż mimo coraz to większej roztropności w życiu praktycznym i złagodzenia obyczajów, dużo częściej niż ojcowie widzimy z bliska śmierć. Nie ulega wątpliwości, że wielu czytelników niniejszego szkicu doznało tychże samych wrażeń i poczyniło analogiczne spostrzeżenia.

*

Jedna z pierwszych nasuwających się tu kwestyj, to problem przecucia. Jest to rzecz, zdaniem wielu, oczywista, że od samego rana mamy przecucie przypadków zagrażających nam w ciągu dnia. Trudno jednak ująć ściśle ową intuicję, albowiem doświadczenie nasze dotyczy jeno faktów, które nie przybrały złego obrotu, a przynajmniej nie pociągnęły złych skutków za sobą. Otóż owe bezskuteczne zdarzenia nie tykają nawet, rzecz można, głębokiej toni naszego instynktu w sposób aprioryczny, nie posiadają mocy ostrzegawczej. Inne, pociągające za sobą śmierć bliższą czy dalszą, są nader nieuchwytne i rzadko ofiara

zdobywa się na tyle jasnowidztwa, by zaspokoić w pełni naszą ciekawość. Wszystko, czego doświadczenie osobiste może nam w tej mierze dostarczyć, owiewa mgłą niepewności, a kwestia ciągle trwa w tej samej formie.

*

Przypuśćmy, że o świcie pogodnego dnia wyruszyliśmy automobilem, rowerem, motocyklem lub łodzią motorową. Nie idzie o to, czym, gdyż przypadek jest zgoła niezależnym od środków naszej lokomocji faktem. Celem jednak sprecyzowania obrazu weźmy auto lub motocykl, gdyż są to przedziwne narzędzia nieszczęścia i najśmielej igrają z losem w hazardowej grze życia i śmierci. Nagle, bez powodu, na zakręcie pośród ścielącej się w dal szerokiej drogi czy na stoku góry wyskakuje, w momencie kiedy chwytamy kierownicę czy hamulec, przeszkoda i zatarasowuje całą wolną przestrzeń. Może to być byle jakie nawet, przejrzyste na poły drzewo, mur, skała, słowem, dowolny przedmiot i oto staje przed nami śmierć nieprzewidziana, bezpośrednia, niewątpliwa, nieunikniona i zamyka jednym gestem cały horyzont nie pozostawiając wyjścia.

Natychmiast rozpoczyna się pomiędzy naszą świadomością i instynktem scena gwałtowna, desperacka, trwająca zaledwo sekundę. W niezwykle ciekawej sytuacji znajduje się nagle nasza inteligencja, rozum czy świadomość, bez względu jakie temu kompleksowi funkcji nadamy miano. Uświadamiamy sobie niezwłocznie, zupełnie trzeźwo i logicznie, że wszystko stracone bez ratunku. Nie popadamy jednak w szaleńcy strach. W myśli zarysowuje się wyraźnie katastro-

fa z wszystkimi szczegółami i konsekwencjami, a rozum stwierdza z zadowoleniem, że nie boi się i nie traci bystrości. Ma on pomiędzy upadkiem a ciosem śmiertelnym bardzo dużo czasu, toteż rozważa, sądzi, bawi się myślami, zbacza w różne strony, wywołuje wspomnienia, snuje analogie, robi spostrzeżenia drobniawcze i dokładne. Drzewo, które widać poprzez śmierć, to jawór, kora miejscami poodpadała i nie tak jest piękny jak jawór w parku. Skała, o którą zmiażdży się czaszka, posiada żyłki błyszczącego łyszczyku i białe wpryśnięcia kwarcowe. Uświadamiamy sobie, że skała ta nie jest niczemu winna, że nie możemy jej czynić zarzutów żadnych. Zda się do nas uśmiechać, odczuwa jakąś jakby niewyraźną rozkosz i czeka na to, co musi nastąpić nieuchronnie z łagodną rezygnacją, przelślnioną rozciekawieniem przedziwnym.

*

Rzecz oczywista, że gdyby życie nasze zależne było jeno od interwencji owego niedołęznego obserwatora, zbyt logicznego i jasnowidzącego, to jest rozum, każdy przypadek kończyłby się nieuchronną katastrofą. Na szczęście, ostrzeżona przez nerwy rozszalałe, wibrujące, wołające ratunku niby dzieci wrzeszczące w ciemku, wychyla się na scenę inna istota niesamowita, brutalna, naga, muskularna i rozbijając wszystko w puch chwyta gestem mocarnym reszki autorytetu i szans ocalenia, jakie ma pod ręką. Zwieśmy istotę ową instynktem, podświadomością, intuicją, a, zaprawdę, nie zależy zgoła na tym nazwaniu. Nie wiadomo, gdzie był dotąd i skąd przybywa zbawca? Spał czy pełnił jakieś niedostrzegalne funkcje w głę-

bi prymitywnych podziemi naszego ciała? Dawniej królował niepodzielnie nad życiem, ale z biegiem długich wieków wydano go w sutereny ciemne i zimne, dano mu na mieszkanie norę, niby biednemu krewniakowi bez wychowania, obdartemu, niesfor-nemu, będącemu niemiłym świadkiem minionej daw-no niedoli i nędzy. Przypominamy sobie o nim i wzy-wamy jego pomocy jeno w rozpacznych sekundach najwyższej trwogi. Na szczęście, jest to istota wolna od ambicji osobistej i nie żywi urazy. Wie zresztą dobrze, że wszystkie owe przyozdoby górnych pięt, to majak i nicość, który znika w momencie, gdy się nim wzgardzi i że w gruncie rzeczy on sam jest istotnym panem owego mieszkania ludzkiego. Ogar-nia sytuację błyskawicą spojrzenia szybszą niż stra-szliwy rozmach niebezpieczeństwa, szereguje szcze-góły, przewiduje sposoby wyjścia, uświadamia sobie wszystkie możliwości i wspaniałym, niezapomnianym gestem, wyzwajającym całą potęgę i odwagę, precy-zję i wolę, sprawia, iż niezwyciężone życie wygrywa bój z niezwyciężalną śmiercią.

*

Szampion istnienia jawi się w najściślejszym, naj-dokładniejszym sensie nagle, niby kosmaty dzikus le-gendarny, śpieszący na ratunek zrozpaczonej księż-niczce, i iści cud. Posiada nade wszystko nie zrównane zalety bezzwłoczności, nie wie, co namysł, łamie prze-szkody i władnie niepodobieństwem. Nie liczy się nigdy z klęską, nie uznaje rzeczy nieuniknionych i w chwili ostatecznego pogrążenia działa zgoła wbrew nadziei, tak jak gdyby wątpliwość, niepokój, strach i zniechęcenie były pojęciami zgoła nie zna-

nymi siłom pierwotnym, którymi włada. Poprzez mur granitowy dostrzega jeno ocalenie podobne szczelinie sączącej światłość, a przez to właśnie że je dostrzega, draży je w skale zatriaty. Bez wahania po-wstrzymuje spadającą górę, usuwa na bok skałę, ska-cze na cienki drut żelazny i wciska się pomiędzy ko-lumny, które, biorąc rzecz z punktu matematyczne-go, nie dopuszczają przejścia. Pośród kilku drzew wybiera nieomylnie to, które zwalić się musi pod uderzeniem, albowiem niedostrzegalny robak pod-gryzł mu korzeń. Pośród gęstwy listowia dostrzega jedyną silną gałąź, zdatną utrzymać ciężar nad prze-paścią, a w stosie ostrych odłamków skalnych ściele, zda się, naprzód miękkie łoże, na którym spocznie ciało.

Po drugiej stronie niebezpieczeństwa staje rozum zdumiony, oszołomiony, drżący, niepewny, zbity z tropu i obróciwszy głowę gapi się przez chwilę na ową rzecz nieprawdopodobną. Potem obejmuje na nowo kierownictwo, wchodzi w swe prawa, a dobry dzikus, któremu nikt nie składa oczywiście podzięk, wraca cicho i spokojnie do swojej nory.

*

Nie jest nawet zgoła rzeczą dziwną, że instynkt chroni nas od wielkich a ciągłych niebezpieczeństw i czyni to od niepamiętnych czasów. Zawdzięczamy mu ocalenie od wody, ognia, upadku, ciosu napadu zwierząt. Wzwycał się niezawodnie do czynów ta-kich, a atawistyczne doświadczenie tłumaczy wielką jego wprawę. Zachwyca mnie jednak łatwość i na-tychmiastowość, z jakimi przystosowuje się do naj-

bardziej skomplikowanych i najdziwniejszych wynalazków i pomysłów inteligencji naszej. Starczy pokazać mu raz jeden mechanizm najprzedziwniejszej maszyny, nawet zgoła cudacznej i nieprzydatnej naszym realnym potrzebom, a zrozumie niezwłocznie i w ostatecznej potrzebie potrafi wyznać się w jej najskrytszych tajnikach, tak że pokieruje nią nie równie lepiej niż sama inteligencja, która ją wytworzyła.

Toteż choćby nie wiedzieć jak nowy, dziwny, czy straszliwy był przyrząd, wywołujący niebezpieczeństwo, można powiedzieć, że nie ma katastrof nieuniknionych. Instynkt staje zawsze na wyżynie każdej sytuacji, jaką sobie jeno zdołamy wyobrazić. Nawet w kleszczach ściskających nam gardło możemy jeszcze liczyć na zbawczy odruch instynktu, który włada środkami niewyczerpalnymi jak wszechświat czy przyroda, bo z tych właśnie źródeł nieznanych czerpie pełną dłońią.

*

Mówiąc otwarcie, przyznać się winniśmy, iż nie wszyscy możemy z równą pewnością liczyć na tę wszechpotężną interwencję. Instynkt nie umiera, nie grymasi i nie myli się nigdy. Mimo to wielu nie jest w stanie powołać go do działania, albowiem wrzucili go oni w tak przepastne głębie zapomnienia, tak rzadko zezwalają mu wyjrzeć na słońce, gwałcą go w tak okrutny i upokarzają w tak bezlitosny sposób, że w momencie potrzeby ostatecznej zawodzi. Ludziom tym po prostu brak fizycznie czasu na uprzedzenie i na rozpętanie instynktu osadzonego w kajdanach, w ciemnej „zapomince“ podziemnej. Kiedy

jawi się na miejscu czynu ożywiony jak najlepszymi chęciami, zbrojny w narzędzia, gotowy do dzieła, zło się już stało, śmierć dokonała swego i na pomoc za późno.

We wszystkich przypadkach ujawnia się zawsze owa nierówna dzielność instynktów, którą, zdaniem moim, przypisać należy raczej szybkości wyzwolenia niżli jakości żądanej odeń pomocy. Wyobraźmy sobie dwu automobilistów w dwu podobnych groźnych sytuacjach, gdzie śmierć jest niemal pewna, a wszystkie warunki zupełnie identyczne. Otóż jednego ocali coś wprost nieuchwytnego, pęknięcie osi, skok wozu, skrzywienie, zwrot, zatamowanie ruchu, słowem, cud oczywisty, drugi zaś pójdzie drogą normalną i roztrzaska się bez ratunku na przeszkodzie. W wozie mieści się sześć osób i wszystkie czeka ten sam los. Trzy z nich uczynią gest jedyny i jedynie możliwy, nielogiczny, niespodziewany, ale konieczny, reszta będzie postępowała nader rozumnie, w przeciwnym sensie, i przepadnie.

Byłem niemal świadkiem pewnego wypadku. Przybyłem na miejsce tak bezpośrednio po katastrofie, że wszystkie świeże szczegóły wryły mi się nader żywo w pamięć. Dramat rozegrał się na stoku Gourdonu, w górzystej wioszczynie, znanej dobrze turystom na przestrzeni Cannes — Nicea. Wioszczyna ta odwieczna mieści się na pionowej niemal skale, a położenie to zabezpieczało ją dawniej przed napadami barbaresków afrykańskiego wybrzeża. Skala ma osiemset metrów wysokości, a wiedzie po niej serpentynowa droga, otoczona z obu stron przepaściami. Niebezpieczną tą drogą toczyła się bryczka

z ośmiu osobami, pośród zaś nich jechała matka z kilkumiesięcznym dzieckiem. Nagle koń spłoszył się, stanął dęba i skoczył w przepaść. Podróżni, pewni nieuniknionej śmierci, znikli w bezdni najeżonej straszliwymi złomkami skał, ale matka zdołała przedtem rzucić dziecko na drogę po drugiej stronie bryczki. Przedziwny to był odruch instynktu miłosnego. Aliści cudem jakimś, zdarzającym się dosyć często, gdy idzie o życie ludzkie, siedem osób zatrzymały gęste krzewy kolczaste, porastające skały, tak że poza lżejszymi odrapaniami nie poniosły szkody, natomiast dziecko uderzyło głową o kamień, doznało złamania czaszki i skonało na miejscu. Walczyły tu dwa instynkty sprzeczne, a właśnie ten, w którym przejawiał się błysk świadomości, uczynił gest niezręczny. Można by tu mówić o tak zwanym szczęściu i fatalności. Nie mam nic przeciw wskrzeszeniu tych słów tajemniczych, pod warunkiem, że zostaną użyte dla określenia niepojętych aktów podświadomości czy instynktu. Dobrze jest, zaprawdę, ile razy tylko można, doszukiwać się źródła tajemnicy w nas samych, gdyż tą metodą zacieśniamy smętny teren błędu, zniechęcenia i poczucia niemocy.

*

Należy teraz zastanowić się, czy możemy, nie powiem, udoskonalić instynkt, gdyż uważam go za doskonały pod każdym względem, ale czy możemy go zbliżyć do woli, rozpętać jego więzy i przywrócić mu pierwotną swobodę? Kwestia ta domaga się oddzielnego studium. Zanim je ktoś podejmie, podkreślam, że zdaniem moim częste, nawykowe a systematyczne

zbliżenie się do sił przyrodzonych, faktów materialnych, do onego całokształtu wielkich spraw, zwanego przez nas naturą, że wszystko to zmniejsza z dniem każdym odległość, jaką będzie miał przebiec instynkt, ile razy pośpieszy nam z pomocą. Właśnie odległość ta, niewymierna wprost u człowieka pierwotnego, prostaczka czy szaraczka życia, wzrasta wraz z wykształceniem i cywilizacją. Przekonany jestem, że można by ustalić konkretne dane, iż wieśniak czy robotnik, nawet starszy i mniej zręczny od swego pracodawcy czy inżyniera, ma dwa do trzech razy więcej szans ocalenia w tejże samej katastrofie, niżli wymienieni, przewyższający go wykształceniem. W każdej zresztą katastrofie ofiara *a priori* jest winna. Musi sobie powiedzieć bez żadnych ceregieli, iż każdy inny na jej miejscu ocalałby niezawodnie, toteż człowiek ulegający katastrofie nie ma już z góry kwalifikacji życiowych, bowiem podświadomość jego, nieodłączna od podtrzymania życia w przyszłości, „nie jest w porządku“. Upośledzona z góry, skazana na nieaktywność, posiada cechy, jakie prawo rzymskie określało słowami *minus habens*.

*

Mimo to cudowną przedstawi nam się wprost szansa życia naszego, jeśli zważymy, jak kruche i nieodporne jest ciało nasze w porównaniu z ogromną potęgą wszystkiego, co je otacza, i mnogością niebezpieczeństw, na jakie narażeni jesteśmy. Pod tym względem szanse życiowe człowieka wyższe są znacznie od takichże szans wszystkich innych stworzeń. Żyjąc pośród maszyn, przyrządów, trucizn, ognia,

wody, pośród owych rozlicznych ujarzmionych mniej więcej a ciągle gotowych do rewolty potęg ryzykujemy życie trzydzieści razy częściej od konia, wołu czy psa. Mimo to w katastrofie ulicznej czy na gościńcu, podczas powodzi, pożaru, burzy, trzęsienia ziemi, upadku drzewa czy zawalenia się budynku zwierzę ginie nierównie częściej od człowieka. Widocznie te-
dy rozum, doświadczenie i instynkt ludzki posiadają wyszkolenie wyższe i bronią go lepiej. Poza tym wszystkim kryje się jednak jeszcze coś innego. Uwzględniwszy całe ryzyko i przypadki oraz oddaw-
szy co należy inteligencji i zręczniejszemu a także pewniejszemu instynktowi naszemu, spostrzeżemy, że przyroda zdaje się niejako bać człowieka. Unika starannie i troskliwie ataku na ów kruchy organizm, otacza ciało nasze czymś w rodzaju respektu i posza-
nowania niewytłumaczalnego, a nawet wówczas kie-
dy z własnej winy zmuszamy ją bezwzględnie, by nas zraniła, stara się uczynić to w sposób sprawiają-
cy nam jak najmniej bólu.

NASZ OBOWIĄZEK SPOŁECZNY

Wyznajmy szczerze tę wielką prawdę, że dla ludzi wyposażonych w dobra tego świata istnieje przede wszystkim obowiązek wyzbycia się ich na korzyść tłumu nie posiadającego nic i zrównania się z ową masą nieposiadaczy.

Każdy, kto posiada umysł jasny i logiczny, przyzna, że nie ma obowiązku wyższego, a jednocześnie spostrzeże, iż brak odwagi czyni spełnienie tego obowiązku niepodobieństwem. Przywołując sobie na pamięć całe dzieje bohaterskiego pełnienia obowiązków ludzkości spostrzegamy, że nawet w epokach najżarliwszych, nawet w początkach chrześcijaństwa i u początków zakonów, które za cel główny postawiły sobie ubóstwo, był to jeden jedyny obowiązek, który dopełniony w zupełności nie został nigdy. Toteż zastanawiając się nad innymi naszymi, niejako subsydiarnymi obowiązkami społecznymi zapamiętać trzeba, że ten właśnie zasadniczy został z umysłu wyeliminowany. Uświadomić to sobie należy z całą jasnością i nie zapominać, że żyjemy i rozumiemy niejako w cieniu rzucanym przez tę naczelną prawdę i że najśmielszy, najdalej posunięty gest nie zdoła postawić nas na jasnym punkcie, to jest tam, gdzie znaleźć winni byśmy się z samego początku.

*

Ze względu że mamy tu, jak się wydaje, do czynienia z niemożliwością absolutną, a wszelkie delibacje na ten temat byłyby zgoła jałowe, przeto przyjąć musimy naturę ludzką taką, jaka z musu jest. Nie mogąc iść drogą prostą, jedynie wiodącą do celu, starajmy się na drogach innych dotrzeć do zagadnienia będącego wielkim ciężarem, uciskającym sumienie ludzkości. Zapytajmy tedy po prostu, co czynić winni ludzie dobrej woli w obecnym stanie społecznym? Czy przyłączyć się mamy *a priori* i systematycznie do tych, którzy dezorganizują społeczeństwa dzisiejsze, czy do tych, którzy wysilają się na podtrzymywanie jego ekonomii? Czy może lepiej nie łącząc się z żadnym stronnictwem, stawać w obronie spraw i czynów poszczególnych, jakie w jednym czy drugim obozie wydadzą się dobre? Rozważania takie dają, zaprawdę, umysłowi szczeremu i woli dobrej dużo pola do wahań i niepewności, toteż jest rzeczą pożyteczną zważyć to, co przemawia „za“ i „przeciw“ w tej chwili właśnie, kiedy wybór jawi się każdemu uczciwemu człowiekowi jako konieczność nieodzowna i nagląca. Musimy uczynić to z większą niż zazwyczaj w życiu powszednim starannością i tak obiektywnie, jakbyśmy byli bezinteresownymi mieszkańcami którejś z pobliskich planet.

*

Nie będziemy przechodzić wszystkich odwiecznych argumentów, ale podejmiemy jeno te, których moc dowodowa jest niewątpliwa. Przede wszystkim napotykamy tedy argument uzasadniający nierówność społeczną tym, że jest nieunikniona, zgodna

z prawami natury i panuje w całym świecie zjaw żywych. To prawda zupełna, ale zdaje się, rodzaj ludzki został powołany do życia po to, by wznieść się ponad pewne, dotychczas obowiązujące prawa i stworzyć nowe. Gdyby zrzekł się owej misji przewyciężenia wielu takich praw, samo istnienie ludzkości byłoby zagrożone. Skutkiem specjalnych cech swoich człowiek zmuszony jest powodować się prawami innymi, przekraczającymi prawa animalne. Takie przeciwwargumenty wytoczyć by można. Zresztą sam zarzut jest od dawna zaliczony do klasy niebezpiecznych, bowiem na zasadzie tej można by zgodzić się na mordowanie słabych, chorych, starców i tym podobne zwierzęce czyny.

Konieczne jest, mówią inni, i to właśnie dla ziszczenia triumfu sprawiedliwości, by najlepsi w społeczeństwie nie pozbawiali się przedwcześnie broni tak dzielnej, jaką jest bogactwo i swoboda. Ludzie, mówiący tak, uznają konieczność wielkiej ofiary, stoją tylko na stanowisku oportunistycznym i praktycznym, a słuszność przyznać by im należało, gdyby byli szczerzy, to jest gdyby bogactwo i swoboda służyły jedynie i wyłącznie dla celu przyspieszenia dzieła sprawiedliwości.

Następny argument konserwatywny opiera się na zasadzie, że pierwszym obowiązkiem człowieka jest unikanie gwałtu i rozlewu krwi. Toteż rozwój społeczeństwa winien być powolny, dojrzewać w sposób naturalny, należy go poskramiać dając czas masom do osiągnięcia świadomości, a ludzi wieść trzeba równym krokiem, bez wstrząśnięć, ku wolności i pełni dóbr, inaczej miast udoskonalenia człowieka rozpęta-

łoby się jeno najgorsze jego instynkty i żądze. Dowód to przekonujący, mimo to byłoby jednak rzeczą ciekawą obliczyć, czy zło spowodowane rewolucją gwałtowną, radykalną i krwawą nie jest przypadkiem mniejsze od onej sumy zła, jaką mieści ewolucja powolna, rozłożona na wieki. Trzeba by sobie zadać pytanie, zali nie należy działać jak najszybciej i czy ostatecznie utrapienia i cicha niedola mas żyjących pod jarzmem niesprawiedliwości i przez wieki czekających zbawienia nie przeważają owego zła, na jakie narażeni by byli dzisiejsi uprzywilejowani w ciągu kilku tygodni czy nawet miesięcy. Bardzo łatwo zapominamy o okropnościach nędzy, bowiem są one nie tak hałaśliwe, nie tak sceniczne, chociaż nierównie liczniejsze, okrutniejsze i aktywniejsze od okropności najdzikszej rewolucji.

*

Przychodzimy do argumentu najbardziej wstrząsającego może. Ludzkość, powiadają oponenti, przebywa od lat stu okres najżywoźniejszego rozwoju, najwyższe iści zwycięstwa i, zdaje się, przebywa wiek klimakteryczny swych przeznaczeń. Biorąc pod uwagę przeszłość, sądzić można, że weszła w decydujące stadium ewolucji. Jawią się coraz to liczniejsze oznaki, że rodzaj ludzki dochodzi do swego apogeum. Żyjemy w okresie natchnień, z którym porównać się nie da żaden inny okres historii. Być może, dzieli nas od odkrycia wielkich tajemnic drobiazg jakiś jeno, ostatni wysiłek, błysk światła, myśl syntetyczna, która połączy i zesumuje odkrycia dokonane, przeczcucia rozpiezchłe lub wibrujące w powietrzu. Może

rozwiążemy problemy, których rozwikłanie zniweczy wroga odwiecznego, to jest wielką niepoznawalność wszechświata, i sprawi, że zgoła niepotrzebną stanie się owa wielka ofiara, jakiej się sprawiedliwość domaga od ludzi. Czyż nie jest rzeczą niebezpieczną powstrzymywać ten rozpęd, mąć ową chwilę bezcenną, niepowracalną i najszczytniejszą? Przypuszczając nawet, że to, cośmy osiągnęli, nie zostałoby jak w poprzednich katastrofach stracone, zachodzi obawa, by niesłychana dezorganizacja spowodowana zaprowadzeniem sprawiedliwości nie położyła kresu tym genialnym wzlotom i temu rozwojowi ducha. Nie posiadamy żadnej pewności, iż okres taki powróci, że zaczną ponownie działać czynniki natchnienia rodzaju ludzkiego, albowiem prawa owe są równie nieuchwytnie i nieobliczalne, jak prawa kierujące indywidualnym geniuszem twórczym.

Jest to, jak powiedziałem, argument wstrząsający do głębi i groźny, ale zdaje mi się, przypisuje zbyt wielkie znaczenie niebezpieczeństwu, które nie jest aż tak dalece oczywiste. Ponad to nastąpić musi niezmiernie doniosła kompensacja w zamian za ową krótką przerwę w zwycięskim pochodzie ludzkości. Czyż możemy przewidzieć, co się stanie, kiedy cała ludzkość weźmie udział w pracy intelektualnej, kiedy stanie do dzieła swego własnego wyzwolenia? Dziś jeden zaledwo umysł na sto tysięcy znajduje warunki w zupełności sprzyjające czynom jego. Prowadzimy potwornie rozrzutną gospodarkę i dewastujemy złoża sił duchowych. U góry lenistwo unieruchamia tyleż sił momentalnych, ile ich u dołu niweczy i depce nadmiar pracy fizycznej. Uważam za fakt

niewątpliwy, że kiedy wszyscy będą mogli wziąć się do pracy będącej dziś udziałem kilku jeno wybrańców losu, ludzkość pomnoży milionkrotnie swe szanse zwycięskiego dotarcia do wielkiego, okrytego tajemnicą celu.

*

Oto, zdaniem moim, wszystko istotne i ważne, co da się przytoczyć „za“ i „przeciw“ reorganizacji społeczeństwa, i to jeno winno zajmować ludzi rozsądnych, rozważających spokojnie problem. Pośród argumentów owych wznosi się potworny monolit ucisku niesprawiedliwości. Nie ma potrzeby zastanawiać się nad jego argumentami, gdyż ciężą one sumieniom i obezwładniają umysły. Nie istnieje też kwestia, czy ma zostać obalony, czy nie, jeno pewna grupa ludzi prosi tych, którzy go chcą obalić, o krótki czas zwłoki, a to w celu uprzątnięcia terenu, aby padający kolos sprawił jak najmniej szkód. Czy należy zwłokę ową przyznać, czy nie, oraz jakie za jednym i drugim przemawiają motywy, oto cały problem i zagrożenie dla ludzi dobrej wiary.

*

Trudno od razu zdecydować się na zwłokę, bowiem argumenty za nią przemawiające są nikłe, natomiast niesprawiedliwością byłoby odrzucać je z góry, nie ujmując sprawy ze stanowiska dominującego ponad względami czysto rozumowymi. Ten punkt widzenia zachowywać należy zawsze, ilekroć idzie o sprawy przekraczające zakres doświadczenia człowieka. Można by na przykład twierdzić, że wolny wybór nie wszystkim przysługuje. Gatunek posiada-

jący niezawodnie świadomość swych przeznaczeń i celów tak daleko sięgającą, że pojąć jej nie może indywiduum, mógł doskonale podzielić między ludzi role w wielkim dramacie swego rozwoju. Z powodów dla nas niezrozumiałych może być rzeczą konieczną, by się odbywał powoli. Dlatego ta olbrzymia jego masa fizyczna związana jest z przeszłością i czasem obecnym, a w masie tej mogą się znajdować najlojalniejsze umysły, natomiast może się udać wymknąć i prześcignąć ruch masy umysłem zgoła przeciwnym. Obojętne jest zupełnie, zali zadowolonych będzie więcej po stronie cienia czy światła, albowiem zależy to raczej od predestynacji i otrzymanej roli niżli od wolnego wyboru. Tymczasem dla nas, którzyśmy wydali już sąd ujemny o argumentach przeszłości, będzie to nowym motywem zniecierpliwienia. Przypuśćmy teraz rzecz bardzo możliwą. Oto niezadowoleni jesteśmy dzisiaj na przykład z narzuconego obowiązku, że tak rzekę, organicznego zburzenia wszelkich podpór dzisiejszego stanu rzeczy, a to w celu przysposobienia jutrzejszej sytuacji. Mamy z naszego punktu widzenia rację i dostrzegamy wszystkie niebezpieczeństwa i trudności spowodowane ewolucją zbyt szybką. Ale wszakże sprawa została postanowiona, przeto winniśmy spełnić wiernie funkcje przydzielone nam przez geniusz gatunku i przejść do porządku nad całą własną cierpliwością i rozważą. Jesteśmy w atmosferze społecznej przedstawicielami tlenu, jeśli się tedy zachowamy jak tępy i nieruchawy azot, sprzeniewierzmy się misji, jaką nam wyznaczyła przyroda, a wina ta jest w skali grzechów i zbrodni ludzkich najcięższa i najmniej

przebaczalna. Nie naszą jest rzeczą troszczyć się o smutne zazwyczaj skutki pośpiechu, gdyż tego nie zawiera rola nasza i licząc się z tym wypowiadalibyśmy słowa nieprawdziwe, nie mieszczące się w tekście autentycznym natury. Ludzkość wyznaczyła nam pieczę nad tym, co widnieje na horyzoncie, dała nam rozkaz, którego analizować nie wolno. Rozdziela wedle woli siły swoje. Na każdym rozstaju drogi wiodącej w przyszłość postawiła przeciw każdemu z nas dziesięć tysięcy zbrojnych strzegących przeszłości, nie obawiamy się tedy, by złą i niedostateczną miały obronę piękne wieżycy dawnych bastyl. Nazbyt jesteśmy nawet skłonni zwlekać i marudzić oraz rozczułać się ruinami, które są koniecznością, i to nasz błąd największy może. Najdzielniejsi spośród nas nie mogą uczynić nic ponad niedorzucanie głazu do ogromnej masy martwej, z jaką boryka się przyroda w swym rozwoju, tedy idźmy w przód, a inni pójdą oślep za nami nie zdając sobie zgoła sprawy z rozpędu, jakiemu ulegli. Gdybyśmy nawet nie mieli ze strony rozumu naszego zatwierdzenia owych środków ostatecznych, które stosujemy, to czynmy swoje dalej i wierzy wbrew rozumowi, pamiętni, że we wszystkim, skutkiem prawa przyciągania ziemi, mierzyć trzeba wyżej, niż widnieje cel, do którego trafić zamierzamy.

Nie bójmy się, że pójdziemy za daleko, i niech żadna, najbardziej nawet uzasadniona i słuszna refleksja nie osłabia zapału. Nasze ekscesy w przyszłość skierowane konieczne są dla równowagi świata i życia. Mnóstwo ludzi wkoło nas ma jeno ten ściśle określony obowiązek i tę jeno misję, by gasić

rozpalane przez nas ogniska. Idźmy zawsze w najwyższe sfery myśli naszych, nadziejom tamy nie kładźmy i nie kielzajmy poczucia sprawiedliwości. Niech nam się nie wydaje, że wysiłki takie, to jeno rzecz największych i najzdolniejszych spośród nas. Tak nie jest, najskromniejsi bowiem spośród nas, marząc o gwieździe, czuć się tuż przy niej w przestworzach niesiężnych powinni. Choćby niedobrze pojmowali, co czynią, obecność ich na tym szczycie sprawi, że wypełni się z wolna owa próżnia przerażająca w przestrzeni i od ziemi do krańców nieba, od geniuszów do martwej masy utworzą się łańcuchy duchów, konieczne dla komunikacji idei w wszechświecie.

Pomyślmy czasem o owym wielkim, niewidzialnym okręcie, który poprzez fale wieczności wiezie losy ludzkości. Podobnie jak okręty naszych ciasnych oceanów ma on swe żagle i balast swój. Bojąc się, by nie zatonął u wyjścia z przystani, nie należy powiększać balastu kładąc na dno reje i zwinięte, piękne, białe żagle. Nie są one przeznaczone na to, by gnić w ciemnościach obok kamieni i piasku. Wszakże balastu wszędzie pod dostatkiem, zaś żagiel, to rzecz cenna i nie łatwo o niego w drodze. Nie powinno się ich tedy pograżać na dnie, ale wznieść wysoko na śmigłe maszty, w światłość i wiatr wiejący przez otchłanie przestrzeni.

*

Nie mówmy sobie także, że prawda rzeczywista mieści się pośrodku, że polega na uczciwym umiarkowaniu. Tak by być mogło, gdyby wszyscy myśleli

szczytnie, tymczasem myśli ich pełzają nader nisko. Dlatego to inni powinni sięgać wzwyż i żywić nadzieję prześcigającą rozsądek. Nawet ta średnia przeciętna na dziś, utworzona w ten sposób, okaże się jutro czymś wprost nieprzystojnym człowiekowi. Przypadkowo dostała mi się niedawno w ręce stara, flamandzka kronika Marka van Warnewycka i w niej to znalazłem doskonały przykład tego, tak zwanego uczciwego myślenia po średniej, przeciętnej. Marek Warnewyck był bogatym patrycjuszem gandawskim, wykształconym i nawet mądrym bardzo. Pozostawił nam skrupulatny opis wydarzeń, jakie miały miejsce w jego rodzinnym mieście od roku 1566 do 1568. Opisuje wszystkie szaleństwa obrazoburców oraz straszną represję tego ruchu przez księcia Albę. W opisie tym autentycznym i wytwornym podziwiam nie tyle żywość kolorytu i szczegółowość malarstwa najdrobniejszej sceny wieszania, palenia, tortur, buntów, walk czy kazań, która upodabnia utwór ten do obrazów Brueghela, ile zachwyca mnie czysta, pogodna i dziecięca wprost bezstronność autora. Będąc gorącym katolikiem potępia z umiarkowaniem wielkim i sprawiedliwie zarówno reformistów jak i Hiszpanów. Jest to sędzia nieprzekupny i absolutnie rzeczowy, praktyczny i mądry, zrównoważony i powodowany najlepszą wolą, przy tym wyrozumiały, łagodny i światły. Pozwala sobie czasem wyrażać żal z powodu, iż sytuacja domaga się aż tylu ofiar. Ze słów jego przebija przypuszczenie, którego jednak nie ma odwagi zamienić w twierdzenie, że może by nie było niezbędną rzeczą palenie aż tylu codziennie heretyków. Nie postoi mu jednak ani na

moment w głowie, że palenie ich w ogóle jest niepotrzebne. Ta ostatnia myśl posiada w jego czasie cechy tak niezwykle, tak bardzo odległa jest jeszcze od średniej przeciętnej myśli społeczeństwa, tak dalece znajduje się jeszcze pod horyzontem rzeczy dostrzegalnych ludziom epoki, nawet osobnikom jak autor wybitnym, że nie jawi mu się w ogóle w głowie. A jednakże dzisiaj przekonanie takie jest udziałem całego świata. Czyż nie podobnie ma się rzecz z nierozwikłanymi dotąd kwestiami małżeństwa, miłości, religii, władzy, wojny czy sprawiedliwości? Czyż ludzkość żyje za krótko jeszcze, by zdać sobie sprawę z faktu, że słuszość jest cechą idei szczytowej, to znaczy najdalej posuniętej. W chwili obecnej najrozsądniejszą ideą w kwestii organizacji społeczeństwa jest usiłowanie zmniejszania w miarę możliwości różnic klasowych i równomierniejszego rozdziału dóbr ekonomicznych. Idea szczytowa, krańcowa domaga się natychmiastowego zrównania, zniesienia własności, zaprowadzenia przymusu pracy itp. Nie wiemy jeszcze, jak zostaną zrealizowane te wymagania, ale dziś już nie ulega żadnej kwestii, że nader proste i nieskomplikowane okoliczności uczynią je pewnego pięknego dnia tak samo naturalnymi i zrozumiałymi, jak np. zniesienie prawa pierworodztwa lub przywilejów szlachty. W kwestiach tych, które dotyczą bytu gatunku, nie zaś ludów czy indywidualów, nie należy ograniczać się do ciasnego zakresu doświadczenia historycznego. To, co ono nam powiada, nie może mieć znaczenia dla szerszego terenu życia ludzkości, a prawda tkwi w tym wypadku nie tyle w rozumie, zawsze zapatrzonym w to, co

minęło, ile w wyobraźni wychylającej się daleko poza najdalsze rubieże przeszłości.

*

Niechże tedy rozum nasz stara się wyjść poza doświadczenie. Jest to rzecz łatwa dla młodych, ale trzeba także, by ludzie dojrzały i starcy przyuczyli się wznosić na świetlane wyże młodocianej niewiedzy. Winniśmy, w miarę jak mijają nasze lata, ubezpieczać się coraz to bardziej przeciw zatraceniu wiary, którą podkopują ustawicznie napotykanymi w życiu ludźmi złej woli. Wbrew wszystkiemu, co mówią, starajmy się działać, kochać i żywić niewygasłą nadzieję, jakby ludzkość, z którą mamy do czynienia, była idealna. Ów ideał jest to jeno rzeczywistość szersza i ogólniejsza od tej, którą dostrzegamy. Błędy indywidualów nie mącą bardziej czystości i niewinności ogółu, niżli fale powierzchni morza, widziane z pewnej wysokości, które, jak powiadają lotnicy, w niczym nie naruszają bezruchu przezroczystych głębin.

*

Ufajmy temu jeno doświadczeniu, które nas pędzi naprzód, bo jest ono zawsze wyższe i szczytniejsze od doświadczenia odrzucającego nas wstecz lub trzymającego w miejscu. Odsuwajmy od siebie każdą radę przeszłości nie dającą nam na przyszłość wskazówek. Zrozumieli to przedziwnie i to po raz pierwszy może w dziejach świata wielcy ludzie Wielkiej Rewolucji i dlatego właśnie rewolucja owa dokonała istotnie wielkich i trwałych rzeczy. Doświad-

czenie to poucza nas, że wbrew nawykowi życia codziennego należy przede wszystkim niszczyć. W każdym postępie socjalnym trudną jest jeno wielka praca usunięcia przeszłości i jej destrukcja. Niech nas o to nie boli głowa, co postawimy na miejsce ruin, bowiem zajmie się tym samo życie i natura. Śpieszno im aż nadto do rekonstruowania i wcale nie na miejscu byłoby dopomagać onym potęgom. Natomiast nie wahajmy się doprowadzić idei niszczycielskich do granic możliwości, bo dziewięć dziesiątych ciosów naszych zatraci się w bezwładzie martwej materii, podobnie jak najtęższy cios młotu rozdzielił się na tyle części w masie wielkiego kamienia, iż nie odczuje go nawet wątpa dłoń dziecka, która trzyma ów kamień.

*

Nie obawiajmy się, że możemy kroczyć za szybko. Jeśli wyda się czasem, że niebezpiecznie jest ściągać etapy i palić za sobą mosty, to pocieszajmy się tym, iż pośpiech ów ma na celu wyrównanie nieuzasadnionych opóźnień i odzyskanie czasu zmarnowanego przez całe wieki bezczynu. Podczas owych wiekowych spoczynków odbywał się nieprzerwanie rozwój wszechświata i konieczne jest widocznie, by ludzkość znalazła się na jakimś odległym a ściśle określonym punkcie swego przeznaczenia w momencie danego fenomenu syderalnego, tej czy innej tajemniczej przemiany planety lub nawet w oznaczonym dniu narodzin tego a nie innego człowieka. Instynkt gatunku kieruje tymi sprawami, a wyroki głosi przeznaczenie. Jeśli zaś nawet myli się ten in-

stynkt czy to przeznaczenie, to nie jest rzeczą naszą
interweniować, gdyż tutaj ustaje wszelka kontrola.
Stajemy w momentach takich u celu i na szczycie
samych siebie, a powyż nie istnieje nic, co by mogło
błąd nasz sprostować.

NIEŚMIERTELNOŚĆ

I

Zycie pozagrobowe, to problem budzący największe zaniepokojenie w tej nowej erze, w którą wkraczamy, kiedy to religie nie są już w możności rozstrzygnięcia najważniejszych zagadnień ludzkości. Zapytujemy, czy wszystko kończy się wraz z życiem lub czy można sobie wyobrazić jakieś życie inne? Pytamy, dokąd zmierzamy i co się z nami stanie? Co nas czeka po drugiej stronie owej kruchej złudy zwanej istnieniem? Czy materia, czy może duch odnosi triumf w minucie, kiedy serce nasze bić przestaje, czy rozpoczyna się władztwo światłości wiekuistej, czy może ciemni bezkresnej?

Jak wszystko w przyrodzie, jesteśmy niezniszczalni. Pojąć nie możemy, by coś zaginać mogło w wszechświecie. Niesposób wyobrazić sobie wobec nieskończoności, by gdzieś miała istnieć nicość, w której zaginać by mógł jeden bodaj atom materii. Wszystko, co istnieje, istnieć będzie wiecznie, wszystko istnieje, a nie ma czegoś, co by nie istniało. Gdyby było inaczej, to chyba mózg nasz nie ma nic wspólnego z wszechświatem, który pojąć się stara. Należałoby przyjąć wówczas, że funkcjonuje wbrew jego prawom, co przecież jest zgoła niemożliwe, albowiem może być jeno czymś w rodzaju odbłasku tegoż wszechświata.

Ginać mogą tedy jeno lub znikać i jawić się ponownie same tylko kształty i postaci, w jakich spostrzegamy niezniszczalną materię, ale nie wiemy zgoła, jakiej rzeczywistości odpowiadają owe pozory. Jest to tkanina zasłony spoczywającej na oczach naszych, której ucisk oślepiający wywołuje jednocześnie wszystkie obrazy życia. Cóż się stanie, gdy zasłona owa spadnie? Czy wkroczymy wówczas w rzeczywistość istniejącą niewątpliwie poza nią, czy może przestaną dla nas istnieć nawet pozory owe?

II

W gruncie rzeczy niewiele nas obchodzi, czy możliwą jest nicość i czy po śmierci naszej wszystko pozostanie tym, czym było, lub też zniknie. Jedna jedyna rzecz pośród swego wiekuistego istnienia interesuje nas żywo, a mianowicie, jaki los spotka ową małą cząsteczkę życia naszego, która spostrzegała zjawiska tegoż życia podczas egzystencji naszej. Zwiemy ją świadomością swoją, czyli swoim „ja“. To „ja“, o którym myślimy, rozważając, co się stanie po destrukcji jego, nie jest ani duchem, ani ciałem naszym, albowiem poznaliśmy, że zarówno duch jak i materia są to jeno fale odpływające i przypływające bez końca, to zaś „ja“ jest punktem stałym, niezmiennym. Nie podobna, by było formą ni substancją, które podległy są ciągłej ewolucji, ani też życiem, przyczyną czy skutkiem formy i substancji. Jakże go ująć, jak określić, jak powiedzieć, gdzie się mieści? Śledząc aż do pierwotnych źródeł owego „ja“, odnajdujemy jeno coraz to nowe wspomnienia, napo-

tykamy coraz to inne jeno idee, zmienne zresztą i nieokreślone, związane z instynktem życia. Znajdujemy jeno nawyki wrażeń naszych, reakcje świadome lub podświadome na otaczające nas zjawiska. Ostatecznie najtrwalszą rzeczą pośród tego mglistego chaosu, to pamięć nasza, ale i ona przedstawia się jako cecha dość zewnętrzna, dodatkowa, w każdym zaś razie krucha i nikła zdolność umysłu, która znika bardzo szybko z byle przyczyny, bo opuszcza nas już przy najmniejszym zachwianiu zdrowia. — To właśnie, co się we mnie domaga wielkim głosem nieśmiertelności, to zginie wraz ze mną! — powiedział słusznie pewien angielski poeta.

III

Uświadomić sobie musimy, że punktem środkowym naszej istoty, że tym, co nas obchodzi najbardziej, jest owo niejasne „ja“, ów majak nieuchwytny, lotny i zawisły od wszystkiego, a wobec niego wszystkie inne rzeczywistości życia są niczym. Jest nam zgoła obojętne, że w ciągu eonów ciało nasze czy substancja jego zaznała wszystkich możliwych form szczęścia i chwały, przeszła najwspanialsze przemiany, była kwiatem, zapachem, pięknem, światłością, eterem, gwiazdą, bez wrażenia przechodzimy obok myśli, że inteligencją sięgnęliśmy w zaświat, żeśmy pojęli, jakim jest, i uczymy się nim władać. Instynkt nasz przekonany jest, że to wszystko byłoby nam wprost niczym i nie sprawiałoby nam żadnej przyjemności, nie dochodziłoby po prostu do nas, gdyby nie pamięć czy wspomnienie kilku, zawsze

niemal błahych faktów, gdyby nie ów świadek tego niewyobrażalnego szczęścia. Cóż mi stąd, że wiecznie żyć będzie najszczytniejsza, najpiękniejsza i najswobodniejsza cząstka mego ducha, coś mi stąd, że świetlana będzie i radosna, kiedy nie będzie ona cząstką mego „ja“, tedy nie poznam jej. Śmierć zburzyła sieć nerwów, poprzecinała wiązadła wspomnień, zdemolowała ową stację centralną, nie wiadomo gdzie istniejącą, gdzie jedynie żyć mogłem i czuć się sobą. Podobnie jak obojętny mi jest los gwiazdy błędzącej po przestrzeni, nic mnie a nic nie obchodzi los mego ducha, o którym nie wiem nic. Wszystko istnieje dla mnie jeno pod warunkiem, że je odniosę, związę i wywiodę z owego mistycznego punktu, o którym nie wiem, czy gdziekolwiek istnieje, a który jest jak lustro wszechświata, tak że zjawy życia nabierają rzeczywistości, dopiero wówczas gdy się w nim odbijają.

IV

Widzimy tedy, że nasze pożądanie nieśmiertelności zatracą się przez samo formułowanie, natomiast cały gmach naszego nadżycia zbudowany jest na czymś zgoła dodatkowym, ulotnym i będącym jeno małą cząstką całokształtu tegoż życia. Wydaje nam się, że jeśli życiu pozagrobowemu nie będą towarzyszyć wszystkie niedole, błahostki i błędy, znamionujące życie obecne, niczym odróżniać się ono nie będzie od życia istot innych, czyli przestanie być życiem naszym, stanie się kroplą bezświadomości w oceanie niebytu, a przeto wszystko, co potem nastąpi, nic a nic nas obchodzić nie może.

Jakąż nieśmiertelność przyobiecać można ludziom, którzy muszą ją z konieczności pojmować w ten sposób? Trudno na to poradzić, powiada nam instynkt zgoła dziecinny, ale zarazem głęboki. Wszakże niczym by była dla nas każda nieśmiertelność, nie wlokąca poprzez bezkres wieków kul łańcucha galerniczego, który nas krępował za życia, czyli owej dziwnej świadomości, ukształtowanej w ciągu tych kilku lat życia doczesnego, i nie nosząca w ten sposób znamion naszej osobniczej identyczności. Wszystkie religie niemal zrozumiały to dobrze i wzięły w rachubę ów instynkt, który łaknie nieśmiertelności i niweczy ją jednocześnie. Kościół katolicki, poczynając od pożądań najprymitywniejszych, gwarantuje nam nie tylko zachowanie w nietkniętym stanie naszego ziemskiego „ja“, ale ponadto zabezpiecza zmartwychwstanie własnego, wyreparowanego i odnowionego ciała.

Oto punkt centralny całej zagadki. Owa mała świadomość, owo odczuwanie osobniczego „ja“, tak w gruncie głupkowato dziecinne, a już co najmniej niesłychanie ograniczone, to najwyraźniej niedomoga naszej dzisiejszej inteligencji. Czyliż żądanie, by nam towarzyszyło poprzez bezlik wieków, a to w celu zmierzenia, zliczenia i poznania ich oraz radowania się nimi, nie jest podyktowane chęcią spostrzegania danego przedmiotu przy pomocy organu nie przeznaczonego do tegoż spostrzegania? Czyliż nie wygląda to, jakbyśmy chcieli ręką poznać światło a okiem zapach? Wyglądamy jak chory, który chcąc upewnić się co do swej realnej istności chciałby kontynuować chorobę swą po ozdrowieniu i nie rozsta-

wać się z nią nigdy? To porównanie ściślejsze jest od wielu porównań. Wyobraźmy sobie ślepcę, który jest jednocześnie sparaliżowany i głuchy. Stan ten jego trwa od urodzenia, a w danym momencie osiągnął trzydziesty rok życia. Cóż wyhaftowały lata na pustej tkaninie biednego życia jego? Nieszczęśnik ten zgromadził w śpichrzu pamięci swej w braku wspomnień innych zaledwo pewną ilość wrażeń zimna i gorąca, znużenia i spoczynku, mniej czy więcej dotkliwego cierpienia fizycznego, oraz głodu i pragnienia. Prawdopodobnie wszystkie uciechy ludzkie, nadzieje, marzenia o ideale i raju redukują się w nim do mętnego uczucia zadowolenia po chwilowej przerwie w cierpieniach. Oto jedyne możliwe wyposażenie nędznego „ja” tego biedaka, bowiem inteligencja jego, nie odbierając nigdy wrażeń ni podniet z zewnątrz, śpi ujęta głębokim snem i nie zna sama siebie. Posiada on mimo to swe życie osobnicze i złączony jest z nim więzami równie silnymi jak najszczęśliwszy człowiek ziemi. Pragnie gorąco żyć, boi się śmierci i myśli, że wpadnie w nicość, nie zabierając wrażeń i wspomnień swej ciemnej, głuchej nory pogrąża go w takiej rozpacz, jak nas pogrąża myśl porzucenia życia pełnego chwały, światła i miłości dla wstąpienia w lodowatą czerń grobu.

V

Wyobraźmy sobie teraz, że cud jakiś otworzył nagle jego oczy i uszy, że spostrzegł przez okno otwarte u wezglowia łóżka swego świt pogodnego dnia na wsi, że posłyszał śpiew ptaków w koronach

drzew, poszum wiatru w liściach, brzękliwą nutę strumyka oraz rozgwar ludzkich głosów po łąkach i górach. Przypuśćmy dalej, że tenże sam cud wieńcząc dzieło swoje przywrócił mu władzę w członkach. Wstaje, wyciąga ramiona ku onym dziwom nie mającym dlań realności rzeczywistej ni miana. Otwiera drzwi, chwieje się na nogach, a olśnione zmysły jego zatapiają się w niepojętej toni zjaw. Wkracza w życie niewyraźne, w niebiosy, o których nie mówił mu sen żaden. W dodatku, skutkiem jakiegoś kaprysu losu przypuszczalnego w uzdrowieniu tego rodzaju, wraz ze zdrowiem, które go wprowadziło w nową zgoła egzystencję, znikły doszczętnie wspomnienia dni minionych.

W jakimż stanie znajdzie się teraz owo „ja”, owo *receptaculum* wszystkich wrażeń, ów punkt, do którego zmierza wszystko, co stanowi komponent swoisty życia, ów punkt najściślej egotyczny naszej istoty? Czyż po unicestwieniu pamięci odnaleźć zdoła ów ozdrowieniec jakiś cień człowieka dawnego w sobie? Zbudziła się siła nowa, inteligencja, i rozwija się z żywotnością niesłychaną, jakież istnieje stosunek pomiędzy nią a ową ciemną, martwą dotąd zarodzią, z której wystrzeliła nagle, o jakież fundament przeszłości oprze się, by trwać dalej? Czyżby nie przetrwało w nim jakieś uczucie czy instynkt niezawisły od pamięci, inteligencji lub innej jakiejś zdolności rozpoznawczej; co by mu umożliwiło uświadomienie sobie, że to dobro niepojęte, wywołane cudem, wyzwoleniem, jest jego własnym życiem, nie zaś życiem sąsiada, że to on właśnie został przeistoczony do niepoznania, ale pozostał w gruncie identyczny z sobą,

że tylko wyszedł z ciemności i ciszy, a żyje dalej w światłości i harmonii? Czyż możemy sobie wyobrazić chaos i zamęt straszliwy oszalałej z nadmiaru świadomości jego? Czyż wiemy, w jaki sposób owo „ja“ wczorajsze zunifikuje się z dzisiejszym jego „ja“ i czyż pojmiemy, jak się zachowa pośród przewrotu ten punkt egotyczny, owo centrum poznania, na którego zachowaniu tak nam bardzo zależy?

Spróbujmy przede wszystkim znaleźć dostatecznie ścisłą odpowiedź na to pytanie dotyczące naszego aktualnego, dostrzegalnego życia. Jeśli tego nie zdołamy dokonać, jakąż możemy rościć sobie nadzieję rozwikłania problemu drugiego, stojącego przed każdym z ludzi w momencie śmierci?

VI

Ów punkt egotyczny, owo centrum wszelakiego poznania reasumuje w sobie cały problem. A oto jeno chodzi, gdyż z wyjątkiem spraw jego samego dotyczących nieśmiertelność żadnej nie ulega kwestii. Ów punkt centralny i tajemniczy, któremu w śmierci tak wielką przypisujemy wagę, tracimy, o dziwo, w życiu co chwila z oczu i nie odczuwamy jakoś zgoła zaniepokojenia. Nie tylko zatracą się on każdej nocy w śnie, ale nawet w stanie jawy bywa ciągle pograżany przez każde wydarzenie czy wrażenie. Starczy mu na zagładę byle jakie zranienie, upadek, niedyspozycja, kilka kieliszków wódki, odrobina opium lub tytoniowego dymu. Co więcej, nawet w chwilach kiedy go nic nie napastuje, nie uświadamia nam się stale i trzeba pewnego wysiłku, nawrotu do siebie

samego, by go pochwycić, by uświadomić sobie jasno, że to właśnie nas spotyka, to a to. Za lada roztargnieniem przechodzi mimo szczęście nie tknąwszy nas, nie dawszy zakosztować rozkoszy, jaką niesie. Można by powiedzieć, że funkcje owego organu, przez który bierzemy udział w życiu i odnosimy je do siebie, odbywają się z przerwami, dorywczo niejako i że obecność naszego „ja“, z wyjątkiem momentów bólu, jest to jeno szybkie następstwo odlotów i powrotów. Uspokaja nas jeno i pociesza pewność, że odnajdziemy owo „ja“ nasze po zbudzeniu, po zrozumieniu, po upadku czy roztargnieniu, gdy przeciwnie, wiedząc, jak jest kruche, przekonani jesteśmy, że zginąć musi na zawsze w straszliwej katastrofie, jaka ma miejsce na przełomie życia i śmierci.

VII

Jedną z wielu prawd, jakie przyszłość ujawni niezawodnie, jest fakt, iż w kwestii życia i śmierci wyobraźnia nasza pozostała dotąd niesłychanie naiwna. We wszystkim niemal innym prześciga rozum, tutaj zaś pozostała na punkcie, gdzie była w niemowlęcych latach ludzkości. Snuje marzenia i żywi pożądania wprost barbarzyńskie, zupełnie jak to się działo, gdy władała nadziejami i obawami człowieka jaskiniowego. Domaga się rzeczy niemożliwych a drobnostkowych jednocześnie. Upiera się przy przywilejach, które w razie uzyskania ich byłyby straszliwsze w skutkach od największych katastrof, jakimi nas straszy nicość. Czyż można pomyśleć bez drżenia o wieczności zamkniętej z całym swym ogromem

w znikomej łupinie naszej świadomości współczesnej? Jesteśmy ofiarami nielogicznych urojeń fantazji naszej. Gdybyśmy zasypiali dziś wieczór, mając naukowo i eksperymentalnie stwierdzoną pewność, że zbudzimy się po latach stu w obecnym stanie, z nienaruszonym ciałem, to każdy z nas, nawet pod warunkiem utraty wspomnienia swego minionego życia, zgodziłby się niezawodnie na ten sen wiekowy z tym samym zaufaniem, z jakim przyjmuje krótki sen jednej nocy. Miast bać się, ludzie zdjęci ciekawością poddawaliby się temu eksperymentowi bardzo ochotnie. Niezawodnie tłoczono by się do owych szafarzy snu czarodziejskiego i błagano by ich o udzielenie tego, co uważano by niewątpliwie za przedłużenie życia. Cóż by atoli zostało z zaćmionych przez cały czas trwania odrętwienia i cóż by odnaleźli z siebie po zbudzeniu? W chwili zamknięcia ocz przestałoby ich łączyć cokolwiek bądź z istotą, która obudzić się ma bez wspomnień, nieznana, w zgoła odmiennym świecie, a jednak cała ich zgoda na zaśnięcie, cała nadzieja zabrana w długą noc polegałaby właśnie na wierze w ów węzeł nierozzerwalny, nie istniejący zgoła. Pomiedzy śmiercią zwykłą a tym snem istnieje w rzeczywistości jeno różnica zbudzenia się po stu latach, a zbudzony nie różniłby się w zasadzie niczym od dziecka, które przyszło na świat po śmierci ojca swego.

VIII

Jakąż znajdujemy odpowiedź na postawione pytanie, gdy nie idzie o nas samych, ale o te żywe zjawy, które dostrzegamy na świecie? Czyż się troszczy-

my na przykład o życie pozagrobowe zwierząt? Pies, nasz towarzysz wierny, przywiązany, inteligentny, w chwilę po śmierci staje się nam obrzydliwym ścierrwem, którego pozbywamy się co prędzej. Nie przychodzi nam nawet na myśl, by było możliwym zadawać sobie pytanie, zali istnieje poza naszą pamięcią jakiś inny świat dla zwierzęcia, którego życie po części uduchowione już, bliskie naszemu i miłe dopiero co ustało. Wydałaby się nam wprost śmieszna myśl, że w czasie i przestrzeni trwa, troskliwie zachowana na wieczność, unosząca się pośród gwiazdnych bezkresów, dusza biednego Brysia, na którą składało się sześć czy siedem funkcji, wzruszająco naiwnych, pożądanie jadła i napoju, spanie w cieple i umiejętność obcowania towarzyskiego z podobnymi sobie. Cóż by zostać miało z owej istoty prymitywnej, pytamy zdziwieni? A jakimże to prawem wykopujemy przepaść pomiędzy sobą a tym stworzeniem, skoro nie ma jej zgoła pomiędzy światem mineralnym, roślinnym i zwierzęcym? Cóż nas napęlnia taką dumą i tak odróżnia od reszty żywych istot, czy może pretensja zaliczania się do rzędu istot, do których sami nawet przez nas stworzeni bogowie nie zawsze mieli wolny dostęp?

IX

Niesposób wspomnieć nawet o wszystkich paralogizmach stworzonych przez wyobraźnię naszą w zakresie interesującego nas zagadnienia. Godzimy się na przykład dość łatwo z myślą o rozkładzie ciała naszego w grobie. Nie zależy nam zgoła na tym, by nam towarzyszyło przez bezkres wieków. W grun-

cie rzeczy nie byłoby nam to nawet na rękę, by nas eskortowało, obarczone ułomnościami, brzydotą i śmiesznostkami swymi. Idzie nam jeno o to, by przewieźć na drugi brzeg duszę. Cóż odpowiemy atoli komuś, kto będzie twierdził, że dusza nasza, to jeno zespół uzdolnień intelektualnych i moralnych, łącznie z cechami, jakie jej nadaje instynkt czy podświadomość? Zważmyż, że nie niepokoi nas tak bardzo powolny zanik starczy czy chorobowy tych wszystkich cech i uzdolnień, podobnie jak nie popadamy w rozpacz na skutek upadku sił fizycznych ciała naszego. Mimo że w pierwszym wypadku niejako rozkłada się zwolna i znika to, co zwą niektórzy ludzie duszą nietkniętą, pozostaje niejasna nadzieja nasza życia pozagrobowego. Wydaje nam się zgoła naturalne, że stany ciała i duszy zostają we wzajemnej zależności, gdy zaś ciało owo zostaje zniweczone w jakiejś drogiej nam istocie, nie sądzimy wcale, iżemy ją utracili, ani też, że ona utraciła swoje „ja“, swą moralną osobowość, mimo że nie pozostało nic, na czym byśmy mogli oprzeć nadzieję naszą. Nie przypisując znaczenia rozkładowi ciała ani też zniweczeniu w ciągu życia owego kompleksu funkcji stanowiących duszę, mniemamy, że śmierć oszczędzi czegoś jeszcze, żyjemy nieziszczalnym marzeniem realizacji niepodobieństwa.

X

Nie jesteśmy w stanie, dziś przynajmniej, znaleźć wiarogodnego wyjaśnienia kwestii nieśmiertelności i rzecz to niedziwna wcale. Oto lampa na biurku

moim. Nie ma w niej tajemnicy żadnej, jest to przedmiot stary, znany mi dobrze i od dawna pełniący swe funkcje. Widzę w niej naftę, knot, szkiełka szklanne, a wszystko razem daje mi światło. Zagadka zaczyna się dopiero w chwili, kiedy spytam, co to jest światło, skąd się bierze, gdy je przywołam, i gdzie się podziewa, gdy je gaszę. I zaraz ów mały sprzęt łatwy do obejrzenia, rozłożenia i zbadania we wszystkich jego częściach staje się nierozwiązalnym problemem. Choćbym zgromadził wokół biurka mego wszystkich ludzi żyjących na ziemi, nie dowiem się od żadnego z nich, czym jest ów nieważki płomień, który powołuję do życia i unicestwiam wedle woli. A jeśli któryś z obecnych zaryzykuje objaśnienie zwane definicją naukową, to zwiększy jeno niewiedzę i otworzy na wszystkie strony mnóstwo drzwi na ciemń bezkresną i straszną. Jeśli nie znamy istoty, przeznaczenia i życia promyka światła lampy, której wszystkie części składowe są dziełem własnych rąk naszych, a przyczyny, skutki i funkcje mieszczą się w porcelanowej bańce, to skądże nam przyjdzie nadzieja przeniknięcia niepoznawalnego i rozwikłania problemu życia, którego elementy składowe mieszczą się w oddali miliardów lat i miliardów mil od naszej świadomości.

XI

Od kiedy istnieje, ludzkość nie zbliżyła się niż na krok jeden do tajemnicy, nad którą się zastanawiamy. Jakiegokolwiek sobie stawiamy w tej sprawie pytanie, nie dotyka, zda się, nawet sfery, w której ukształtowała się i funkcjonuje świadomość nasza.

Być może, nie ma nawet żadnego możliwego lub wyobraźlanego stosunku pomiędzy organem poznania zadającym pytanie a ową rzeczywistością, która by miała dać odpowiedź. Nie przyniosły nam nic nowego najskrupulatniejsze i najściślejsze badania czasów ostatnich. Pracujące w warunkach bardzo korzystnych i niezmiernie gorliwe związki uczonych angielskich oraz towarzystwa psychologiczne całego świata zebrały olbrzymi materiał faktów, które zdają się stwierdzać, że życie istoty duchowej czy nerwowej może trwać jeszcze przez czas jakiś po śmierci istoty materialnej. Choćbyśmy nawet przyjęli, że fakty te są niezaprzeczalne i ściśle naukowo stwierdzone, bo przez nie tajemnica przesunęłaby się jeno o krok, o kilka godzin. Dziwny jest zaprawdę fakt, że astralna zjawia osoba drogiej, tak z pozoru realna, iż się do niej zwracam z pytaniem, wchodzi do mego pokoju teje samej minuty, kiedy życie ulatuje z jej ciała oddalonego o tysiące mil, zaiste niezwykle to fakt, przyznaję, i nowa zagadka, ale wynika z niej tylko, że dusza, duch, tchnienie, siła nerwowa, nieuchwytna i najniematerialniejsza spośród rzeczy materialnych czy coś podobnego może się oddzielić na moment od materii i zawisnąć ponad nią, podobnie jak się odrywa czasem od knota i zawisa w powietrzu płomień lampy. Fenomen to szczególny zaiste, ale skoro jest realny, to dziwić się jeno należy, że nie możemy go wedle woli wywoływać wśród zwykłych warunków życia. Zresztą wcale nie odpowiada na nasze pytanie. Nigdy żadne z onych widziadeł nie miało świadomości innego, nowego życia pozaziemskiego, odmiennego od życia, jakie właśnie ukończyło

w swym ciele. Przeciwnie, życie duchowe wszystkich tych zjaw, w chwili kiedy ma stać się czyste, wolne od materii, górne, nagle okazuje się dużo niższe od siebie samego, z czasów kiedy jeszcze tkwiło w onej materii. Zjawy pełnią zazwyczaj swe zwykłe, codzienne czynności, drobiazgowo, mechanicznie, wśród otepiałości somnambulicznej. Jedna z nich szuka upornie kapelusza zapomnianego na jakimś meblu, druga troszczy się drobnym dłużkiem lub pyta, która godzina. Wszystkie zaś, w moment potem w chwili kiedyby się zacząć miało prawdziwe życie spirytualne, pozaziemskie, rozplywają się i giną na zawsze.

Przyznaję, że to jeszcze nie dowodzi niemożliwości życia pozagrobowego. Nie wiemy, czy owe przełotne zjawy są to pierwsze przebrzaski egzystencji nowej, czy też może ostatnie zorze minionej. Być może, zmarli korzystają w ten sposób, nie mając innego, z ostatnich nici wiążących ich jeszcze z naszymi zmysłami i czynią się nam dostrzegalni. Być może, żyją potem tuż obok nas dalej, ale mimo wszelkich wysiłków nie są w stanie porozumieć się i dać nam znaku swej obecności, a to z powodu, że brak nam organu koniecznego dla tej apercpcji. Oczywiście bylibyśmy w podobnym położeniu, chcąc dać pojęcie światła i barwy ciemnemu od urodzenia. W każdym razie nie ulega żadnej wątpliwości, że prace i badania najnowsze nad tak zwanym przez Anglików *broderlandem* (światem sąsiednim) miały ten jeno skutek, iż problem pozostał najdokładniej na tym miejscu, na którym trwa od zaczątków świadomości ludzkiej.

XII

Wyobraźnia może tedy wybierać spośród koncepcyj pozagrobowego losu naszego dowolnie, albowiem świadomość nie dostarcza nam żadnych konkretnych faktów. Przyglądając się różnym możliwościom spostrzegamy, że najpiękniejsze nie są jednocześnie najbardziej prawdopodobne. Pierwsza, jak widzieliśmy, odepchnęła cały problem bez dyskusji i zawyrokowała, że czeka nas nicość zupełna. Druga, bardzo pożądana dla ślepych instynktów naszych, przyrzeka zachowanie mniej lub bardziej zupełne świadomości i osobniczego „ja” przez wieki bezkresne. Braliśmy pod uwagę również i tę hipotezę prawdopodobniejszą od pierwszej, ale okazało się, że w gruncie jest ona ciasna, naiwna i dziecinna, że nie ma podstaw ani dla ludzi, ani rośliny czy zwierząt, by trwać tak mieli wszyscy indywidualnie w bezgranicach przestrzeni i czasu. Dodać należy, że spośród wszystkich możliwości ta byłaby właśnie najstraszniejsza, a w porównaniu z nią zagłada zupełna i natychmiastowa tysiąc razy lepsza by już była. Pozostają tedy dwie idee, mianowicie życia pozagrobowego nieświadomego albo też ze świadomością rozszerzoną, zmienioną, tak odmienną od obecnej, że nie możemy sobie o jej rodzaju wyrobić dokładnego wyobrażenia. Przeszkadzałyby nam ona raczej pojmować, ukazując np. promienie świetlne spoza granicy ultrafioletowego i infraczerwonego widma, które dają prawdopodobnie silne wrażenia żrenicy inaczej od naszej zbudowanej.

Teorie te dwie z pozoru redukują się do jednej jedynej kwestii świadomości. Powiedzieć na przykład,

jak się nam to nasuwa samo, że życie pozagrobowe, nieświadome równe jest śmierci zupełnej, znaczy to przeciąć *a priori* i bezwzględnie sam problem świadomości najistotniejszy i najzawilszy spośród wszystkich, jakie nas obchodzą tak żywo.

Jest to, jak świadczy metafizyka wszystkich czasów, zagadnienie najtrudniejsze, z tego już samego powodu, że przedmiotem jego jest właśnie sam podmiot poznający. Można powiedzieć, że mamy przed sobą lustro, które ustawicznie i bez końca samo siebie odbija, a z odbić tych nie ma żadnych korzyści poznawczych. Mimo to właśnie jeno w owych bezsilnych odbiciach, mnożących się w nieskończoność, ukryty jest promień światła mogący rozświetlić wszystko inne. Cóż tedy czynić? Nie ma innego środka wyłamania się z kręgu świadomości, jak ją zane-gować, twierdząc, iż jest ona jego organiczną chorobą ziemskiej inteligencji, a chorobę ową należy starać się leczyć przez coś, co wydać nam się może aktem szaleństwa albo umyślnym, desperackim czynem. Spojrzawszy nań pod innym kątem, przekonamy się jednak może, że był to zabieg leczniczy, śmiały i konieczny.

XIII

Niestety, wymknąć się z okola świadomości nie sposób, bo zawsze z konieczności zawrócić będziemy musieli pod mury więzienia i krążyć wokół tego, co wsparte jest o naszą pamięć, najniklejszą spośród wszystkich uzdolnień naszych. Wobec faktu nie ulegającego wątpliwości, że nic zginać nie może, musimy przyjąć, iż żyliśmy przed rozpoczęciem obecnego

życia naszego na ziemi. Ponieważ jednak nie możemy związać owej uprzedniej egzystencji z dzisiejszą, przeto pewność życia przedtem jest nam zgoła obojętna i mieści się tak daleko, jak pewność wszystkich bytowań późniejszych. Jawi nam się wtedy owo „ja” nasze, jako utwór czysto pamięciowy, mnemoniczny i spytać należy, czy to, co nam daje w ciągu nader krótkiej egzystencji, jest aż tak ważne, by miało samo przez się decydować o całym problemie nieśmiertelności. Czyż z tego, co bierzemy od naszego „ja” ziemskiego w formie tak wyłącznej, specjalnej, niedostatecznej, kruchej i znikomej wynikać ma, że nie istnieje inna postać świadomości i inny sposób używania życia? Lud ślepych od urodzenia, któremu jeden widzący opowiadałby o radości, jaką daje światło, twierdziłby nie tylko, że jest to niemożliwe, ale nawet niewyobrażalne. Wiemy na pewno niemal, że brak nam tu na ziemi, oprócz stu różnych zmysłów, jeszcze zmysłu wyższego od naszej świadomości pamięciowej i nie pozwala nam to właśnie jak należy cieszyć się pełnią władania naszym własnym „ja”. Wydaje się nam czasem, że natrafiamy na wyraźne ślady, na odruchy funkcji owego zanikłego już albo może kiełkującego dopiero zmysłu, jaki w każdym razie wegetuje bardzo nikle przygłuszony i obezwładniony życiem ziemskim, które wszystkie ewolucje swe centralizuje w jednym punkcie, mianowicie w świadomości. Czyż nie zdarza się, że tuż obok egoizmu, znanego i naukowo aż do ostatnich zakamarków zbadanego i władającego nami, nie dostrzegamy w sobie czegoś zupełnie bezinteresownego, co raduje się szczęściem bliźniego, sprzecznym nawet ze szczę-

ściem własnym? Czyż dalej nie są nam znane uciechy, jakie daje sztuka, uciechy bezcelowe, owo np. spokojne, ciche zadowolenie, owa radość kontemplatywna, gdy patrzymy na piękny posąg czy obraz, lub budynek, którego nie będziemy już oglądać nigdy po raz drugi, który nie wzbudza żadnego pragnienia zmysłowego i nie przyda nam się na nic? Czyż zadowolenie to jest bladym przeblyskiem odmiennej, nowej świadomości, dochodzącym przez szczelinę naszej świadomości pamięciowej? Nie możemy sobie wyobrazić tej odmiennej świadomości, ale to nie uprawnia nas jeszcze do zaprzeczenia jej istnienia, przeciwnie, sądzę, że rozum nakazuje właśnie uznać ją. Gdyby nam zmysły nasze nie zostały dane wszystkie razem, ale jeden po drugim, z roku na rok, całe życie toczyłoby się pośród mnóstwa spraw zgoła niepoznawalnych. Posiadamy zresztą zmysł genezyzny, budzący się dopiero w okresie dojrzałości płciowej, i to poucza nas, że od pewnego stanu specjalnego organizmu zawisło wprost odkrycie nowego świata, nie znanego dotąd, oraz przesunięcie wszystkich osi życia naszego. Przez ciąg dzieciństwa nie domyślaliśmy się nawet, co to są owe namiętności, szaleńcze upojenia i bóle, jakie miotają dorosłymi. Czasem docierały do naszych ciekawych uszu fragmenty jakiejś, zniekształcone urywki, ale z nich mimo wszelkich wysiłków wyrozumieć nie mogliśmy owej frenezji starszych i przyrzekaliśmy sobie zachowywać się rozsądniej i spokojniej w danym przypadku. Niestety, pierwszy dzień miłości wyrzucił nas zupełnie z orbity i pozmieniał cały system grawitacyjny naszej duszy. Widzimy, że kwestia świadomości lub jej braku

nie jest to dylemat tak wyłączny, jedyny i ekskluzywny, byśmy nim mierzyli wszystko i podawali w wątpliwość istnienie czegoś, czego sobie nie umiemy wyobrazić.

XIV

Dziedziczna rezygnacja, którą ogarnięci trwamy w ciemnym więzieniu naszych zmysłów, nie dozwala nam sięgnąć po skarby wszechświata i dźbiać się to będzie długo jeszcze. Wyobraźnia nasza obecna godzi się z łatwością zgoła nadmierną na niewolę ową, bowiem jest córką pokorną zmysłów, z nich jeno czerpiąc swe zasoby. Nie stara się z należytą usilnością o rozwijanie owych instynktów i przeczuć, które ją pouczają, iż nie da się więzić, ale że winna szukać wyjścia. A tak być koniecznie musi, wyobraźnia nabierać powinna z każdym dniem głębszego przeświadczenia, że świat realny sięga w miliardy mil dalej niż najambitniejsze marzenia i najzuchwalsze zakusy. Nie miała nigdy większego obowiązku niż prawa, niż teraz właśnie, być bardziej szaleńczo odważną. To, co by się jej udało zbudować i powołać do życia w przestrzeni i najdalszych rozłogach czasu, to co by była w stanie ogarnąć pojęciem, jest ledwo drobną cząstką rzeczywistości. Najmniejsze nawet okruchy wiedzy i codzienne fakty życia świadczą, że nawet w tym skromnym środowisku nie może stać czoła realnym sprawom, że bywa przez nie ciągle prześcigana, wprowadzana w błąd, olśniewana, że nie stać ją na pojęcie cudów niespodziewanych, zawartych w kamieniu, związku chemicznym, szklance wody, roślinie czy owadzie. Owo przeświadczenie

to już rzecz niemała, bo sprawia, że śledzimy spod oka, czy nie zdarza się sposobność przekroczenia magicznego koła własnego zaślepienia. Teraz dostrzegamy, że w obrębie tegoż kręgu nie możemy się spodziewać żadnej prawdy ostatecznej, a wszystkie, o ile są, leżą poza nim. Człowiek, chcąc zachować zmysł proporcji, musi sobie powtarzać co chwila, że umieszczony nagle pośrodku całej masy realnych faktów wszechświata, podobny byłby mrówce, która znając jeno swe ścieżyny leśne, maleńkie otwory w ziemi, okolice mrowiska i niezmiernie ciasny krąg swych codziennych metod znalazłaby się nagle pośrodku Atlantyku na żdźble słomy. Zanim wyjdziemy z więzienia, które nam nie dozwala na wejście w kontakt z rzeczywistością pozawyobrażeniową, winniśmy starać się schwytać bodaj część prawdy, wyobrażając sobie rzeczy najmniej wyobrażalne, usiłując przeprowadzić poprzez wieczność, środkiem zasieków logiki i niepodobieństwa czasów swoich, marzenia tejże wyobraźni. Starajmy się usunąć z oczu naszych, ile razy jawi się nowe marzenie, zasłonę ziemskiego życia. Powiedzmy sobie, że pomiędzy różnymi możliwościami, jakie zawiera w sobie jeszcze świat, jedną z najłatwiejszych do urzeczywistnienia, najmożliwszych, najskromniejszych i najprostszych jest zdolność osiągnięcia poznania wyższego, szerszego, doskonalszego, trwalszego oraz pewniejszego od tego, w jakie nas wyposaża obecna, dzisiejsza świadomość nasza. Przyjąwszy tę zdolność za fakt, a jest to rzecz bardzo nietrudna, spostrzeżemy od razu, że problem naszej nieśmiertelności rozwiązał się zasadniczo sam przez się. Idzie teraz o to jeno, by ująć lub przewi-

dzieć, jakiej się trzeba jąć metody i rozeznąć pośród okoliczności najbliższych nam tę część intelektualnych i moralnych nabytków, która przejdzie w życie wieczne i uniwersalne. Nie jest to sprawa mogąca być dziś lub jutro załatwioną, ale przyjdzie dzień, który ją tam załatwi.

KONIEC



Biblioteka Pedagogiczna CEN w Białymst
nr inw.: KG - 98421



BW 98421